



Choć wszystkich nas łączy wspólne miano: ludzie, to jakże bardzo różnymi się jedni od drugich. Jakże jesteśmy wielobarwni. Zaczynając od koloru skóry. I jakże jesteśmy podzieleni. I bynajmniej nie przez granice krajów, w których mieszkamy. Nie przez odległości między kontynentami naszego globu. Te dystanse już dawno nauczyliśmy się pokonywać. Szybko i wygodnie. I istnieje tylko jedna odległość, której nie możemy w żaden sposób pokonać: od jednego do drugiego człowieka. Dzieli nas zbyt wielkie przepaście: religia, poglądy polityczne, upodobania, przyzwyczajenia. Dzieli nas nasz upór: wszystko ma być tak, jak my tego chcemy. Zdanie innych – nie

ma znaczenia. Liczy się tylko nasza racja. Jesteśmy nieprzejednani. Kompromis – to nie dla nas!

To dobrze, jeśli swoich przekonań, swojej odmienności bronimy przy pomocy słownych argumentów. Wyłącznie słownych. Ale coraz częściej widzimy, jak dyskusje między oponentami odbywają się przy pomocy rąk i nóg. Przy pomocy krwawych rozpraw. Aktów terrorystycznych. Bo albo wszystko będzie takie i tak, jak ja tego chcę, albo... przemówi siła.

Tacy różni. Podzieleni. Niepogodzeni z innością współmieszkańców Ziemi. A ona jest tylko jedna. Dla nas wszystkich. A nad nami, tak różnymi i tak nieprzejednanymi w swojej inności – to samo niebo. Jedno. Dla wszystkich. A na nim GWIAZDA. Ta jedna. Wyjątkowa. Oczekiwana. Wypatrywana w grudniowym niebie. Z utęsknieniem...

Niech przyniesie nam Zgodę na odmienność innych ludzi. Niech przyniesie Radość, której tak bardzo nam brakuje. Niech przyniesie Nadzieję, bez której trudno będzie nam żyć w następnym, 2016 roku. Niech przyniesie „na Ziemi pokój ludziom dobrej woli...”

Dorota JAWORSKA

KRYNICA

kwartalnik mniejszości
polskiej na Ukrainie

Zespół redakcyjny:

Dorota Jaworska (red. naczelny)
Mariusz Woźniak OP
Stanisław Panteluk
Oleksij Brasławiec

Stali korespondenci:

Teresa Dutkiewicz (Lwów)
Stanisław Stępień (Przemyśl)
Jan Ciechanowicz (Wilno)
Wiktoria Wachowska (Żytomierz)
Michał Micel (Nowy Jork)

Skład i łamanie:

Wydawniczy Oddział Instytutu Nauk
Religijnych Św. Tomasza z Akwinu
Red. tech. Mychajło Rojik
Zdjęcie na 1–4 str. okładki:
Jelena Gonczarowa



Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r.”

Koordynator projektu:
Fundacja Wolność i Demokracja



Adres redakcji:
Ukraina, Kijów, 04119,
ul. Jakira, 13
tel/fax: (044) 570 19 45
e-mail: dorota57@ukr.net
www.krynica.in.ua

SPIS TREŚCI:

WYDARZENIA

Ćwierćwiecze odrodzonej polskości (<i>Franciszek MICIŃSKI</i>)	2
VIII Dni Kultury Polskiej w Żytomierzu (<i>Wiktoria LASKOWSKA-SZCZUR, ks. Jarosław GIŻYCKI TChr</i>)	3
O deportacjach raz jeszcze (<i>Stanisław PANTELUK</i>)	4
„Co nasi dziadkowie śpiewali, kiedy byli mali” (<i>Andżelika PŁAKSINA</i>)	5
Jubileusz Polonistyki Kijowskiej (<i>Antoni KOSOWSKI</i>)	6
Święto radości i dumy (<i>A.P.</i>)	6
15 lat w rytmie folkloru (<i>Łesia JERMAK</i>)	7
Jesteśmy Polką i Polakiem (<i>Wojciech CACKOWSKI</i>)	8
„Polacy Nieżyna” (<i>Andżelika PŁAKSINA</i>)	9
„Raz, dwa, trzy i po polsku mówisz ty!” (<i>A.P.</i>)	9
Nie mamy prawa milczeć... (<i>Dorota JAWORSKA</i>)	10

W KRAJU

Nowe otwarcie (<i>Eugeniusz JABŁOŃSKI</i>)	12
--	----

GOSPODARKA

W Stowarzyszeniu Eksporterów Polskich	16
---	----

POLSKA-UNIA-ŚWIAT

Warszawskie felietony Mikołaja Oniszcuka	18
--	----

POSTACI

Stanisław Moniuszko – twórca polskiej opery narodowej (<i>Jan CIECHANOWICZ</i>)	22
--	----

HYMNIKA POLSKA

U źródeł hymniki polskiej (<i>Wojciech Jerzy PODGÓRSKI</i>)	30
---	----

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

Tamten dawny Kijów. Cz. I (<i>Włodzimierz BARTOSZEWICZ</i>)	40
---	----

PROZA

Babciu, ratuj! (<i>Małgorzata ŻURECKA</i>)	52
Do siego roku! (<i>Edward GUZIAKIEWICZ</i>)	55

POEZJA

„Z głową pełną lasu”. Wiersze Edwarda Marszałka	58
---	----

REFLEKSJE

Tanec – dobry na wszystko (<i>Beata ONISZCZUK</i>)	64
--	----

LEGENDY POLSKIE

Legendy Lipskie. Cz. IV (<i>Jerzy DRZEWI</i>)	66
---	----

ĆWIERĆWIECZE ODRODZONEJ POLSKOŚCI

Chmielnicki Obwodowy Ośrodek Związku Polaków na Ukrainie, działający w jednym z największych i najprężniejszych skupisk Polaków na Zachodniej Ukrainie świętował 26 września br. swoje 25-lecie.

Salę Recepcyjną Obwodowego Muzeum Sztuki dawnego Płoskirowa do ostatniego miejsca wypełnili chętni uczestnictwa w jubileuszowych uroczystościach.

Otwierając okolicznościową akademię wieloletni prezes chmielnickiego ośrodka ZPU (jeden z założycieli tej ogólnoukraińskiej organizacji Polaków) Franciszek Miciński sięgnął do prahistorycznych czasów, kiedy ziemie te tysiące lat zasiedlali Dulebowie, Uhliarze i Polanie, dalecy potomkowie których zbudowali tu wspaniałe zamki i pałace, jak na przykład: zamek Sieniawskich w Międzybożu, Pałac Sanguszków w Zasławiu, Pałac Potockich w Antoninach czy Pałac Przeździeckich w Czarnym Ostrowie. Pan Franciszek przypominał tragiczne losy Polaków w XX stuleciu. Istotna poprawa sytuacji nastąpiła dopiero w czasach gorbaczowskiej „pierestrojki”. W lipcu 1988 roku na bazie Ukraińskiego Towarzystwa Przyjaźni i Łączności Kulturalnej z Zagranicą założono Polską Sekcję Kulturalno-Oświatową, zaś w maju 1990 roku pierwszy Kongres Polaków Ukrainy dokonał wyboru na przewodniczącego Stanisława Szałackiego. W tym samym roku prezesem chmielnickiego ośrodka ZPU został wybrany Stanisław Kostecki.

Na Podolu powstały pierwsze polskie szkoły – na Greczanach (m. Chmielnicki), w Gródku Podolskim oraz w Kamieńcu-Podolskim. Założono nowe organizacje regionalne. Regularnie odbywają się takie imprezy, jak: festiwale, Dni Kultury Polskiej, seminaria, koncerty, wystawy w różnych miejscowościach regionu. „*Zrobiono niemato, ale godzi się zrobić jeszcze więcej*” – konstatował prezes najstarszej organizacji zrzeszającej Polaków regionu.

O pierwszych polskich świętach obchodzonych wspólnie 25 lat temu w Szkole Ogólnokształcącej nr 20 wspominał m.in. wikariusz kościoła pw. Niepokalanego Serca Maryi w Chmielnickim – marianin Wiktor Tkacz.

Na jubileusz organizacji z serdecznymi pozdrowieniami przybyli przedstawiciele władz miasta i obwodu chmielnickiego na czele z p.o. mera miasta Kostiantynem Czernylewskim i jego zastępcami Hryhorijem Dawydenko i Ludmiłą Czerewczenko. Gratulacje z okazji 25-lecia złożył zastępca Przewodniczącego Rady Obwodowej Wiktor Adamski, który przypomniał o niedawnym odsłonięciu Znak Pamięci ku czci powstańców styczniowych pod Sławutą. Najaktywniejszym społecznikom organizacji wręczył on dyplomy uznania i prezenty.

Za wybitną aktywność i znaczny dorobek ChOOZPU podziękował przybyły z Kijowa prezes Związku Polaków na Ukrainie Antoni Stefanowicz.

W części artystycznej burzliwymi oklaskami powitano gości z Polski – zespół skrzypków z Bydgoskiej Akademii Muzycznej. Wielkimi brawami nagrodzono także zespoły „Podolscy Muzycy” i „Rozmaryn”. Znani na Podolu pianiści – Witalij Samoluk i Eugenia Bogdan zaprezentowali obecnym utwory Paderewskiego, Ogińskiego i Szopena.

Dyrektor Muzeum Obwodowego Łarysa Czernowa i Prorektor ds. Spraw Międzynarodowych Chmielnickiego Uniwersytetu Narodowy Mykoła Jochna opowiedzieli, jak mieszkańcy miasta odbierają nowe kierunki preferowane dziś w sztuce.

A wspaniałym finałowym akordem obchodów stała się uroczysta Msza święta w Kościele Chrystusa Króla, po której zabrzmiał wspaniały koncert skrzypków z Akademii Bydgoskiej pod batutą Wojciecha Chora.

Franciszek MICIŃSKI



Do tradycyjnego zdjęcia pamiątkowego z okazji 25-lecia organizacji stanęli w Chmielnickim jej aktywiści

VIII DNI KULTURY POLSKIEJ W ŻYTOMIERZU

W dniach 8-11 października 2015 r. odbyły się VIII Dni Kultury Polskiej na Żytomierszczyźnie i XXI Międzynarodowy Festiwal „Tęcza Polesia”, których organizatorem jest Żytomierski Obwodowy Związek Polaków na Ukrainie. Tegoroczna edycja poświęcona była 155. rocznicy urodzin wielkiego Polaka i męża stanu Ignacego Jana Paderewskiego, który przez większą część życia związany był z Żytomierzem.

VIII Dni Kultury Polskiej odbywały się pod Patronatem Honorowym Marszałka Senatu RP, Marszałka Województwa Śląskiego i Prezydenta Miasta Żytomierza. Wydarzenie to miało nadzwyczajny charakter, gdyż podczas Międzynarodowego Festiwalu „Tęcza Polesia” na scenie byłego teatru polskiego (a obecnie Żytomierskiej Obwodowej Filharmonii im. S. Richtera), przy wypełnionej po brzegi widowni zostało uroczyste podpisanie *„Porozumienie o współpracy i rozwoju przyjaznych stosunków pomiędzy Województwem Śląskim a Żytomierską Obwodową Administracją Państwową”*.

Wśród gości honorowych Dni Kultury Polskiej w Żytomierzu znalazły się delegacje z Polski: z Województwa Śląskiego na czele z wicemarszałkiem S. Dąbrową, oraz miasta Płocka, na czele z sekretarzem miasta Krzysztofem Krakowskim. Obecna była również p/o Prezydenta Żytomierza Lubow Cymbaluk, Konsul RP w Winnicy Mikołaj Cholewicz, Prezes ŻOZPU Wiktoria Laskowska-Szczur. Przybyli także deputaci Rady Najwyższej oraz Kapelan Polaków Żytomierszczyzny Jarosław Giżycki TChr.

Program Dni Kultury Polskiej obfitował w wiele różnorodnych wydarzeń. Już w czwartek odbył się pierwszy koncert pt. *„Wołyńska Ziemia – Zjednoczona Europa”*. Następnego dnia w tejże Szkole Muzycznej zaprezentowana została wystawa wycinanek na temat: *„Ignacy Jan Paderewski: Ukraina – Polska – Świat”*. Jeszcze jedno wydarzenie związane było ze Szkołą Muzyczną w Żytomierzu, mianowicie seminarium naukowe przygotowane przez dr Irenę Kopoć przy współpracy prof. dra hab. Włodzimierza Jerszowa na temat: *„Literacko-artystyczna przestrzeń Wołynia-Żytomierszczyzny: historia i perspektywy”*.

W piątkowy poranek goście udali się do 28 Szkoły Średniej na Kroszni, aby uczestniczyć w

uroczystości pasowania na ucznia pierwszej klasy o polskim profilu nauczania. Akcent dziecięcy zabrzmiał również w Żytomierskiej Obwodowej Bibliotece Naukowej, gdzie uczniowie Polskiej Szkoły Sobotnio-Niedzielnej razem z teatrem dziecięcym „ModernPol” przygotowali przedstawienie o św. Janie Pawle II z okazji otwarcia wystawy pt. *„Jan Paweł II – Dar Polski dla świata”*, zorganizowanej przez KUL pod Patronatem Honorowym Marszałka Senatu RP.

Głównym wydarzeniem VIII Dni Kultury Polskiej w Żytomierzu był Międzynarodowy Festiwal Kultury Polskiej „Tęcza Polesia”, który zgromadził artystów z kraju i zza granicy na scenie Filharmonii Obwodowej. „Tęcza Polesia” cieszy się niezmiennie wielką popularnością wśród Polaków na Żytomierszczyźnie. Na widowni zasiadło prawie tysiąc osób.

Wszyscy entuzjastycznie przyjęli podpisanie umów między Województwem Śląskim i Obwodem Żytomierskim, a potem nie żalowali braw dla artystów. Swój kunszt prezentowały zespoły „Jaskółeczka”, „Kolorowe Ptaszki”, „Ażur” i „Srebrne Głosy” oraz „Dzwoneczki”, Teatr „ModernPol”, „Koroliski” i „Poleskie Sokoły”.

W niedzielę z okazji Dni Polskiej Kultury została odprawiona uroczysta Msza święta w katedrze św. Zofii.

VIII Dni Kultury Polskiej na Żytomierszczyźnie zostały uwieńczone koncertem w wykonaniu gwiazd polskiej estrady ze Śląska.

Na zakończenie koncertu Wiktoria Laskowska-Szczur, Prezes ŻOZP na Ukrainie razem z p.o. Prezydenta Miasta Żytomierz Lubow Cymbaluk serdecznie podziękowali Gościom z Polski i wszystkich uczestnikom Dni Kultury Polskiej.

Wiktoria LASKOWSKA-SZCZUR
ks. Jarosław GIŻYCKI TChr



Uczestnicy, goście i gospodarze
na wspólnym zdjęciu pamiątkowym

O DEPORTACJACH RAZ JESZCZE

Trzecia, zamykająca część konferencji zatytułowanej: „*Wspólna przeszłość. Ukraińcy i Polacy jako ofiary terroru komunistycznego*” zorganizowana 20 października br. przez Kijowskie Polskie Stowarzyszenie Kulturowo-Oświatowe odbyła się w czytelni Biblioteki im. A. Mickiewicza w Kijowie.

Dotyczyła ona deportacji ludności polskiego pochodzenia w głąb ZSRR, na Syberię i do Kazachstanu. Przedsięwzięcie zgromadziło sporą grupę osób nieobojętnych wobec historii ukraińskich Polaków, jak też bieżących wydarzeń politycznych. We wprowadzeniu do tematu płk w st. sp. resortu sprawiedliwości Andrij Amons przypomniał zebrany historię bezkarnych działań wielkiego systemu zbrodniczego w końcu lat 30. XX w.

Do 1939 roku szczytowa fala stalinowskich represji, która wypadła na lata 1937-38, nie dotyczyła Ukrainy Zachodniej, jednak w roku 1939, kiedy w ciągu dwóch tygodni Armia Czerwona zajęła jej terytorium, od pierwszego dnia znaczna część mieszkańców poddana została represjom.

Sformowano specjalne grupy NKWD, których zadaniem było sporządzanie list „niewiarygodnych” – tak wówczas kodowano „element niepewny politycznie” – czyli najczęściej „bogów ducha winnych” cywili podlegających represjom. Reżym stalinowski przystąpił do realizacji akcji, sprawdzonych, co do swej skuteczności, w latach poprzednich.

Wszystko rozpoczęło się od tego, że w niewoli znalazło się ponad 240 tysięcy polskich jeńców wojennych. Znaczna część z nich została po pewnym czasie zwolniona, jednak korpus oficerski, liczący ostatecznie około 40 tysięcy jeńców (dokładnych danych brak) pozostawał w radzieckim systemie łagrów. Liczba ta wzrosła po anektowaniu krajów bałtyckich, gdzie zna-

lazło się wcześniej wielu polskich wojskowych. Część polskich jeńców znajdującą się w obozach starobielskim, ostaszkowskim oraz kozielskim wymordowano wiosną 1940 roku. Ale na tym machina represji nie zatrzymała się. Kolejnymi ofiarami masowych deportacji stała się ludność cywilna.

Pierwsza fala deportacji na Ukrainie Zachodniej ruszyła 10 lutego 1940 roku i objęła głównie miejscową ludność. Polacy stanowili w tym kontyngencie 70% wszystkich wywożonych. W czasie drugiej deportacji (13.04.1940 r.) wysiedleniu podlegały rodziny wrogów ustroju; 80% z nich stanowiły kobiety i dzieci. Ludność tę osiedlano głównie w Północnym Kazachstanie.

Trzecia deportacja (maj-lipiec 1940 r.) objęła głównie uchodźców z Polski, przybyłych w czasie działań wojennych na tereny, które znalazły się potem pod okupacją radziecką. Większość w niej stanowili Żydzi (do 80%), Białorusini i Ukraińcy.

Ludność ze środowisk inteligenckich i pozostałe rodziny osób aresztowanych w czasie drugiego roku okupacji zostały wywiezione w ramach czwartej fazy deportacji (maj-czerwiec 1941 r.).

W swoim wystąpieniu Andrij Amons opowiedział też o losach własnej rodziny, wywiezionej nad Morze Białe, w okolice subarktycznego Archangielska.

Następnie wspomnieniami dotyczącymi losów deportacji bliskich im osób podzielili się: Irena Gołybard, Stanisław Panteluk, Ludmiła Lemieszko, Stanisław Ponomarenko, Wołodimir Pawłowski, Aleksander Długosz i Jarosław Sawenko.

Każda z tych relacji mogłaby stać się ciekawym wątkiem dla napisania książki czy też scenariusza dramatycznego filmu.

Moderator spotkania, zastępca dyrektora ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej Ołeksandr Zinczenko, podsumowując wystąpienia powiedział: „*Dziękując wszystkim za możliwość zapoznania się z losami waszych rodzin, podkreślę wyraźnie, że takiej wymiany informacji bardzo nam na Ukrainie nie wystarcza.*”

Stanisław PANTELUK



Od lewej: moderator konferencji Ołeksandr Zinczenko, ekspert płk Andrij Amons i autor niniejszej relacji red. Stanisław Panteluk

„CO NASI DZIADKOWIE ŚPIEWALI, KIEDY BYLI MALI”

Pod takim oryginalnym hasłem w pomieszczeniu Centrum Kultury dla Dzieci i Młodzieży sołomiańskiej dzielnicy Kijowa na początku października br. odbył się Konkurs Piosenek Karaoke zorganizowany przez Polską Szkołę Sobotnią przy Związku Polaków Ukrainy. Wzięli w nim udział także członkowie Kijowskiej Polskiej Młodzieżowej Asocjacji „Młodzi i kreatywni” oraz zespołu pieśni i tańca „Polanie znad Dniepru”.

Na konkurs ten, przeprowadzany w Centrum od 2005 roku, zawitała niespotykana liczba zawodników i gości pragnących zaprezentować swoją wiedzę i umiejętności. I była to znakomita okazja, aby się spotkać, pośmiać, ale przede wszystkim pośpiewać w przyjaznej i miłej atmosferze, którą stworzyli organizatorzy. A jako że z roku na rok zwiększa się liczba uczestników i gości konkursu i dziś już ta wypełniona po brzegi sala nie mieści wszystkich chętnych do udziału w konkursie – w tym roku zdecydowano przeprowadzić go w dwóch rundach.

Swoją obecnością imprezę zaszczytili dostojni goście: Konsul RP w Kijowie Agnieszka Rączka, przedstawiciel Ambasady RP na Ukrainie Marcin Misiak, Prezes Związku Polaków na Ukrainie Antoni Stefanowicz, Dyrektor Polskiej Szkoły Sobotniej Łesia Jermak. Obecna była także wolontariusz i wykładowczyni sztuk pięknych Olga Galczyńska, która w ubiegłym roku prowadziła w Centrum Twórczości sobotnie warsztaty plastyczne. Tym razem artystka zaprezentowała tutaj swoje nowe płótna. Prawdziwą perłą programu stał się występ rodziny Weksninych, podczas którego obecni

mieli okazję usłyszeć wspaniałe brzmienie odrodzonego dawnego instrumentu – torbanu.

Inaugurując konkurs, prowadząca Łarysa Bułanowa – prezes KMA „Młodzi i kreatywni” i nauczycielka Polskiej Szkoły Sobotniej powiedziała:

„Dawno temu, jeszcze w połowie XIX wieku, znany na Ukrainie a głównie uwielbiany w Polsce – polski poeta Adam Mickiewicz powiedział, że piosenka ludowa – to oblicze narodu. Dlatego nazwailiśmy nasze spotkanie «Co nasi dziadkowie śpiewali, kiedy byli mali». A zatem dziś śpiewać będziemy również znane wszystkim z dzieciństwa polskie pieśni ludowe”.

W konkursie uczestniczyły dzieci w 4 kategoriach wiekowych. Rozpoczęły występy, oczywiście, dzieci najmłodsze (w wieku przedszkolnym), które dopiero zaczęły poznawać język polski, ale wraz z kreatywną nauczycielką Łarysą Bułanową dzielnie zaśpiewały po polsku znane każdemu z dzieciństwa piosenki, w tym ulubioną kołysankę „Wlazł kotek na płotek”.

Dzieci i młodzież w starszych kategoriach wiekowych przedstawili już bardziej poważny repertuar. Widowia nagrodziła ich występy burzliwymi brawami.

Nie jest tajemnicą, że wszystkie dzieci na świecie chcą się śmiać, bawić i otrzymywać prezenty! I każdy uczestnik konkursu został wyróżniony dyplomem uczestnictwa oraz upominkiem.

Konkurs Karaoke pokazał, że hasło przyświecające spotkaniu „Co nasi dziadkowie śpiewali, kiedy byli mali” wybrane było bardzo trafnie oraz że można się świetnie bawić ucząc i uczyć się bawiąc...

Andżelika PŁAKSINA

Zdj. autora



Konsul Agnieszka Rączka wręcza dyplom jednemu z najstarszych uczestników konkursu, Antoniemu Peregudzie

JUBILEUSZ POLONISTYKI KIJOWSKIEJ

W dniach 21-24 września br. Instytut Filologii Kijowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Tarasa Hryhorowycza Szewczenki był gospodarzem Międzynarodowej Interdyscyplinarnej Konferencji Naukowej p.n. „Tradycja – Współczesność Pogranicza: Piśmiennictwo, Oświata, Historia”, zorganizowanej z okazji 15-lecia Katedry Polonistyki.

Na otwarciu sesji plenarnej w auli Instytutu Filologii wystąpili: Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny RP na Ukrainie Henryk Litwin, dyrektor Instytutu Literatury im. T. Szewczenki NAN Ukrainy prof. Mykoła Żułyński, dyrektor przedstawicielstwa Polskiej Akademii Nauk w Kijowie prof. Henryk Sobczuk, profesor Katedry Ukrainistyki Wydziału Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego Walentyna Sobol, prof. Wołodmyr Jerszow (Żytomierz), prof. Jarosław Ławski (Białystok) oraz kierownik obchodzącej jubileusz Katedry Polonistyki, członek korespondent NANU prof. dr hab. Rostysław Radyszewskij.

W imieniu Jego Świątobliwości Patriarchy Kijowa i całej Rusi-Ukrainy Filareta uczestników konferencji pobłogosławił profesor arcykapłan Witalij Kłos, który wręczył nagrody Cerkwi prof. R. Radyszewskiemu i profesorowi Katedry Teorii Literatury i Badań Porównawczych Instytutu Filologii Aleksandrowi Astafjewowi.

Cztery dni literaturoznawcy, kulturoznawcy, językoznawcy, literaci, tłumacze, historycy, pedagodzy, socjologowie i inni znawcy problematyki polonistycz-



„Pragnę, żeby Katedra Polonistyki była kulturowym centrum, badania którego ogarniają całą Ukrainę i pełny całokształt polsko-ukraińskich stosunków” – powiedział na konferencji kierownik Katedry Polonistyki, członek korespondent NANU prof. dr hab. Rostysław Radyszewskij

nej w siedmiu sekcjach debatowali na temat historii stosunków ukraińsko-polskich w przestrzeni pogranicza kulturowego: od dawnych czasów do współczesności.

Zgodnie z programem konferencji w Umaniu odbyło się też wyjazdowe spotkanie „Przy Okrągłym Stole” na temat: „Klasztory bazylianów w transkulturowej przestrzeni Europy Wschodniej” oraz zwiedzanie słynnego parku „Zofijówka”.

Wszystkie referaty prezentowane na konferencji zostaną opublikowane w XXVIII tomie „Kijowskich Studiów Polonistycznych”.

Antoni KOSOWSKI

ŚWIĘTO RADOŚCI I DUMY

11 listopada br. w stolicy Ukrainy odbyło się uroczyste przyjęcie z okazji Narodowego Święta Niepodległości Polski wydane przez Ambasadę RP na



Ukrainie. Wzięli nim udział m.in. polscy dyplomaci, pracownicy ambasad krajów akredytowanych w Ukrainie, przedstawiciele duchowieństwa różnych konfesji oraz Polacy Ukrainy.

Do licznie zebranych gości zwrócił się Ambasador RP na Ukrainie Henryk Litwin, który powiedział m.in.: „To jest dzień, który szczególnie docenia się właśnie w kontakcie z Polakami mieszkającymi za granicą. To jest święto, kiedy odczuwamy wspólnotę ogarniającą Polaków rozsiadanych po całym świecie, kiedy odczuwamy radość i dumę z tego, że razem współtworzymy nie tylko polską rzeczywistość, lecz również rzeczywistość tych ojczyzn, w których to Polacy zamieszkują”.

A.P.

15 LAT W RYTMIE FOLKLORU

Emocjonującym kalejdoskopem, złożonym z polskich tańców, pieśni narodowych i ludowych, suit, choreograficznych scenek, grotesek tanecznych, loterii fantowej i przemysłnej oprawy audiowizualnej obdarowali licznie zgromadzoną publiczność artyści kijowskiego zespołu „Polanie znad Dniepru” na koncercie galowym z okazji swego 15-lecia. Koncert odbył się 7 listopada br. w Centrum Kultury i Sztuki KNEU.

Zespół „Polanie znad Dniepru” ma na swoim koncie mnóstwo koncertów na Ukrainie i za granicą, ale sądząc z wypowiedzi samych artystów i słuchaczy, można przyznać, że to jubileuszowe show było prezentacją najpiękniejszych osiągnięć w promowaniu wartości ojczystej kultury i tradycji.

15 lat wspianiałej przygody z folklorem Polski to okres, który pozwolił zapracować na zasłużony prestiż. O etapach tej drogi i dniu dzisiejszym zespołu opowiada jego twórczyni i kierownik Łesia Jermak.

Historia i dzień dzisiejszy zespołu

Aby odrodzić polski folklor w Kijowie, ożywić kontakty między polską młodzieżą zamieszkującą Ukrainę, w listopadzie 2000 roku, z inicjatywy niżej podpisanej, powstał zespół „Polanie znad Dniepru”, który z czasem stał się zespołem reprezentacyjnym ZPU.

Zespół nasz jest znany zarówno w Kijowie, jak i na całej Ukrainie. Systematycznie uczestniczy w festiwalach, dniach kultury, koncertach, imprezach dobroczynnych, uroczystościach państwowych oraz licznych innych imprezach kulturalnych. Ponad 40 występów rocznie cieszy oko ukraińskich Polaków, jak również kijowian i gości stolicy, wszystkich tych, którzy pragną poznać piękno kultury polskiej: pieśni i tańce w wykonaniu zespołu „Polanie znad Dniepru”.

Zdobyliśmy liczne dyplomy, podziękowania, nagrody państwowe, jesteśmy laureatami wielu ogólnoukraińskich festiwali. Inicjujemy i organizujemy imprezy polonijne w Kijowie i na Ukrainie. Zainteresowanie zespołem wciąż wzrasta, zwiększa się liczba jego

uczestników i dzisiaj jest nas około 80 osób. Są to dzieci i młodzież polskiego pochodzenia.

Aktualnie zespół składa się z czterech grup wiekowych: maluchy (5-7 lat), młodsza (8-11), grupa średnia (12-14) oraz starsza (od 14 i starsze – bez ograniczeń). Dzieci i młodzież uczestnicząca w zespole poznaje pieśni i tańce, tradycje ludowe i obrzędy, a także ma możliwość uczenia się języka polskiego. W repertuarze zespołu znajdują się polskie (i ukraińskie) tańce ludowe i narodowe, regionalne przyśpiewki.

Każdy uczestnik zespołu jest zafascynowany i zaangażowany w to, co wspólnie robimy.

„*Polanie zapraszają!*” – tak brzmi tytuł corocznej imprezy-koncertu rozpoczynającego nowy szkolny rok. Corocznie razem obchodzimy Dzień Polonii: organizujemy koncert i – wspólnie z całymi rodzinami – festyny nad Dnieprem. Tworzymy wielką „Polańską rodziną nad Dnieprem” i z chlubą potwierdzi to każdy uczestnik zespołu.

Mamy wielu przyjaciół na wszystkich kontynentach. Poznaliśmy ich na polonijnych festiwalach zespołów folklorystycznych, na których mieliśmy szczęście gościć czterokrotnie. Odbывают się one raz na 3 lata w Rzeszowie (młodzieżowy) i Iwoniczu-Zdroju (dziecięcy). Czym jest dla mnie zespół „Polanie z nad Dniepru”? – Pasją, trybem i sensem życia. Dzięki uczestnikom zespołu nauczyłam się wielu rzeczy: cierpliwości, wyrozumiałości, szacunku do każdego człowieka. Jestem dumna, że mimo różnych trudności, w ciągu 15. lat wypielęgnowałam wiele młodych polskich serduszek. Wierzę, że razem z uczestnikami zespołu będziemy jeszcze długo popularyzować polską kulturę poprzez pieśń, taniec i miłość do folkloru.

Łesia JERMAK



Łesia Jermak i jej „dzieci” –
„Polanie znad Dniepru”

JESTEŚMY POLKĄ I POLAKIEM

14. listopada br. Dzień słotny. Deszcz niezbyt silny, a jednak... Wiatr porywisty, potęgający chłód, choć dzień jak na listopad niezbyt zimny. Centrum Kijowa. Majdan Niepodległości. Jak w każdym kraju, jest tu punkt, od którego zaczyna się pomiar odległości wewnątrz państwa i poza jego granicami. Obelisk pod globusem. Stąd do Warszawy 800 km. Do najbliższego przejścia granicznego z Polską 506 km.

Ale do Domu Architekta – zaledwie dwieście metrów. Krótkie podejście, lekko pod górę i odległość do Polski skurczyła się do... zera. Wewnątrz budynku już na schodach słychać polszczyznę. Wszędzie weseli młodzi ludzie w kolorowych kostiumach ludowych z różnych regionów Polski. Nad sceną napis przypominający wszystkim, że jest to akademie patriotyczna.

Z niewielkim opóźnieniem zaczynamy. Krótkie przedślowie w wykonaniu pani Łarysy Bułanowej i „Lekcja patriotyzmu” – tak nazwano akademie – rozpoczęła się.

Lekcję oparto przede wszystkim na poezji patriotycznej, przeplatanej tańcami ludowymi w wykonaniu zespołu „Polanie znad Dniepru”. Była także i muzyka. Mnie szczególnie zapadła w serce scena z udziałem 13 młodych skrzypków z Makarowa (Kijowszczyzna). Grali tak, że wspierała duma, że wśród ukraińskiej Polonii są takie talenty. Były tańce ludowe w wykonaniu dzieci i młodzieży z różnych ośrodków polonijnych Kijowa, Białej Cerkwi, Makarowa, Bykowni.

Prezentacja młodzieży była bardzo udana, choć nie uniknięto drobnych potknięć, bo jakby nie było – trema w takich występach jest zawsze obecna.

Patrzyłem na tańczącą młodzież i wciąż przypominałem sobie widziane jeszcze w Polsce, w młodości, zabawy na wsi. Popisy chłopaków, którzy w tańcu starają

się wykonać figury czasem niebezpieczne dla życia i zdrowia. Tańczące pary dziewcząt, bo chłopców przyszło mniej, a przecież wszystkim chciało się tańczyć. Na scenie nie tylko królował taniec, ale także dobra zabawa. To zresztą – obok bardzo dobrego zgrania – jest niewątpliwie bardzo ważną cechą „Polan znad Dniepru”

Występy recytatorskie były dość nierówne. Zresztą repertuar też mnie nie zachwycił. Uważam, że w obecnych realiach Ukrainy trzeba było zademonstrować poezję walczącą. Poezję, która by porywała do walki, pokazywała, co Polakom pomagało w walce o niepodległość. Ukraina nie miała takich doświadczeń, więc może polskie byłyby bardzo na miejscu.

Warto opisując przebieg akademie wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy. Na scenie wystąpiły najmłodsze dzieci. 6- i 7-latkowie jeszcze nieporadnie, ale bez kompleksów wykonali dwie piosenki. I to jest bardzo ważne. Rośnie następne pokolenie wykonawców. Jest ciągłość pokoleniowa – a zespół ma już 15 lat!

Trzeba pogratulować paniom, które prowadzą zajęcia w sobotniej szkole. Które uczą dzieci nie tylko poprawnej polszczyzny, ale i obycia ze sceną, swobody w wystąpieniach publicznych. Są to cechy, których nie da się wyuczyć teoretycznie, a bez nich dorosłe życie będzie zdecydowanie trudniejsze.

Ostatnia piosenka wykonana przez uczniów polskiej sobotniej szkoły w Kijowie okazała się głównym mottem akademie. Słowa: „Jesteśmy Polką i Polakiem” głośno zabrzmiały w sali odległej o 200 metrów od punktu, od którego mierzy się wszystkie odległości w Ukrainie, czyli od jej serca, nazwę którego w języku ukraińskim zna cały świat – od Majdanu!

Wojciech CACKOWSKI



Na scenie artyści i goście akademie

„POLACY NIEŻYNA”

Pod takim tytułem ukazał się drukiem nowy katalog informacyjny, poświęcony 390. rocznicy przyznania miastu Nieżynowi Praw Magdeburskich i 15. rocznicy powstania Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia Polaków „Aster”.

Katalog informacyjny jest pierwszą publikacją poświęconą optymalnej katalogizacji informacji biograficznej o Polakach z Nieżyna. Zamieszczono w nim blisko trzysta biograficznych deskrypcji o Polakach, losy których od pierwszego dziesięciolecia XVII wieku i do chwili obecnej były czy też nadal są powiązane z Nieżynem, z jego społeczno-kulturalnym środowiskiem. Zdecydowana większość danych publikowana jest po raz pierwszy. Książka skierowana jest do naukowców, krajoznawców, wszystkich tych, których interesuje historia i kultura tego sławnego miasta, ukraińsko-polskie więzi, kwestie genealogii.

Katalog rozpoczyna się słowem wprowadzającym Ambasadora RP na Ukrainie Henryka Litwina, który m.in. zaznaczył: „*Nieżyn jest jednym z najstarszych miast ukraińskich Polesia, politycznym i gospodarczym centrum największego pułku kozackiego, potężnym kulturalno-*

oświatowym ośrodkiem współczesności. Ważną rolę w jego rozwoju odegrali zamieszkujący tu przedstawiciele różnorodnych grup etnicznych. Wśród nich szczególne miejsce należało do Polaków. [...] Dzięki utworzonemu tu w 1999 r. stowarzyszeniu Polaków stało się możliwym otworzyć nowe strony historii, aby wyświetlić rolę narodu polskiego we wszystkich dziedzinach powojennego i współczesnego Nieżyna. [...] Uważam, że znaczącym osiągnięciem Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia Polaków „Aster” jest, to że było ono w stanie zintegrować tutejszą polską wspólnotę, uaktywnić jej działalność, zajmując poprzez to właściwe jej miejsce w życiu kulturalnym współczesnego Nieżyna”.

Zaznaczyć należy, że katalog ujrzał świat przede wszystkim dzięki tytanicznej pracy Stowarzyszenia Polaków „Aster”, na czele z niewyczerpalną w pomysłach i konsekwentną w ich realizacji prezesą Feliksą Bielińską.

W tym roku prezentację zaszczytliwi swoją obecnością Radca-Minister Ambasady RP na Ukrainie Gerard Pokruszyński, Konsul RP w Kijowie Agnieszka Rączka, redaktor „Dziennika Kijowskiego” Stanisław Panteluk.

Andżelika PŁAKSINA

„RAZ, DWA, TRZY I PO POLSKU MÓWISZ TY!”

Pod takim tytułem ukazał się drukiem nowy podręcznik (I tom) do nauki języka polskiego na Ukrainie. Podręcznik przeznaczony jest dla nauczycieli i uczniów szkół sobotnio-niedzielnich. Inicjatorem i współwydawcą skryptu jest Fundacja „Wolność i Demokracja”.

Prezentację książki odbyły się w różnych miastach Ukrainy, w tym i w Kijowie. Zawitali na nie: członek rady programowej Fundacji „Wolność i Demokracja” Rafał Dzieciołowski i sekretarz Zarządu Fundacji Robert Czyżewski. Wraz z przedstawicielami Fundacji na prezentację przyjechał także redaktor podręcznika Piotr Kajak.

Podręcznik wydały, wspólnym nakładem sił, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Fundacja „Wolność i Demokracja”, Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców „Polonicum” UW



Okładka nowego podręcznika

przy współpracy z Centrum Metodycznym w Drohobyczu.

Autorkami są: Katarzyna Kołak, Małgorzata Malinowska, Anna Rabczuk, Dorota Zackiewicz. Redaktorem metodycznym i programowym Piotr Kajak. Za ilustracje i szatę graficzną odpowiadała Marta Zabłocka.

Podręcznik jest współfinansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych uzyskanych w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2105 roku” za pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja” w ramach projektu „Białe-czerwone ABC. Program wspierania oświaty polskiej na Ukrainie”.

Po prezentacji podręczniki rozdano przedstawicielom szkół sobotnich Kijowa i obwodu kijowskiego.

A.P.

NIE MAMY PRAWA MILCZEĆ...

„Holocaust – to nie tylko ból i tragiczna stronica historii narodu żydowskiego. Holocaust – to część historii XX wieku, to żydowska historia, to nasza historia. My, współcześni, zobowiązani jesteśmy dokonać analizy niezgłębionej spuścizny Holocaustu, tej tragedii, która przepełniła nasze uczucia i myśli; tragedii, która zniszczyła ogromną warstwę kultury europejskiej...”

Jestem głęboko przekonany, że istnieje jedyna droga wiodąca do zrozumienia tej humanitarnej tragedii, której dokonali sami ludzie. [...] Ta jedyna droga znajduje się wyłącznie w sferze uczuć, uświadomienia sobie tego, że Holocaust, katastrofa europejskich Żydów w czasach nazizmu i II wojny światowej – to wspólna tragedia, wspólna historia: żydowska, polska, ukraińska... Żydzi żyli wśród nas, byli częścią naszej historii i kultury. Tylko pod warunkiem, że zgodzimy się przyjąć i przyjmiemy historię Holocaustu jako naszą własną, a nie «ich» historię, wyłącznie pod takim i tylko pod takim warunkiem mamy szansę ostać się w tym świecie...

Jak zawsze, literatura nas ratuje. Dzisiaj właśnie literatura, poezja, są w stanie wywołać empatię, zrozumienie, że była to wspólna tragedia, poczucie odpowiedzialności za pamięć o niej. Pod tym względem niezwykle „silny emocjonalnie” jest tomik wierszy polskiego poety Mateusza Pieniażka «Lamentacje» i cykl utworów pt. «Siedem świec». I oto teraz – dzięki doskonałemu, pełnemu ekspresji przekładowi Ihora Pizniuka – ukraiński czytelnik może niejako «dotknąć» poezji M. Pieniażka.



Polski poeta, ukraiński tłumacz, żydowska tematyka! Właśnie takie wyjście ma ludzkość: pamiętać, że to była nasza wspólna historia, poczuć odpowiedzialność za wspólne historyczne szlaki, pamiętać, że Holocaust to część żydowskiej, polskiej i ukraińskiej historii.”

Te słowa pochodzą ze wstępu do dwujęzycznej książki „Lamentacje”, a ich autorem jest dr Anatolij Podolski – dyrektor Ukraińskiego Centrum Badań Historii Holocaustu.

...Wiele lat temu, na cichy cmentarz żydowski w Przemyślu zaczął przychodzić bardzo utalentowany poeta i jednocześnie niezwykle wrażliwy człowiek – Mateusz Pieniażek. To właśnie tam, na ciepłych płytach nadgrobnych powstał wspaniały cykl wierszy pt. „Lamentacje”. Każdy z utworów tego cyklu opowiada o losie konkretnej osoby, która spoczywa na tym właśnie cmentarzu. Autor zadał sobie wiele trudu, by wyjaśnić w archiwach, kim był, czym się zajmował każdy z bohaterów jego wersetów. W ten sposób powstało 20 wierszy, z których każdy opowiada o losie, dodajmy, tragicznym losie żydowskich kobiet, mężczyzn i dzieci. I każdy wiersz jest wołaniem zmarłego o zadumę, o pamięć i o łzę...

Kiedy w 2006 roku przywiozłam te wiersze do Kijowa, tłumacz Ihor Pizniuk postanowił przetłumaczyć je na język ukraiński, bowiem wywarły na nim ogromne wrażenie. Dowiedziałam się o istnieniu przekładu i postanowiłam doprowadzić do tego, by ukraiński czytelnik mógł zapoznać się z tymi pięknymi i wzruszającymi utworami. Zanim jednak to nastąpiło, zaproponowałam poecie, by napisał cykl wierszy o tragedii Babiego Jaru – 7 wierszy jak 7 świec w menorze. Po tygodniu były gotowe. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie wywarły. Długo, cicho płakałam. Były ogromnie wzruszające, były zapisem bólu tysięcy, dziesiątek tysięcy niewinnych ludzi, którzy zginęli tylko dlatego, że byli Żydami.

I wtedy właśnie nie miałam już żadnych wątpliwości: moim obowiązkiem jest wydać te utwory. Wydać w formie albumu z czarnobiałymi fotografiami z przemyskiego cmentarza i kijowskiego Babiego Jaru. Fotografie „przemyskie” wykonał autor wierszy – Mateusz Pieniażek. Zapewne dlatego są tak wzruszające, że zrobił je sam poeta. Fotografie z Kijowa są dziełem Serhija Ferina – znakomitego profesjonalisty. Całości nadał piękny, arty-

styczny kształt Mychajło Rojik – redaktor techniczny. Pomoc okazała mi także moja koleżanka Jana Ilnicka, która zredagowała teksty. Książka została wydrukowana, i to znakomicie, w drukarni należącej do Antona Korwina-Piotrowskiego. To dzięki wszystkim tym wspianym ludziom powstał unikalny wolumin.

Ale był jeszcze ktoś, ktoś bardzo ważny, bez kogo ta książka nie mogłaby ujrzeć światła dziennego. Ktoś, komu należą się szczególne słowa wdzięczności. To pan Anatolij Podolski – dyrektor Ukraińskiego Centrum Badań Historii Holocaustu (a jednocześnie autora pięknego wstępu), którego poznałam w trakcie przygotowań do wydania książki. Serdeczność, zrozumienie i pomoc, jakie okazał mi pan Podolski, utwierdziły mnie w przekonaniu, że pora zabrać się do realizacji tej szczytnej idei.

Prezentacja książki odbyła się w dniu 10 czerwca 2008 r., w Centrum Studiów Polsko-Europejskich Kijowsko-Mohylańskiej Akademii.

...Wszystko ma swój czas. Moment właściwy, aby zdarzyło się coś, o czym nawet nie można było marzyć. Oto minęło 7 lat od tamtego wydarzenia. W piwnicy mojego domu leżało jeszcze kilkadziesiąt egzemplarzy „Lamentacji”. Jeden z nich postanowiłam podarować państwu Denekom-Białuckim: Oldze i Eugeniuszowi, których bezinteresowna pomoc i wielkie serca dobrze znane są Polakom Kijowa (oboje są lekarzami).

Państwo Denekowie uśmiechnęli się wówczas tajemniczo. Chyba już wtedy wiedzieli, co zrobią...

A zrobili rzecz niezwykłą. Postanowili podarować 100 egzemplarzy tomiku „Lamentacje” instytucji, gdzie już dawno – ich zdaniem – powinien się być znajdować: Żydowskiej Miejskiej Bibliotece im. Oszera Szwarcmana, która znajduje się w stolicy Ukrainy przy ul. Striteńskiej 4/13, a którą kieruje osoba niezwykła – Pani Tatiana Babuszkina.

Jedno spotkanie „robocze” z Panią Tatianą i współpracownikiem biblioteki Panem Maratem Strakowskim i oto... 1 października br. sala biblioteki wypełniła się ludźmi, którzy pamiętają. Pamiętają o tamtej potwornej zbrodni i o jej niewinnych ofiarach. O tragedii Babiego Jaru, którego ból wciąż jeszcze odziera każde wrażliwe serce...

W wieczorze pamięci męczenników Babiego Jaru pt. „Świece nie gasną – serce krąży”, w ramach którego odbyła się „powtórna” prezentacja tomiku wierszy Mateusza Pieniążka „Lamentacje” i ceremonia przekazania przez Państwa Deneków-Białuckich Bibliotece im. Oszera Szwarcmana 100 jego egzemplarzy wzięli



Od lewej: Eugeniusz Deneka-Białucki, Dorota Jaworska, Władlen Portnikow, Konsul RP Agnieszka Rączka

udział, oprócz samych Darczyńców, m.in.: Konsul RP Pani Agnieszka Rączka, Dyrektor Ukraińskiego Centrum Badań Historii Holocaustu Anatolij Podolski, Dyrektor Kijowskiego Miejskiego Stowarzyszenia Żydów – Anatolij Szengajt, znawca sztuki, wdowa po známym działaczu społecznym Ołeksandrze Szłajenie – Ałła Rowenko, członkowie Kongresu Literatów Ukrainy Ludmiła Usenko i Anatolij Zarecki, działaczki społecznych organizacji Polaków Ukrainy: Maria Siwko i Irena Gilowa, pracownicy biblioteki oraz młodzi i starsi ludzie o wrażliwych sercach.

Wieczór poprowadził Władlen Portnikow – znany aktor, kierownik Centrum Inicjatyw Twórczych. Minutą ciszy uczczono pamięć ofiar Holocaustu. Wysłuchano wierszy pochodzących z tomiku „Lamentacje”, poematu Jewhenii Mołczanowej „Babij Jar”, wzruszających pieśni w wykonaniu młodej, utalentowanej śpiewaczki Adeli Szurubury. Wspominano...

Podczas wieczoru pamięci Konsul RP Pani Agnieszka Rączka powiedziała znamienne słowa: „*Trzeba wciąż mówić o tamtych wydarzeniach. To dobrze, że młodzież chce o nich wiedzieć i czytać. Jednak wydaje mi się, że historyczna literatura nie może tak głęboko i tak jasno odzwierciedlić uczucia, jak jeden wiersz...*” To prawda. „*Literatura nas ratuje*”...

Serdecznie dziękuję Pani Dyrektor Bibliotece im. Oszera Szwarcmana i jej miłym współpracownikom za wspianale zorganizowany wieczór pamięci, za głębokie wzruszenia, za łzy...

Dziękuję Państwu Oldze i Eugeniuszowi Denekom-Białuckim za to, że – jak na lekarzy przystało – podarowali książkę „Lamentacje” jeszcze jedno życie...

Dorota JAWORSKA
Zdj. Marat Strakowski

NOWE OTWARCIE

Łaska wyborców na pstrym koniu jeździ. Przekonały się tym najbardziej podczas wyborów parlamentarnych 25 października bieżącego roku rządzące przez osiem lat, od 2007 r., co jest w warunkach polskich swoistym wyczynem – Platforma Obywatelska i jej mniejszy koalicjant Polskie Stronnictwo Ludowe oraz lewica. Wygląda na paradoks to, że w sytuacji, gdy sprawy w Polsce szły dobrze, kraj piękniał i się rozwijał, publiczny dochód państwa wzrastał, finanse publiczne osiągnęły stabilność, a bezrobocie spadło poniżej 10%, poparcie dla koalicji PO-PSL malało i zmierzało do porażki. Złożyło się na to wiele czynników. PO straciła masę głosów w najmłodszym pokoleniu, które zmiany uznały za powolne, niewystarczające i połowiczne, i swe poparcie przerzuciło na ugrupowanie populisty Pawła Kukiza oraz inne partie. Platformie zaszkodziły również niepochlebne zachowania niektórych czołowych polityków, zwłaszcza wypowiedzi i opinie wyrażone w nagranych potajemnie i opublikowanych w mediach rozmowach przy kolacji w drogich restauracjach, w dodatku na koszt podatników. Natomiast PSL straciło głosy w swych tradycyjnych bastionach – wśród rolników i na wsi. Polska wieś i rolnicy zyskali najwięcej na wejściu Polski do Unii Europejskiej i żyją nieporównanie lepiej niż w czasach PRL. W tym jednak roku w całej Europie i w Polsce spadły ceny skupu na mleko i mięso wieprzowe, a to zasadnicze źródła przychodów dla wielu gospodarstw. Ponadto rolnicy ponieśli duże straty z powodu suszy. Minister rolnictwa z PSL Marek Sawicki robił, co tylko mógł, aby ratować sytuację. Wielu wyborców uwierzyło jednak w to, co mówiło Prawo i Sprawiedliwość, iż można było zrobić więcej i oni, mając władzę, by to zrobili. A oprócz tego liczni politycy PO i PSL już się ludziom

opatrzyli i chcieli oni jakiegokolwiek zmiany, byle tylko nastąpiła.

Wszystkie te okoliczności zręcznie i bezlitośnie wykorzystało Prawo i Sprawiedliwość. Prezes tej partii Jarosław Kaczyński, kandydatka na premiera Beata Szydło i inni czołowi politycy PiS powtarzali wszędzie i w kółko, że Polsce potrzebna jest duża, dobra zmiana, że oni taką zmianę, korzystne reformy i postęp gwarantują, że to nieprawda, iż pewnych rzeczy nie da się zrobić, oni takich przeszkód nie widzą. W dodatku PiS, jak uprzednio obecny Prezydent Andrzej Duda, wszystkim i każdemu obiecywali złote góry, a zwłaszcza dodatki na każde dziecko po 500 zł miesięcznie, podniesienie kwoty wolnej od podatku dochodowego, przywrócenie poprzedniego wieku emerytalnego, czyli nie 67 lat dla wszystkich – tylko 60 dla kobiet i 65 dla mężczyzn, bezpłatne leki dla seniorów po ukończeniu 75 lat, itd. itp. PiS zręcznie grało także na ludzkich emocjach, rozbudzało uczucia patriotyczne, narodowe i chrześcijańskie, odwoływało się do chlubnych tradycji biało-czerwonych i rozbudzało wielkie nadzieje na przyszłość.

Wszystko to sprawiło, że w wyniku wyborów w Polsce zaczyna się nowe otwarcie, wielki zwrot w polityce państwowej i w sposobie rządzenia. Nie każdy jeszcze uświadamia sobie, co się może wydarzyć. Czy będzie to wielki skok do przodu i w dobrym kierunku, czy wręcz przeciwnie, jak to przeczytałem w jednej wypowiedzi, paradoksalnie członka PiS, iż ten pociąg zmierza nieuchronnie do wykolejenia, tylko nie wiadomo, kiedy to nastąpi.

Ta zasadnicza zmiana na polskiej scenie politycznej, przekazanie władzy z PO-PSL do PiS, nie jest niczym nadzwyczajnym. W systemach demokratycznych jest



to na porządku dnia. Jedni odchodzą, a drudzy przychodzą, kraj zaś trwa w swych fundamentach i dalej się rozwija. To, co zaszło 25 października, świadczy jak najlepiej o polskiej demokracji i systemie prawnym. I tak jest przez większość Polaków przyjmowane.

W wyborach parlamentarnych w Polsce startowało 7 partii i 1 koalicja. Pięć z nich jest na scenie politycznej od lat. PSL ma nawet ciągłość historyczną ruchu ludowego od 120 lat. Trzy partie powstały dopiero niedawno, w tym roku. Są to: ugrupowanie (nie partia) śpiewaka Pawła Kukiza, liberalna Nowoczesna Ryszarda Petru i Partia Razem utworzona przez młodych zwolenników lewicy. Ich powstanie zaprzecza tezie, jakoby polska scena polityczna była zabetonowana i nic nowego nie da się utworzyć oraz rozwinąć skrzydła.

Rezultaty wyborcze są następujące:

PiS – 37,58% głosów, 235 mandatów poselskich;
 PO – 24,09%, 138 posłów;
 Kukiz'15 – 8,81%, 42 posłów;
 Nowoczesna – 7,60%, 26 posłów;
 PSL – 5,13%, 18 posłów;
 Mniejszość Niemiecka – 1 poseł;
 Koalicja Zjednoczona Lewica – 7,55%;
 Korwin-Mikke – 4,76%;
 Partia Razem – 3,62%.

Próg wyborczy dla partii to 5%, dla koalicji – 8%.

Frekwencja głosujących była niezła – 50,9%. Po raz pierwszy w Sejmie zasiadzie 215 posłów – na 460 ogółem. Kobiet w Sejmie jest 119 (27%), tj. o 7 więcej niż w poprzednim. PiS przekroczył konstytucyjną większość, która wynosi 231 posłów, co oznacza, że rząd może tworzyć samodzielnie, bez koalicjanta. Po 1989 r. zdarzyło się to pierwszy raz. Jest to niewątpliwy sukces PiS.

W Senacie zasiada zaś: 63 senatorów z PiS, 31 z PO, 1 z PSL, 5 jest niezależnych. Tak więc i w Senacie PiS ma zdecydowaną większość. Kobiet jest 13, czyli 13%, ciut więcej.

Sejm i Senat podjęły pracę 12 listopada. Marszałkiem Sejmu został Marek Kuchciński, doświadczony poseł i długoletni wicemarszałek, a Marszałkiem Senatu Stanisław Karczewski. Obaj, rzecz jasna, są z PiS.

Wyniki wyborów są spodziewanym, ale jednak sukcesem większym niż się spodziewano. To niewątpliwy triumf nie tylko tej partii, lecz osobiście jej prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Przegrał on po 2007 r. siedem kolejnych wyborów o znaczeniu krajowym, ale nie



Beata Szydło – premier rządu RP

zniechęcił się. Powtarzał, że PiS potrzebna jest taka wygrana i ona nadejdzie, żeby móc rządzić samodzielnie i wcielić w życie taką wizję i kształt państwa, jaka jemu wydaje się najbardziej racjonalna i pożądana. I swego dopiął. Gdy na dwa tygodnie przed dniem głosowania kampania Beaty Szydło poczęła nieco „siadać”, wyszedł z cienia, z pewnego ukrycia, wyruszył na spotkania z wyborcami w całej Polsce i w płomiennych przemówieniach, dobrze przemyślanych i problemowo nie powtarzających się, zagrzewał do walki o zwycięstwo. I to poskutkowało.

W obecnym układzie politycznym nie pełni on żadnej funkcji w rządzie ani w Sejmie. Wiadomo jednak powszechnie, mocno pociąga za sznurki, o wszystkich decyzjach programowych i personalnych decyduje. Jest jakby naczelnikiem państwa, głównym jego obecnie strategiem. Przychodzi mu to o tyle łatwiej, że ma bezpośredni i przemożny wpływ na prezydenta, premiera, rząd, Sejm i Senat. Czy to okaże się atutem i przyniesie korzyści Polsce – nie tylko doraźne, ale w dłuższej perspektywie – trudno na razie powiedzieć. A w obecnym układzie wszelkie osiągnięcia będą przypisywane Kaczyńskiemu i PiS, jak i porażki pójdą na ich konto. To dwoista sytuacja.

A co dzieje się w szeregach dzisiejszej opozycji? PO straciła ponad 70 mandatów poselskich, około 30 senatorskich i pozycję lidera w kraju. PSL ledwo przekroczył barierę progu wyborczego, uzyskując najgorszy wynik w 25-leciu. Lewica po raz pierwszy po transformacji nie ma żadnego przedstawiciela w parlamencie, jeśli nie liczyć dawnego przewodniczącego Sojuszu Lewicy Demokratycznej Grzegorza Napieralskiego, który mandat senatora zdobył z listy PO w Szczecinie. To po prostu klęska. Z przegranych zadowolenie wykazują

tylko młodzi lewicowcy z Partii Razem, którym w ostatniej chwili złe notowania poprawił świetnym występem w debacie telewizyjnej Adrian Zandberg, dzięki czemu przekroczyła 3%, a więc uzyskała prawo do finansowania z budżetu państwa, a zatem środki na dalszy rozwój. W szeregach opozycji trwa leczenie ran, ocena błędów z kampanii wyborczej, rozliczanie przywódców i poszukiwanie dróg i strategii dalszej działalności. Najszybciej ze stanowiska prezesa PSL ustąpił były już wicepremier Janusz Piechociński. Zastąpił go 35-latek był świetny minister pracy Władysław Kosiniak-Kamysz. Dotychczasowa premier Ewa Kopacz zrezygnowała z ubiegania się o funkcję przewodniczącej PO. W grudniu na zjeździe ma ustąpić przewodniczący SLD Leszek Miller. Nie wiadomo, jak w Sejmie będą się zachowywali posłowie Pawła Kukiza, wśród których jest dziesięciu narodowców, głoszących często hasła skrajnie nacjonalistyczne. Sam Kukiz zapowiedział, że w okresie dwu lat rozwali obecny system władzy i doprowadzi do przyjęcia nowej konstytucji. Nowoczesna Ryszarda Petru zapewne stać będzie na straży interesów polskiego biznesu i pilnować, aby firmy prywatne miały dogodne warunki do rozwoju. Ogólnie można powiedzieć, że partie opozycyjne będą wspierać dobre pomysły i działania PiS, a krytykować i obnażać złe zakusy władz oraz strzec demokracji i samorządności.

Rząd premier Beaty Szydło przystąpił do pracy 16. listopada. Pani Premier ma 62 lata, jest z wykształcenia etnografem, ale uchodzi za znawczynię problemów finansowych (przez 7 lat była burmistrzem Brzeszcz), pełni obowiązki wiceprezesa PiS. Jest trzecią w Polsce kobietą na funkcji premiera – po Hannie Suchockiej i Ewie Kopacz. Istnieją obawy, że nie będzie zbyt samodzielna, tylko pod silnym wpływem Jarosława Kaczyńskiego. Właśnie on, wraz z paroma zaufanymi osobami z rady politycznej, konstruował rząd. Beata Szydło włączyła się do rozmów z kandydatami na ministrów dopiero w końcowej fazie. Jakoby dlatego, że musiała odpocząć po dwu kampaniach wyborczych (była też szefową sztabu A. Dudy w wyborach prezydenckich). Dlatego mówi nie „mój rząd”, tylko „rząd PiS”. Poczekamy, zobaczymy, jak to będzie w praktyce.

W skład rządu wchodzi trzech wicepremierów i 21 ministrów, o 4 więcej niż w poprzednim. Mniej więcej połowa a nich ma doświadczenie pracy w rządzie PiS w latach 2005 – 2007. Zmieniono nazwy i kompetencje wielu resortów, zwłaszcza gospodarczych, powołano nowe, np. energii oraz gospodarki morskiej i żegluga

śródlądowej. Specjaliści-publicyści za udany oceniają dobór ludzi na stanowiska ministrów ze sfery gospodarczej. To nadzieja, że nic nie sknocą, a coś dobrego zainicjują. Natomiast zdziwienie i obawy wywołały nominacje na ministra obrony Antoniego Macierewicza, ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry i na ministra koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego.

Rząd przystąpił do pracy bardzo ostro. Niezwykle ważne będzie pierwszych sto dni pracy. Pokażą one na co Polacy mogą liczyć. A trudnych spraw już na starcie nie brakuje. To w pierwszej kolejności korekta przygotowanego przez poprzedników budżetu państwa tak, aby było z czego pokryć realizację obietnic z kampanii wyborczych Andrzeja Dudy i Beaty Szydło. A chodzi o kwoty sięgające po kilkadziesiąt miliardów złotych rocznie. W skarbcu takich rezerw nie ma. PIS mówi, że znajdzie je w uszczelnianiu ściągłości podatków i opłat oraz w nowym podatku bankowym i od obrotów w sklepach wielkopowierzchniowych. Wielu finansistów i polityków twierdzi, że może się to nie udać.

Pilnych jest sporo innych problemów, np. nabrzmiała sytuacja w górnictwie węgla kamiennego, deficytowe kopalnie, brak funduszy na wypłaty górnikom. Emocje rozpala sprawa uchodźców – wywiązać się z ustaleń w Unii Europejskiej, że Polska przyjmie ich około 7 tysięcy czy też, jak chcą niektórzy, uchylić się od tego obowiązku. Na porządku dnia stają inne problemy i zapowiedzi, jak zmiany w sądownictwie i prokuraturze, w Trybunale Konstytucyjnym, zmiany w mediach publicznych, budowa tanich mieszkań na wynajem, likwidacja gimnazjów, cofnięcie wdrażanego w życie obowiązku szkolnego z 6 lat na 7, jak dawniej itd., można byłoby wyliczać. Obserwatorzy krytykują, że zamiast doskonalić to, co już jest i nieźle funkcjonuje, jak to bywa w krajach dojrzałej demokracji, PiS wiele spraw cofa, odwraca przyjęte już ustawy. Niepokój wzbudzają tendencje o charakterze ustrojowym, dążenie do wzmacnianie władzy wykonawczej, czyli prezydenta i premiera kosztem władz ustawodawczych i sądowniczych. Głośno i otwarcie przekonuje się też o konieczności zmiany obowiązującej konstytucji, którą większość uznaje za wyważoną i dobrze się sprawdzającą w praktyce. By jednak tego dokonać PiS nie ma w Sejmie wystarczającej większości 2/3 ogółu posłów, tj. co najmniej 307.

Nowa władza, na samym starcie, staje więc przed wieloma trudnymi dylematami. A jest jasne, że jak nie przystąpi – i to stosunkowo szybko – do spełniania za-

powiedzianych ulg, dodatków, zmian w spłacie kredytów i podobnych przyrzeczeń, elektorat PiS może się od tej partii odwrócić, zwłaszcza ten roszczeniowy, który z siebie daje mało, a od państwa oczekuje dużo, najlepiej za darmo, bo mu się to, rzekomo, należy.

W konsekwencji politycy, nawet ci z opozycji, życzą, by PiS się powiodło, bo dobrze życzą Polsce i Polakom. Jednocześnie Polacy spodziewają się, że – jak to zapowiadał Jarosław Kaczyński – zwycięski PiS nie będzie szukał odwetu i zemsty na swych przeciwnikach politycznych, a będzie zmierzał do budowy zgody i wspólnoty narodowej. I że wreszcie przyczyni się do wyciszenia wojny polsko-polskiej, oczyści atmosferę nienawiści i wzajemnych oskarżeń, zwłaszcza na linii PiS-PO. Partia Kaczyńskiego cieszy się przychylnością Kościoła katolickiego. To ją poniekąd obliguje, by na co dzień kierować się zasadami Dekalogu i cnót chrześcijańskich. Należy wierzyć, że nieuniknione kontakty i współdziałanie toczyć się poczną w tym duchu.

W ponad godzinny exposé wygłoszonym 18 listopada w Sejmie Prezes Rady Ministrów Beata Szydło podkreśliła, że rząd PiS wywiąże się z wszystkich przed-

wyborczych deklaracji, a ich spełnianiem zajmie się już w okresie pierwszych stu dni urzędowania. Dziennikarze od razu wyłapali, iż tych obietnic przytoczyła 43. Zaznaczyła, że polska polityka musi być inna niż dotychczas. Koronnym zadaniem będzie przyspieszenie rozwoju gospodarczego, skala i wyższe nakłady inwestycyjne, aby jak najszybciej wyrwać się z poziomu średniego rozwoju. Służyć będzie temu racjonalniejsze wykorzystanie funduszy unijnych i własnych oraz elastyczna polityka kredytowa. Polacy w większym zakresie będą korzystać z owoców rozwoju kraju. Polityka rządowa sprzyjać będzie pomyślności polskich rodzin, zdrowiu, edukacji dzieci i młodzieży, twórcom kultury, sprawiedliwości społecznej, bezpieczeństwu narodowemu i obywateli. Służby zagraniczne zatroszczą się o wyższą pozycję Polski w świecie, o ściślejszą więź i współpracę z Polonią, a w razie konieczności Polacy ci będą ewakuowani do kraju. Premier wyraziła przekonanie, że w zgodnej współpracy, razem, Polacy sprostają najtrudniejszym i najambitniejszym wyzwaniom.

Eugeniusz JABŁOŃSKI

Warszawa



Sala posiedzeń Sejmu RP

W STOWARZYSZENIU EKSPORTERÓW POLSKICH

Informacja o przebiegu XIV Kongresu Eksporterów Polskich

W dniu 19 listopada 2015 r. w Ministerstwie Rozwoju w Warszawie odbyły się XIV Kongres Eksporterów Polskich (KEP), Gala oraz uroczystość poświęcenia Sztandaru Stowarzyszenia Eksporterów Polskich zorganizowane przez Stowarzyszenie Eksporterów Polskich (SEP), pod honorowym patronatem Ministra Gospodarki, Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz Marszałków Województw. Tematem XIV KEP była perspektywa finansowa na lata 2014 – 2020 na rzecz rozwoju polskiego eksportu. Tematyka ta wyszła naprzeciw oczekiwaniom eksporterów w zakresie wykorzystania funduszy unijnych na cele proinnowacyjnego i proeksportowego rozwoju gospodarki.

Celem XIV KEP było dalsze pogłębienie więzi i współpracy eksporterów z przedstawicielami resortów gospodarczych oraz Wydziałami Promocji Handlu i Inwestycji Ambasad RP na rzecz eksportu stanowiącego siłę motoryczną rozwoju gospodarki. XIV KEP prowadzili Prezes Zarządu SEP Mieczysław Twaróg i Przewodniczący Rady Głównej SEP Stefan Tkaczyk.

Na wstępie XIV Kongresu Jego Eminencja Ksiądz Kardynał Kazimierz Nycz, Metropolita Warszawski, dokonał poświęcenia Sztandaru SEP i udzielił błogosławieństwa uczestnikom Kongresu i eksporterom ze wszystkich branż i regionów Polski. Poczet Sztandaru wystawiła Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie.

Następnie Przewodniczący Rady Głównej SEP Stefan Tkaczyk przeczytał List Prezydenta RP Andrzeja Dudy skierowany do uczestników XIV Kongresu i wszystkich eksporterów polskich.

Należy podkreślić, że w XIV KEP wzięli udział m.in. przedstawiciele Ministerstwa Gospodarki, Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz przedstawiciele ambasad i ministerstw: finansów, gospodarki, rolnictwa, infrastruktury i rozwoju oraz spraw zagranicznych, izb gospodarczych i stowarzyszeń, a także dziennikarze z prasy, radia i telewizji.

W części merytorycznej XIV Kongresu przedstawiono ocenę działań w zakresie aplikacji funduszy unijnych w latach 2014 – 2020 na rzecz urzeczywistniania proinnowacyjnego i proeksportowego rozwoju gospodarki polskiej. Omówiono działalność MG i Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji Ambasad RP na rzecz promocji rozwoju eksportu oraz zagranicznej ekspansji

przedsiębiorstw. Przedstawiono zagadnienia dotyczące działań w zakresie wykorzystania funduszy unijnych w latach 2014 – 2020 na rzecz rozwoju eksportu.

Podczas XIV KEP zwrócono uwagę na potrzebę dalszego usprawniania rozwiązań systemowych nakierowanych na proinnowacyjny rozwój gospodarki i optymalny wzrost eksportu. Odniesiono się także do strategii zagranicznej ekspansji przedsiębiorstw, a zwłaszcza promocji i możliwości otwierania nowych rynków zagranicznych oraz pogłębienie w tym zakresie działań eksporterów. Zwrócono także uwagę na potrzebę bardziej otwartej współpracy z mediami, w tym z prasą krajową i zagraniczną, a także z mediami polonijnymi.

Celem nadrzędnym XIV KEP było określenie działań na rzecz przekształcenia gospodarki na proinnowacyjną i proeksportową. Wychodząc naprzeciw potrzebom eksporterów – XIV KEP dokonał oceny stanu i perspektyw urzeczywistnienia „Strategii proeksportowego rozwoju gospodarki polskiej”.

W trakcie XIV KEP eksporterom i publicystom wręczone zostały nagrody Ministra Gospodarki. SEP wręczyło Medale Honorowe „Zasłużony dla Eksportu”, puchary i Listy Gratulacyjne „Wybitny Eksporter Roku 2015”, Medale SEP „Wybitny Eksporter Roku 2015”, Listy Gratulacyjne i Medale „Publicysta Ekonomiczny Roku 2015”.

SEP pragnie serdecznie podziękować eksporterom, którzy zorganizowali degustacje swoich produktów dla uczestników XIV KEP oraz Hucie Szkła Gospodarczego Tadeusza Wrześniaka za wykonanie Pucharów dla laureatów Konkursu „Wybitny Eksporter Roku 2015”.

Należy stwierdzić, że w Stanowisku XIV KEP podkreślono dążenie eksporterów do dalszego rozwoju eksportu oraz nadania mu priorytetowego znaczenia w ramach długofalowej polityki społeczno-gospodarczej i nowej perspektywy finansowej na lata 2014 – 2020. W tym zakresie winny być wykorzystane odpowiednie instrumenty wsparcia eksportu, aby nadal pozostał on wizytówką gospodarki polskiej.

Mając na uwadze przede wszystkim konieczność utrzymania dynamiki rozwoju eksportu zadeklarowane zostało pogłębienie współdziałania SEP z organami państwowymi, rządowymi i samorządowymi w urzeczywistnianiu „Strategii proeksportowego rozwoju gospodarki polskiej”.

Stanowisko XIV KEP w sprawie urzeczywistniania perspektywy finansowej na lata 2014 – 2020 na rzecz rozwoju eksportu polskiego

SEP wspierać będzie działania przedsiębiorców oraz organów państwowych, rządowych i samorządowych na rzecz wzrostu eksportu stanowiącego siłę napędową rozwoju gospodarki. Działania te będą kompatybilne z nową perspektywą finansową na lata 2014 – 2020 na rzecz rozwoju eksportu polskiego, którego wielkość w 2020 roku prognozuje się na poziomie 250 mld euro, w tym żywności około 40 mld euro.

Wychodząc naprzeciw realnym potrzebom eksporterów – XIV KEP zwraca uwagę na potrzebę poprawy warunków działania przedsiębiorstw produkujących na eksport poprzez implementację instrumentów zawartych w „Strategii proeksportowego rozwoju gospodarki polskiej”. Istotne znaczenie może mieć Rada Rozwoju Eksportu przy Ministrze Rozwoju jako forum monitorowania i programowania polityki proinnowacyjnego i proeksportowego rozwoju gospodarki. Ponadto bardzo ważne znaczenie będzie miało działanie: 1. Banku Eksportu i Importu (Eximbanku) zapewniającego kompleksową obsługę finansową eksportu i importu; 2. Agencji Rozwoju Eksportu ukierunkowanej na budowanie pozytywnego wizerunku gospodarki i eksportu.

XIV KEP widzi potrzebę usprawnienia rozwiązań systemowych w zakresie: koncentracji sił i środków na promocję branż, które mają największe możliwości potencjalnego i realnego wzrostu polskiego eksportu (w tym: meblarskiej, motoryzacyjnej, elektronicznej, lotniczej, spożywczej, biotechnologicznej, chemicznej, aparatury pomiarowej i usług: informacyjnych, telekomunikacyjnych, biznesowych i badawczo-rozwojowych); aktywizacji eksportu na rynkach zagranicznych jak: Turcji, Chin, Indii, Indonezji, Japonii, Mongolii, Wietnamu, Malezji, krajów bałkańskich oraz krajów Maghrebu, latynoamerykańskich i w krajach ościennych; pogłębienie współpracy resortów: gospodarki, rolnictwa i spraw zagranicznych na rzecz wzrostu eksportu; uproszczenia procedur w celu wykorzystania unijnych funduszy proinnowacyjnych i proeksportowych; wzmocnienia kadrowego Wydziałów Promocji Handlu i Inwestycji Ambasad i Konsulatów RP oraz działań dyplomacji ekonomicznej w krajach o priorytetowym i perspektywicznym znaczeniu dla rozwoju eksportu polskiego, w tym mięsa i jego wyrobów, jabłek oraz innych produktów żywnościowych; współpracy informacyjno-promocyjnej poprzez organizację cyklicznej wymiany dziennikarzy z prasy, radia i tele-

wizji, w tym z mediami polonijnymi dot. wymiany handlowej i współpracy gospodarczej; poprawy obsługi konsularnej, a zwłaszcza usprawnienie obsługi wizowej w Ambasadach oraz usprawnienie działań Konsulatów Honorowych RP, wykorzystania dobrych stosunków z krajami Bliskiego Wschodu, a zwłaszcza ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi w celu rozwoju stosunków handlowych i gospodarczych z Iranem oraz wspieranie wysiłków, inicjatyw i działań na wszystkich szczeblach – zmierzających do przywrócenia normalnych stosunków ekonomiczno-handlowych, w tym z Ukrainą, Białorusią, Kazachstanem i Rosją; współdziałania i wspierania inicjatyw i działań na rzecz współpracy międzyregionalnej w kraju i za granicą; upowszechniania i wspierania aktywnych, konstruktywnych i efektywnych inicjatyw informacyjno-promocyjnych, władz i struktur wojewódzkich; współdziałania i wspierania współpracy z mediami; wiązanie ze sobą branż, które mogą wykorzystywać kompatybilność oferowanych produktów.

XIV KEP uważa, że sprostanie wyzwaniom w zakresie wzrostu eksportu zgodnie z perspektywą finansową na lata 2014 – 2020, przyczyni się do rozwoju całej polskiej gospodarki. Zmiany dokonane w ostatnich latach oraz obecny napływ funduszy unijnych pozwoli na dalszą modernizację infrastruktury, rozwój przemysłu rolno-spożywczego, zwiększenie innowacyjności przemysłu na rzecz skuteczniejszego konkurowania gospodarki na rynkach zagranicznych. Na utrzymanie tego postępu będą miały wpływ korzystne zjawiska zachodzące w polskim eksporcie. Poprawa ta, wzmocniona działaniami promocyjnymi – chodzi zwłaszcza o koncentrację sił i środków – przyczyni się do dalszego pogłębienia tendencji utrzymania wzrostu eksportu stanowiącego siłę motoryczną rozwoju polskiej gospodarki.

XIV KEP mając na uwadze potrzebę optymalnego wzrostu eksportu, deklaruje współdziałanie Stowarzyszenia Eksporterów Polskich z bankami, przedsiębiorcami, instytucjami, organami rządowymi i samorządami w celu wykorzystania potencjalnych możliwości gospodarczych i kadrowych, a także zaplecza naukowo-badawczego na rzecz proinnowacyjnego i proeksportowego rozwoju polskiej gospodarki.

Stowarzyszenie Eksporterów Polskich
Warszawa, 20 listopada 2015 r.

WARSZAWSKIE FELIETONY MIKOŁAJA ONISZCZUKA

Powrót do gospodarki

Po okresie dominacji problematyki wyborczej i politycznej – na arenę wydarzeń krajowych powraca tematyka ekonomiczna. Z całą jaskrawością potwierdził to X Kongres Obywatelski, zorganizowany 7 listopada w gmachu Politechniki Warszawskiej. Tematyka Kongresu była konkretna i rzeczowa.

Obejmowała aż dziesięć zagadnień, rozpisanych na tyleż samo sesji, stąd ich prezentacja zajęła przeszło pięć godzin czasu. Ale nudno nie było. Przede wszystkim dlatego, że ich autorami byli znani, doświadczeni i utytułowani prelegenci o bogatym dorobku analitycznym.

Już sam temat Kongresu „*Polska jutra. Możemy być lepsi*” – brzmiał zachęcająco do udziału, a cóż dopiero jego prowokująca do rozmyślań szczegółowa struktura, ujęta w formie pytań. A były to pytania osadzone w realiach naszej codzienności, z wizją bliższej i dalszej przyszłości. A w oryginale wyglądały one tak:

- Na jakich wartościach oprzeć rozwój Polski?;
- Polska gospodarka – czy czas na ekosystemy rozwoju?;

– Edukacja dla rozwoju: jakich postaw i kompetencji potrzebujemy i jak je rozwijać?;

– Cyfrowe szanse – co zrobić, aby zaawansowane usługi IT stały się polską specjalizacją?;

– Sport dla zdrowia, rozwoju osobistego i budowy więzi społecznych...;

– Jakiej przestrzeni publicznej potrzebujemy?;

– Polska lokalna – jak się rozwijać?;

– Czas na godną pracę i lepszy rynek pracy...;

– Las – źródło tożsamości, edukator i kreator więzi...;

– Co możemy zaoferować Europie i światu?

A myśl przewodnią Kongresu ujęto w jego artykule programowym w sposób następujący: *„Jeśli chcemy wyrwać się z pułapki średniego rozwoju i dochodu – musimy zmienić reguły naszej polskiej gry. Odejść od zachowań skrajnie egoistycznych, gdzie jeden wygrywa kosztem drugiego, na rzecz konkurowania zbiorowego i wygrywania razem. Nauczmy się gry drużynowej, przy jednoczesnym wydobywaniu tego, co najlepsze, z każdego z nas. Tylko w ten sposób możemy zbudować nasz dobrobyt”*.

Polski eksport w dobrej kondycji

Są już świeże dane GUS za 8 miesięcy br. A z nich wynika, że sytuacja w naszym eksporcie jest lepsza niż przed rokiem, gdzie też było dobrze. Mam na względzie poziom i dynamikę dostaw na rynki zagraniczne.

Ujmując wartości dostaw w eurowalucie – polski eksport w okresie styczeń-sierpień br. wyniósł 115,6 mld euro, a import – 113,4 mld euro. A to oznacza wzrost eksportu globalnego o 7,2%, a importu – o

3,3%. W efekcie – dodatnie saldo wyniosło 2,2 mld euro, wobec ujemnego salda przed rokiem w wysokości 1,8 mld euro. A to jest też fakt pozytywny. To jest obraz makro.

A z kim i jak handlujemy? Oto najbardziej charakterystyczne informacje.

Eksport

Głównymi rykami zbytu polskich towarów są kraje rozwinięte. Eksport doń sięga ponad 98,9 mld euro, czyli 85,6% jego wartości globalnej, w tym do krajów Unii Europejskiej wynosi ponad 91,5 mld euro stanowiąc 79,2%.

W czołowej dziesiątce odbiorców polskiego eksportu jest 8 krajów europejskich i 2 spoza Europy. To USA i Chiny. Eksport do poszczególnych krajów i ich udziały w eksporcie (w %) przedstawiają się następująco:

- Niemcy – 27,1;
- W. Brytania – 6,7;



- Czechy – 6,5;
- Francja – 5,6;
- Włochy – 4,8;
- Holandia – 4,5;
- Rosja – 2,9;
- Szwecja – 2,7;
- Węgry – 2,6;
- Hiszpania – 2,6.

I już dla ciekawości tylko – Ukraina zajmuje osiemnaste miejsce na liście naszych partnerów w eksporcie i dwudzieste drugie – w imporcie.

Import

Największy import pochodzi też z krajów rozwiniętych (66,4%), w tym z krajów UE (59,7%). A z krajów rozwijających się pochodzi 24,3% importu, zaś z krajów Europy Środkowo-Wschodniej tylko 9,3%.

Import polski pochodzi z takich krajów, jak:

- Niemcy – 22,8;
- Chiny – 11,3;
- Rosja – 7,9;
- Włochy – 5,3;
- Francja – 3,9;

- Holandia – 3,7;
- Czechy – 3,5;
- USA – 2,7;
- W. Brytania – 2,6;
- Belgia – 2,5.

Udziały w globalnym imporcie podane w procentach.

Saldo

Najwyższe dodatnie salda obrotów osiągamy w handlu z krajami rozwiniętymi, bo rzędu 23,6 mld euro, w tym w zasadzie w całości z krajami UE. Tylko z Niemcami sięga ono 5,5 mld euro.

Najwyższy poziom ujemnych sald mamy w obrotach z krajami rozwijającymi się, bo rzędu 16,9 mld euro, i z krajami Europy Środkowo-Wschodniej – nieco ponad 4,5 mld euro, w tym głównie z Rosją.

Na kilka miesięcy przed końcem roku – sytuacja jest więc korzystna.

I nie ma racjonalnych przesłanek, by ją zakłócić lub zmienić. Rok dla eksporterów, po raz kolejny, będzie więc udany.

Dobra inicjatywa

To dobry i konkretny przykład konstruktywnego działania w obszarze ukraińsko-polskich stosunków gospodarczych. A sprowadza się on do tego, że 20 października br. w Warszawie powołane zostało Ukraińskie Stowarzyszenie Biznesu w Polsce.

W skład stowarzyszenia wchodzi 25 polskich firm, których założycielami są ukraińscy inwestorzy, a którzy zapoczątkowali swoją działalność gospodarczą na terenie naszego kraju.

Są to reprezentanci takich dziedzin i branż, jak IT, przemysł elektromaszynowy, w tym narzędziowy, energetyka alternatywna, przemysł rolno-spożywczy i rolnictwo. Działalność merytoryczna stowarzyszenia jest ma być dość szeroka i różnorodna.

Główne jej obszary, to lobbing i promocja ukraińskiego eksportu na rynek polski i rynki unijne, wymiana doświadczeń i informacji, prawna troska i obrona ukraińskich interesów i inwestycji biznesowych, a także przygotowywanie propozycji adaptacyjnych do wymogów prawodawstwa unijnego.

Asocjacja ma wspierać organizacyjno-prawnie projekty współpracy i współdziałania. Wśród prioryteto-

wych kierunków działania stowarzyszenia wymienia się współpracę systemową z polskimi organami władzy i instytucjami regionalnymi oraz wyższymi uczelniami i instytutami naukowo-badawczymi. W tym ostatnim obszarze przewiduje się stworzenie Polskiej Ligi Ukraińskich Studentów, uwzględniając fakt, że aktualnie ich liczba w naszym kraju sięga 28 tysięcy.

Prezesem Stowarzyszenia wybrany został Jarosław Romanczuk, adwokat i kierownik warszawskiego biura Międzynarodowego Centrum Prawniczego EUCON, działającego od 2006 roku w Warszawie. Wiceprezesem został Ireneusz Derek, szef firmy Plastiks Ukraina. Szefem Rady Stowarzyszenia, czyli najwyższego jego organu, został Oleg Dubisz, a jego zastępcą Wadim Sień, zawiadujący przedsiębiorstwem Alfa-Centrum, zajmującym się precyzyjną obróbką mechaniczną.

Z uczestnikami inauguracyjnego posiedzenia Stowarzyszenia spotkał się Ambasador Ukrainy w Polsce, Andrij Deszczyc, który zapewniał o pełnym poparciu dla działań powołanego Stowarzyszenia. Na takie wsparcie może też liczyć ze strony Stowarzyszenia Eksporterów Polskich.

Rzetelna robota

O dobrych wynikach polskiego eksportu decyduje w znacznej mierze działalność promocyjna na rynkach zagranicznych. Oto jeden z przykładów.

7 listopada br., w ramach obchodów Dni Polskiego Mięsa i Nabiału, w centrum wystawienniczym Metropolitan Expo w Atenach, z inicjatywy Wydziału Promocji Handlu i Inwestycji Ambasady RP, odbyło się seminarium dla ponad 120 polskich i greckich przedsiębiorców z branży mięsnej i mleczarskiej. W części merytorycznej wprowadzenia dokonał Mirosław Gojdz – kierownik WPHI, odpowiedzialny za organizację spotkania, po czym omówiono dwa tematy wiodące, tj. wzrost polskiego eksportu do Grecji, w tym towarów z branży mięsnej oraz bardziej szczegółowo – polską ofertę współpracy w tym zakresie. Z zainteresowaniem



odebrano także informację specjalistki ds. promocji eksportu z WPHI, Marty Szajbel, o wartościach sprzedaży poszczególnych asortymentów towarów w latach 2014 – 2015.

Stwierdziła m.in., że asortymentem „flagowym” jest mięso wołowe.

Potem występowali zaproszeni goście. Wśród nich był m.in. dr Christos Constanti-Zarifi – konsultant ds. żywności greckich organizacji wspierających biznes. W swojej wypowiedzi podkreślił przyjacielskie relacje między Polską i Grecją, a potem zaprezentował analizę greckiego rynku mięsa i nabiału oraz perspektywy rozwoju współpracy w imporcie mięsa i nabiału z Polski. Ponadto głos zabrał Stylianos Staikos, wiceprezes Grecko-Polskiej Izby Przemysłowo-Handlowej, zapowiadając dynamizację działań Izby oraz zachęcając do współpracy przedsiębiorców obu stron.

Atrakcyjność spotkania i stopień zainteresowania podnosiły imprezy towarzyszące. A obejmowały one prezentację firm polskich i degustację polskich wyrobów i potraw, a także występ zespołu ludowego ze szkoły polskiej w Atenach. Pięknie wyglądała tańcząca młodzież w strojach krakowskich. Ręce same składały się do oklasków.

Przykładów podobnie dobrej roboty jest sporo, w tym na rynku niemieckim, francuskim czy włoskim. Wszystkie są godne naśladowania i wsparcia.

Realia ukraińskiego rolnictwa

O tym, że sytuacja gospodarcza Ukrainy jest trudna i dlaczego – wiemy. A jak na tym tle wygląda aktualny stan i problemy w rolnictwie – raczej niewiele. I jakby na zamówienie, w połowie października, przesłano mi – prosto z Kijowa – ciekawy materiał na ten temat. Wielce autorytatywny, bo powołujący się na informacje z Ministerstwa Polityki Agrarnej, a nawet samego ministra Aleksieja Pawlenki.

Ograniczając się tylko do tych informacji – na uwagę zasługują następujące, najbardziej charakterystyczne dane i zjawiska oraz podejmowane przedsięwzięcia:

– Po pierwsze, że rolnictwo jest zaniedbane i niedoinwestowane – i to od lat. Jedyne, co robiono, to zmieniano ministrów odpowiedzialnych za politykę rolną. Aktualnie jest nim 38-letni dr nauk ekonomicz-

nych, z relatywnie bogatym już stażem zawodowym, w tym holenderskim. Zna te słabości i bierze się do roboty, mimo że przeszkadza mu m.in. opozycyjna frakcja Partii Regionów byłego prezydenta i premiera, a i część oligarchów.

– Po drugie, mimo potencjalnie dużego potencjału zasobów ziemi i wynikających stąd możliwości produkcyjnych, eksport rolno-spożywczy jest niski. Sektor rolno-spożywczy stanowi 37 proc. wpływów gotówkowych.

W okresie 7 miesięcy br. eksport rolno-spożywczy wyniósł:

- do krajów azjatyckich – 3,6 mld USD;
- do krajów Unii Europejskiej – 2,0 mld USD;
- do krajów afrykańskich – 1 mld USD;
- do krajów WNP – tylko 863 mln USD.

W sumie – to około 7,5 mld USD, z tego przypadało więc:

- na kraje Azji – 46,6 proc.;
- na kraje unijne – 25,3 proc.;
- na kraje Afryki – 14,0 proc.;
- na kraje WNP – 11,1 proc.

Mimo tego poziomu sektor rolno-spożywczy zapewnia 37 proc. wpływów gotówkowych. Ale jest to pozycja mało znacząca kwotowo. To kropla w morzu potrzeb. Dla porównania – polski eksport rolno-spożywczy w tym roku wyniesie 22 mld euro, a w przyszłym – nawet 25 mld euro.

– Po trzecie, fatalny jest stan ilościowy i jakościowy parku maszyn rolniczych. Dla przykładu – liczy on 50 tys. traktorów i kombajnów, ale aż 72 proc. z nich liczy ponad 16 lat, stąd ich awarie i niska wydajność.

– Po czwarte, plony zbóż z 1 ha są 2,2 razy niższe od średniej europejskiej.

– Po piąte, zbiory zbóż, nawet w granicach 55-60 mln ton, ograniczają ich możliwości eksportowe i zaopatrzenia na potrzeby krajowe. Te ostatnie szacuje się na co najmniej 24 mln ton. Eksport bywa nierzadko limitowany.

Należy aktualizować wiedzę na temat artykułów rolno-spożywczy. A co z tego wynika lub może wynikać dla nas, czyli dla producentów rolnych, eksporterów i inwestorów, a także dla polityków rządowych? Na pewno wymaga dobrej, stale aktualizowanej wiedzy o produkcji rolnej i popycie na artykuły rolno-spożywcze, poziomie cen, a już obowiązkowo, o zdol-

nościach płatniczych i kondycji ukraińskich podmiotów gospodarczych. I nie dać się nabrać na „atrakcyjne” oferty pośredników, bo można źle skończyć. Nie ulegać też bezwiednie łapówkarzom, których pełno na każdym kroku.

Współpracować trzeba, ale rozważnie i przezornie! Trzeba walczyć o akcesję Ukrainy do UE. Trzeba przy tym patrzeć i działać na rzecz perspektywy. Na dzień dzisiejszy – wspierać moralnie proeuropejski kurs polityki aktualnego rządu Ukrainy, w tym jej przyszłą akcesję do Unii Europejskiej. A jeżeli tak – to w pierwszym rządzie z trudem konstruowany program reform gospodarczych i podejmowane kroki realizacyjne. Jednocześnie sprzyjać i wspierać proces mentalnej przebudowy społeczeństwa na rzecz korzyści proeuropejskości, nowoczesności, reformowalności i możliwej lepszej przyszłości.

By to realizować, potrzebne są z naszej strony m.in. trzy formy działania.

– Pierwsza to nasilenie kontaktów informacyjnych. Tyle w kraju różnych konferencji i spotkań, a z Ukrainy nie ma nikogo, nawet z ich ambasady w Warszawie.

– Druga to zwiększenie wizyt przedstawicieli środowisk rolniczych w naszym kraju. Warto im pokazać konkretne przykłady dobrej roboty.

– A trzecia to nasilenie kontaktów medialnych. Jak żyję, nie pamiętam, by odbyło się choć jedno spotkanie polskiej i ukraińskiej prasy rolniczej. A może by zaprosić ukraińskie „Silskie Wisti” do którejś z redakcji. To żadne koszty, a korzyści dla obu stron.



STANISŁAW MONIUSZKO – TWÓRCA POLSKIEJ OPERY NARODOWEJ

Dawne przysłowie niemieckie nakazuje: „*Nie wierz człowiekowi, który nie lubi muzyki*”, tej sztuki sztuk, emanującej z najgłębszej istoty nie tylko duszy ludzkiej, lecz może nawet całego Wszechświata. Jak wiemy, muzyka cieszyła się w świecie antycznym wielką miłością, a umiejętność grania na instrumencie muzycznym uchodziła (podobnie jak w arystokratycznych kołach ostatnich stuleci) za istotną cechę człowieka kulturalnego. Kwintyliian (I wiek n.e.) podaje, że w dawnej Grecji i Rzymie istniał zwyczaj, że „*przy biesiadach po posiłku podawano sobie po kolei lirę, by każdy na niej coś zagrał*”. A kiedy przy jednej z takich okazji Temistokles oświadczył, że nie umie na niej grać, uznano go za człowieka mało wykształconego i nieokrzesanego prostaka.

Arabski filozof al-Farabi pisał: „*Muzyka zaiste ma dar pochłaniania nas, rozpraszania zmęczenia, spowodowanego przez ciężką pracę. Zmusza nawet do zapomnienia czasu spędzonego przy pracy, pomaga pokonywać zmęczenie, tą pracą spowodowane*.” Ale przecież oddziaływanie tej sztuki jest jeszcze szersze i głębsze. Nie przypadkiem toteż XVI-wieczny poeta polski Andrzej Krzyczki wywodził, zwracając się do muzyki:

„Ty smutnych rozweselasz,
a szal umiesz koić.
Znużone pracą ciało
przywracasz do sił.
Tyś dla więźnia nędznego,
w kajdanach, pociechą.
I dla tego, co pływa
w wirze morskich wód.
Srogie serce dziewczyny
ty dla chłopca zmiękczasz,
Ty wzruszasz lasy, zwierza,
rzeki, twardość skał.
A jak mężów uczonych
świadczą o tym księgi,
Obrotem ty niebieskich
nawet rządzą sfer”.

Nic tedy dziwnego, że muzyka odgrywa tak doniosłą rolę w życiu duchowym narodów i uchodzi za ważne kryterium ich rozwoju kulturalnego.

Jeśli idzie o muzykę polską, to osiągnęła ona znaczny poziom rozwoju już w wieku XIV, a w „złotym” XVI doznała wspaniałego rozkwitu, zachowując tę dy-

namikę także w XVII. Po istotnym „wyciszeniu” w kryzysowym wieku XVIII, wybuchła potężnym *andante* ponownie w XIX i XX, a wstępne akordy do tej feerii napisał Stanisław Moniuszko, jeden z największych geniuszy muzyki europejskiej.

Przyszedł na świat 5 maja 1819 roku w dobrach rodowych Ubiel niedaleko Śmiłowicz, położonych w Ziemi Mińskiej, w sercu dawnej Litwy, zwanej obecnie Białorusią. Wielkie gniazdo tego rodu znajdziemy także w postaci miejscowości Moniuszki w Ziemi Bielskiej na Podlasiu („maniuszka” w gwarze tutejszej znaczy „kłamczuch” albo zdrobnienie od imienia „Marian”).

Moniuszkowie byli rozgałęzioną rodziną szlachecką, używającą herbów rodowych Radwan, Lubicz, Krzywda, Dołęga i Wadwicz. Dobrze toteż byli ongiś znani w Polsce Środkowej i na Kresach od wieku XVI. Piotr Moniuszko z powiatu goniądzkiego wspomniany jest w przywileju króla Zygmunta I z 19 października 1529 r. W 1536 r. wzmiankowany jest prócz Piotra także Szymon Moniuszko. Według legendy „*dwóch braci, noszących nazwisko Monco, rycerzy w XV wieku, z Rzymu do Polski przybyli i w istniejących wtedy rozterkach krajowych czynny wzięli udział, przyczem tak dobrze się zasłużyli stronie zwycięskiej, iż w nagrodę nadano im indygenat z nazwiskiem Moniuszków i herb Krzywdę. Obaj osiedlili się nasamprzód w Ziemi Bielskiej w Województwie Podlaskiem około rzeki Biebrzy i dali początek licznie rozrodzonemu potomstwu*.”

Pierwszy ślad urzędowy o Moniuszkach znajduje się w przywileju «*libertatis totius Nobilitatis districtus Goniadzensis Rajgrodensis*», datowanym w zamku wileńskim przez króla Zygmunta I w roku 1529... Przywilej ten, pisany w języku łacińskim na pergaminie, złożono wprawdzie najprzód w Tykocinie, gdzie się znajdowały wszystkie inne księgi Ziemi Bielskiej, ale następnie w roku 1610 przeniesiono go do aktów grodu goniądzkiego. W przywileju tym, wydanym Piotrowi Moniuszce, odnowionem jest nadanie dostojenstwa szlacheckiego i herbu Krzywda Moniuszkom oraz przyznanie władania siedzibami: Wielkie Moniuszki, Klenianki i Smogornika, należącymi do parafii goniądzkiej” (T. Żychliński, „*Złota księga szlachty polskiej*”).

Z 1642 roku zachowały się akta sądowe lubelskie o procesowaniu się Mateusza, Tomasza i Wojciecha Moniuszków z kanclerzem wielkim koronnym Janem Zamoyiskim, krzywdzącym swych spokojnych sąsiadów.

Być może to właśnie nieudane sąsiedztwo spowodowało „rozklonowanie się” Moniuszków na Grodzieńszczyznę, Mińszczyznę i Wileńszczyznę. W każdym bądź razie spotykamy ich tu już pod koniec XVII wieku. Moniuszkowie, osiedli na Mińszczyźnie, uchodzili za ludzi wyjątkowo zamożnych, fortunę ich pod koniec XVIII stulecia obliczano na miliony złotych. Spokrewnieni byli z Wojniłowiczami, również zamożną, patriotyczną szlachtą, oraz z Korsakami, Wańkowiczami, Jelskimi, Prusińskimi, Łopacińskimi, Bułhakami, Rzewulskimi, należącymi do najlepszych rodzin kresowych.

Michał Moniuszko, pełnomocnik króla Augusta II (1721), wymieniany jest przez akta Trybunału Głównego Litewskiego. W dziale rękopisów Centralnej Biblioteki Akademii Nauk Litwy w Wilnie znajduje się dokument archiwalny z 1722 roku, który brzmi: „*Przed nami, sędziami głównymi na Trybunał w Wielkim Xięstwie Litewskim z województwu, ziem y powiatów na rok terażniejszy [...] obranymi [...] J W. Pan Michał Moniuszko prezentował y ku aktykowaniu list wieczysty zapis na rzecz w nim niżej wyrażoną od Jegomości Pana Thomasza Wołłowicza, podsędką ziemskiego grodzieńskiego wielebnym xiężom Dominikanom konwentu grodzieńskiego dany y służący, podał [...]*”. Chodziło w tym dokumencie o to, iż pan Wołłowicz w 1667 roku zrzekł się pewnych swych uprawnień majątkowych na rzecz OO. Dominikanów grodzieńskich. Michał Moniuszko występował w tej sprawie jako patron dominikanów. 4 października 1765 roku do pospolitego ruszenia obywateli powiatu grodzieńskiego między innymi stanął „*Jan Moniuszko, na koniu tarantowym*”.

W 1809 roku Walenty Moniuszko, po wysłuchaniu na Wszechnicy Wileńskiej kursów z matematyki, fizyki, architektury, przyrodoznawstwa i mineralogii otrzymał dyplom kandydata filozofii.

„*Wywiad Familii Urodzonych Moniuszków herbu Krzywda*” z 1804 roku stwierdza: „*Piotr Moniuszko, w piątym stopniu pradziad wywód niniejszy czyniących Moniuszków, przy zaszczyście honoru szlacheckiego posiadając majątki Kuczyn, Bohdanów, czyli Bohdańca y Moniuszki, one w spadku synowi swemu Krzysztofowi, a ten podobnież Mikołajowi, synowi swemu, zostawił. – Który to Mikołaj Krzysztofowicz, zostawszy całkowitych rzeczonych majątków dziedzicem, pojął w zamęcie Annę Sieklucką, y synów sześciu z nią splotził; pierwszego księdza Tomasza, misjonarza doliszowskiego, który w roku 1662 zapisał majątki Kuczyn y Bohdańce bratu swemu Jakubowi [...]; drugiego Woyciecha, z którego pochodzi*

Stanisław Moniuszko, sędzia wileński, majątek Śmitowicze w Guberni Mińskiej posiadający; trzeciego księdza Wawrzyńca, dziekana augustowskiego; ... czwartego syna, księdza Aleksandra, altarystę doliszowskiego; piątego Piotra, [...], szóstego Jakuba [...]”. W 1804 roku deputacja wywodowa wileńska uznała Walentego i Karola, synów Adama, Moniuszków „*za rodowitą y starożytną szlachtę polską*”.

Wielki kompozytor Stanisław Moniuszko był potomkiem w linii prostej Piotra, figurującego w przywileju króla Zygmunta I z roku 1529.

Latem 1812 roku, gdy wojska francusko-polskie wyzwoliły wschodnie połacie byłej Rzeczypospolitej, zakładano tu miejscowy samorząd w postaci tzw. komisji powiatowych i prowincjonalnych, do których wybierano ludzi najbardziej patriotycznych i godnych pod względem etycznym. Oto np. jak brzmi jeden z ówczesnych protokołów:

„*Działo się na sessyi Kommissyi Rządu tymczasowego prowincyi Mińskiej Roku 1812-go miesiąca Lipca 15-go dnia.*

Kommissya prowincjonalna, spełniając dekret Jaśnie oświeconego Xiążęcia d'Eckmühl na dniu 13-m terażniejszego miesiąca wydany, przystąpiła do ustanowienia Kommissyów powiatowych [...] i wybrała do onych osoby jako to: do powiatu borysowskiego Jaśniewielmożnych Józeffa Wołowicza, Raffala Korsaka, Józeffa Śliźnia, Jana Norwida y Piusa Tyszkiewicza, którym niezwłoczne zajęcie się obowiązkami porucza. Przekonana jest Kommissya Rządowa prowincjonalna, że osoby do Kommissyi Powiatowej wezwana znajomą gorliwością y patriotyzmem, jakie każdy Polak ze krwią posiada, odpowiedzą we wszystkim wielkim zamiarom Najjaśniejszego Cesarza Wielkiego Napoleona, Wybawiciela Naszego, oraz spełniać troskliwie y ochoczo będą włożone na siebie obowiązki.

Podpisy: Michał Xiążę Puzyna – prezydent, kawaler orderu Św. Stanisława; Ignacy Moniuszko. Ludwik Kamiński. Jan Chodźko. Wincenty Wołodkowicz. Roman Iwanowski, sekretarz generalny prowincyi Mińskiej...

Także ojciec Stanisława Moniuszki, Czesław, służył wojskowo w oddziałach Napoleona, w randze kapitana pełnił obowiązki adiutanta sztabu marszałka Joachima Murata, jednego z najbardziej brawurowych dowódców tego okresu; był zresztą również oficerem wielkiej odwagi, mężnym i pełnym poświęcenia.

W okresach pokojowych członkowie tego rodu chętnie oddawali się naukom i sztukom wyzwolonym.

Dominik Moniuszko, „major byłego wojska polskiego”, od 1836 roku znajdował się pod tajnym nadzorem policji za to, iż znaleziono u niego „niektóre papiery masonskie”. Gospodarował w majątku Łatkowszczyzna, powiatu ihumeńskiego. Jak odnotowywała policja, „pozbawiony jest zdrowego rozsądku i prowadzi dziwny tryb życia”. W powiecie zaś bobrujskim, w majątku Czapy był pilnowany przez policję Ferdynand Moniuszko, też eks-powstaniec. Około 1840 r. nauczał prywatnie muzyki.

N. Moniuszko około 1841 r. pełnił obowiązki protokolisty Litewskiej Konsystorii Duchownej. Po roku 1863 za polityczną nieprawomyślność w guberni kowieńskiej zwolniony ze służby został m.in. w powiecie szawelskim „radca tytularny Aleksander syn Stanisława Moniuszko. Środków na utrzymanie nie ma”.

W 1896 r. Kazimierz Roman, Stefan Ludwik i Józef Wincenty Moniuszkowie zostali potwierdzeni w rodowitości przez Departament Heroldii Senatu Rządzącego w Petersburgu. Tak więc, jak wynika z przytoczonych zapisów archiwalnych, byli panowie Moniuszkowie rodem czynnym, ruchliwym, obdarzonym energią witalną i rozmaitymi uzdolnieniami.

Czesław Moniuszko, ojciec Stanisława, po dymisji z armii francuskiej w 1813 roku osiadł w Ubielu. Pojął za żonę pannę Elżbietę Madzarską (zdaje się, że panowie Madzarscy byli jedni z Możarskimi vel Możajskimi, herbu Pogoń Ruska, wywodzącymi się z Wołynia, lecz osiadłymi też w Ziemi Słuckiej), która też powiła mu z biegiem lat aż sześciu dzielnych synów.

Od wczesnego dzieciństwa Stanisław Moniuszko, jak wyznawał, „czuł nieprzeparty pociąg do muzyki”, a jego pierwszą nauczycielką w tej materii była właśnie matka, świetnie grająca na fortepianie i śpiewająca polskie piosenki rodzinne i patriotyczne.

Rodzice wczesnie zauważyli i docenili talent syna, by zaś go należycie rozwinąć, porzucili na pewien czas dobra dziedziczne i przenieśli się do Warszawy, gdzie chłopiec pobierał lekcje gry na fortepianie i organach, jak też teorii muzyki i kompozycji, u Augusta Freyera, sławnego niemieckiego mistrza. Pobyt w Warszawie trwał od 1827 do 1830 roku i odegrał doniosłą rolę w kształtowaniu się talentu i światopoglądu Stanisława Moniuszki. Względy majątkowe zmusiły rodzinę do powrotu do Ubiela, gdzie młodzian jednak nadal pracował nad doskonaleniem swych umiejętności i wiedzy.

Po zdaniu egzaminów w gimnazjum mińskim w 1837 roku S. Moniuszko udał się na studia do berlińskiej Singakademie, gdzie się kształcił pod okiem kompozytora i dyrektora tejże uczelni Franciszka Rungenhagena. A po kilku miesiącach w stolicy Prus ukazały się drukiem trzy pierwsze kompozycje młodego twórcy: „Trzy pieśni” do słów A. Mickiewicza. Może to dziwić i zaskakiwać, ale polska krytyka – piórem Antoniego Woykowskiego – zareagowała życzliwie na ten pierwszy głos geniusza: „Z prawdziwą przyjemnością donosimy o tych pieśniach jednego z młodych kompozytorów, w których miło nam poznać utalentowanego kompozytora śpiewów, jakich prawie dotąd nie posiadamy”...

Doprawdy niezwykle to zjawisko w kulturze polskiej, by tak autentyczny talent został życzliwie powitany (potem zresztą pismakom gazeciarskim „odbiło” i nadrobili z nawiązką w dziele bluźgania błotem), bo tu wielbi się głupców i hochsztaplerów, a ludzi utalentowanych zaszczuwa się do twórczego... milczenia... Jak widać, nie ma reguły bez wyjątków.

23-letni Stanisław Moniuszko po raz pierwszy przyjechał do Petersburga w 1842 r., mając za sobą trzyletnie studia muzyczne w Berlinie oraz skromny dorobek kompozytorski, i począł zabiegać o protekcję i pracę. Jednak nie zdołał uzyskać stałego zatrudnienia. Choć podczas dwumiesięcznego pobytu uzyskał zgodę cenzury na publikację swojego zbioru pieśni „*Śpiewnika domowego*”. Niewątpliwie ważne były też inspirujące wrażenia artystyczne: Petersburg, jako miasto wielkiej kultury, wręcz go oszołomił, życie zaś teatralne i muzyczne wzbudziło szczerzy zachwyt („*O teatrach, o ich doskonałości słów mnie braknie, ażeby Ci dać jakiegokolwiek wyobrażenie, którego sam wcale nie miałem*” – pisał do żony).

Kiedy po siedmiu latach, na początku 1849 roku, Moniuszko pojechał ponownie do stolicy Cesarstwa, wioząc ze sobą materiał orkiestrowy „*Bajki*”, kantatę „*Milda*” i pierwszą wersję opery „*Halka*”. Jak pisał biograf Moniuszki, Aleksander Walicki, „*w Petersburgu dać koncert nie jest rzeczą łatwą, a cóż dopiero zyskać powodzenie. Imię jego było wcale nie znanym w tym mieście, występując zaś z własnymi wyłącznie kompozycjami wzbudzić mógł w profanach tylko nieufność, w artystach tylko zawiść. [...] Gdy jednakże na pierwszej próbie po odegraniu pierwszego ustępu orkiestra w zapale klaskać poczęła, wtenczas i sam kompozytor i życzliwe jemu osoby nabrały otuchy, że i publiczność dobrze przyjmie. I rzeczywiście,*

„Milda” w Petersburgu ogromne wywarła wrażenie. Jednogłośnie artyści i krytycy miejscowi przyznali Moniuszce twórczość oryginalną, na wskroś przejętą swojskością. [...] Cały świat artystyczny, a nawet arystokratyczny, starał się poznać go osobiście i składano mu wizyty w skromnym mieszkaniu przy ulicy Milionnaja, w suterenie. Największe uwielbienie dla Moniuszki okazywali znakomici kompozytorowie ówcześni: Glinka i Dargomyżski, i nawzajem wielki też szacunek w nim wzbudzili”.

Głównym celem trzeciej podróży polskiego kompozytora do Petersburga, przedsięwziętej w lutym 1856 r., znowu było zorganizowanie koncertu. W sali księcia Jusupowa brzmiała uwertura „Bajka” i fragmenty z „Mildy”, w połowie zaś utwory dotąd tu nieznane – uwertura „Kain” oraz kantaty „Nijola” i „Madonna” (tłumaczem tekstów był bardzo znany wówczas poeta Władimir Bieniediktow). W gazetach pisano: „Wszystkie numery jego koncertu publiczność wysłuchała z rozkoszą”, „kompozytor jest pełen twórczości, a twory jego są genialne”, „w utworach jego, obok wielkiej płodności i różnaitości, daje się widzieć głębokość myśli, pewność uczucia, prawdziwie mistrzowskie poczęcie i wyrobienie w sobie przedmiotu i w ogóle rzadki przymiot poddawania w każdym razie własnych natchnień pod wymagania delikatnego smaku”.

Ostatni raz Moniuszko przybył do Petersburga w 1870 r. na premierę opery „Halka”. Wtedy był już naczelnym dyrygentem opery w warszawskim Teatrze Wielkim. Temat opery jest prosty, codzienny, a jednocześnie dramatyczny. Jest to po wielokroć powtarzająca się historia dziewczyny uwiedzionej i porzuconej, kończąca się obłąkaniem i samobójstwem. Za 10 lat w Warszawie miała już 150 przedstawień, wystawiano ją w Pradze (gdzie w 1868 r. przygotował ją B. Smetana) i w Moskwie.

W Teatrze Maryjskim obsadę zapewniono na najwyższym poziomie. Halkę śpiewała jedna z największych rosyjskich śpiewaczek drugiej połowy XIX wieku Julia Płatonowa, Jontka – Fiodor Komissarzewski, stolnika kreował znany bas-baryton Giennadij Kondratiew. Znakomici byli też tancerze; w I akcie w polonezie i mazurze występowali najlepsi soliści – ulubieniec publiczności, Polak, Feliks Krzesiński, Sofia Radina, Lew Stukołkin, Paweł Gerdt. Premiera odniosła zasłużony sukces. Natychmiast pojawiły się recenzje; głos zabrali niemal wszyscy najznakomitsi krytycy muzyczni Petersburga tego czasu, generalnie wyrażając opinię pozytywną.



Stanisław Moniuszko

W ciągu trzech lat w Teatrze Maryjskim zaprezentowano 31 spektakli „Halki”. Podobną liczbę uważano wówczas za dowód niewątpliwego sukcesu. Ale Moniuszko już tego nie doczekał – 4 czerwca 1872 r. odszedł na zawsze. Cezary Cui opublikował obszerny artykuł poświęcony jego pamięci w „Sankt-Piettersburskich Wiedomostiach”. Autorytetu i uznania, jakie zdobył sobie Moniuszko w kręgach rosyjskiej inteligencji twórczej, dowodził fakt, że w tymże 1872 r. Ilija Riepin umieścił jego podobiznę na swym wielkim płótnie „Kompozytorzy słowiańscy”. Dziś obraz znajduje się w foyer Wielkiej Sali Konserwatorium Moskiewskiego.

Rosja stała się krajem, gdzie opery Moniuszki zdobyły największą poza ojczyzną kompozytora popularność. Premiery przygotowywali czołowi rosyjscy dyrygenci, w głównych partiach święciły triumfy najznakomitsi śpiewacy, m. in. Marianna Czerkasska, Leonid Sobinow. W mieście nad Newą w 1953 r., w Małym Teatrze Operowym po raz pierwszy wystawiono „Straszny dwór”. Spektakl utrzymywał się w repertuarze aż przez 8 sezonów. Minęło pół wieku, a w dniu 19 czerwca 2003 r. na Małej Scenie w Teatrze Muzycznym „Zazierkalje”, odbyła się rosyjska premiera opery Stanisława Moniuszki „Verbum Nobile”.

Spektakl, reżyserowany przez Andrieja Swiackiego został zrealizowany przez grupę młodych śpiewaków

Teatru – studentów i aspirantów Akademii Sztuki Teatralnej, jako wspólny projekt Instytutu Polskiego i „Za-
zierkalja”.

W 1840 roku, po pomyślnie ukończonych studiach, młody kompozytor powrócił na ziemię ojczystą, do Wilna. Pobyt nad Wilią rozpoczął się pod szczęśliwą gwiazdą: idąc za głosem serca pan Stanisław poślubił swą dawną młodzieńczą miłość, pannę Aleksandrę Millerównę (szlachciankę herbu Pomian), w zgodnym pożyciu z którą dochował się z biegiem lat ośmiorga dzieci.

W 1841 przyjął posadę organisty w kościele św. Jana w Wilnie, ale tą pracą zarobkową wcale nie ograniczał swej aktywności. W latach pobytu nad Wilią powstał cały szereg małych oper i operetek, jak „Nocleg w Apeninach”, „Loteria”, „Karmantol”, „Żółta szlafmyca”, „Jawnuta, czyli Cyganie” (wystawionych głównie na małych scenach prowincjonalnych); pisał również Moniuszko tzw. „wkładki” do oper i przedstawień teatralnych innych autorów. Stanowisko organisty u św. Jana zaowocowało twórczością religijną: kilkoma mszami (polskimi i łacińskimi), „Litaniami ostrobramskimi” oraz kantatami. Niektóre z nich powstały dla założonego przez kompozytora Towarzystwa im. św. Cecylii.

Moniuszko – poza komponowaniem – całym sercem zaczął też pracować nad upowszechnianiem muzyki. W kościele św. Jana, w którym objął posadę organisty – dawał koncerty (na wspnianych organach roboty Gaspariniego). Wykonał po raz pierwszy w Wilnie m. in.: „Requiem” Wolfganga A. Mozarta oraz fragmenty „Stworzenia świata” Józefa Haydna. Opublikowane w Wilnie pieśni „berlińskie” wraz z kilkoma nowymi utworami wzbudziły ogromne zainteresowanie: „Kto owego czasu pamięcią zasięgnąć nie może, temu trudno pojąć będzie, jakie to wrażenie na wszystkich wywarło zjawienie się pierwszych śpiewów Moniuszki. Przedtem u nas bardzo mało było swojskich kompozycji do śpiewu” (Aleksander Walicki).

Moniuszko widząc zapotrzebowanie społeczne na pieśni polskie i zachęcony gorącym przyjęciem dotychczasowych utworów, postanawia wydawać pieśni w zeszytach pod wspólnym tytułem „Śpiewnik domowy”. Poza umuzykalnieniem polskiego społeczeństwa przyświeca mu drugi, nie mniej ważny cel, nazwany w późniejszym czasie przez Sienkiewicza twórczością ku pokrzepieniu serc, pomocą w przetrwaniu ciężkich czasów, podtrzymaniem patriotyzmu. Pokrzepienie serc staje się coraz bardziej potrzebne. W latach czterdzie-

stych XIX w. wzrasta się na Wileńszczyźnie polityczny i w nie mniejszym stopniu kulturalny ucisk. W 1842 r. zamknięto „resztki” wileńskiego Uniwersytetu (w postaci Akademii Medyczno-Chirurgicznej), a Seminarium Duchowne przeniesiono do Petersburga.

Aby pozyskać nabywców i rozpropagować ideę „Śpiewnika”, Moniuszko dzięki uprzejmości redaktora Przecławskiego drukuje w wydawanym po polsku „Tygodniku Petersburskim” (Nr 72, 1842 r.) prospekt zachęcający do prenumeraty dzieła: „Śpiewnik mój zawierać będzie zbiór śpiewów na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu. Wiersze starałem się wybierać z najlepszych naszych poetów, mianowicie Piosnki sielskie tudzież Piosnki wieśniacze znad Niemna w nim umieściłem, będąc tego przekonania, że te utwory poetyczne najwięcej w sobie charakteru i barwy krajowej okazywały”. Ów „charakter i barwy krajowe” stanowią klamrę spinającą wszystkie pieśni Moniuszki. Z. Jachimecki – autor monografii napisanej dla uczczenia setnej rocznicy urodzin twórcy opery narodowej – zwraca uwagę na podobieństwo postaw Moniuszki i wielkiego kompozytora Renesansu Mikołaja Gomółki. Gomółka w przedmowie do „Melodii na Psalterz Polski” w przekładzie Jana Kochanowskiego pisze, że „Dawidowe Psalmodyje są łacniutko uczynione, prostakom nie-zatrudnione, nie dla Włochów, dla Polaków, dla naszych prostych domaków.” Łączy więc Gomółkę i Moniuszkę podwójna służba, artystyczna i społeczna, jakże znamienna i ponadczasowa dla roli i zadań polskich twórców.

Za życia wydał Moniuszko sześć zeszytów „Śpiewników”. Niektóre wydawane były parokrotnie. Po śmierci kompozytora kolejne sześć „Śpiewników”, w opracowaniu ucznia Moniuszki, Władysława Rzepki, wydała Sekcja Moniuszki w Warszawskim Towarzystwie Muzycznym w latach 1897 – 1910. Łącznie „Śpiewniki” zawierają 262 pieśni, które nie są ułożone chronologicznie, według kolejności powstawania, ani też tematycznie czy monograficznie ze względu na autora tekstów. Jedynie szósty „Śpiewnik” utrzymany jest w jednolitym charakterze, zawiera bowiem wyłącznie pieśni do słów Mickiewicza, a wśród nich ulubione przez kompozytora pieśni typu balladowego (np. „Porwót taty” i uznane za arcydzieło „Czaty”). Moniuszko wybierał teksty poetyckie nie zawsze najwyższej miary, jednak znaczna część pieśni napisana jest do wierszy takich autorów, jak wspomniany już Adam Mickiewicz, Kazimierz Brodziński, Jan Czeczot, Jan Kochanowski, Józef I. Kraszewski, Wincenty Pol, Antoni Odyniec, Tomasz Zan; a z obcych William Szekspir, Johann

Wolfgang Goethe, Heinrich Heine i Wiktor Hugo.

Spośród kantat – oprócz tak znanych, jak *„Sonety krymskie”* czy *„Widma”* (ta ostatnia do tekstu II części Mickiewiczowskich *„Dziadów”*) – na uwagę zasługuje *„Milda”*, skomponowana w Wilnie w latach 1847 – 48 do słów Kraszewskiego z opartej na staroliteńskich podaniach epopei *„Witolorauda”*. Z utworem tym zetknął się Moniuszko wcześniej, bo już w roku 1842 miał gotową muzykę do kilku pieśni (które ukazały się drukiem), a przed napisaniem *„Mildy”* odbył podróż folklorystyczną, w czasie której zbierał pieśni ludowe. Nie raz też prosił Kraszewskiego o libretto do opery albo do kantaty; autor *„Witoloraudy”* jednak, niezbyt ufając talentowi Moniuszki, zwodził go obietnicami i dopiero w okresie warszawskim traktował nieco życzliwiej, a nawet osobiście dokonał adaptacji tekstu przed wykonaniem *„Mildy”* w Warszawie. Wybór tematu tej kantaty, w której bogowie i ludzie działają wspólnie lub przeciwko sobie, wskazuje na niewątpliwie romantyczne zainteresowania kompozytora i nasuwa porównanie z tetralogią *„Pierścień Nibelungów”* Ryszarda Wagnera, wystawioną w całkowitej wersji dopiero trzydzieści lat później.

Stosunki twórcze między Stanisławem Moniuszką a Józefem Ignacym Kraszewskim układały się dość ciekawie, o nich właśnie ongiś (17 czerwca 1988 r.) sugestywnie opowiadał na łamach wileńskiego *„Czerwonego Sztandaru”* profesor Wojciech J. Podgórski, pisząc m.in.: *„Moniuszko starał się – bezskutecznie zresztą – o pozyskanie pióra Kraszewskiego jako librecisty operowego. W końcu musiał zadowolić się librettem jednej jedynej kantaty oraz zapożyczeniem pomysłu do dwóch innych utworów tego gatunku. Wymagania stawiane przed poetami – współpracownikami kompozytora – najkrócej można by tak ująć: „...Muzyka potrzebuje wyrazów jak najmniej, ale tak one mają dokładnie myśl rozwijać, że niby jak łopata do głowy sadzić słuchaczowi”* (S. Moniuszko w liście z Wilna do S. Kowerskiego, 10.05.1850 r.).

Kantaty *„Milda”*, *„Nijoła”* i *„Krumine”* stanowią splot trudny do rozszeptania. Zaczniemy od końca. O *„Krumine”* wiemy tylko tyle, że była to nie ukończona i nie drukowana kantata mitologiczna Stefana Kowerskiego oparta – jak twierdzi W. Rudziński – na *„Witoloraudzie”* J.I. Kraszewskiego. Uwerturę do *„Krumine”* wykonano publicznie raz jeden w Wilnie, w 1852 r. Jej rękopis później zaginął. Pewne poszlaki wskazują na związek *„Krumine”* z kantatą *„Nijoła”* (tekst Edwarda Chłopickiego), związek na zasadzie nadrzędności-podrzędności, bowiem *„Nijoła”* miała być pierwotnie częścią składową tej pierw-

szej, tj. *„Krumine”*. Aby zaś dojść do *„Nijoły”*, trzeba nieco dłużej zatrzymać się na *„Mildzie”*.

Partyturę mitologicznej kantaty litewskiej *„Milda”*, wraz z głosami orkiestrowymi i wyciągiem fortepianowym, wydano w Warszawie dopiero w 1909 r. (Jedynie znane egzemplarze powyższej edycji – rzadkość bibliograficzna – znajdują się w Warszawie i Poznaniu.) Słowa do tej kantaty – to w rzeczywistości mutacja pieśni pierwszej poematu *„Anafielas”*, najambitniejszej objętościowo próby poetyckiej Kraszewskiego z lat 1839 – 1845. Tytuł pieśni I – *„Witolorauda”* – należałoby tłumaczyć jako *„opłakiwanie Witolda”*; *„rauda”* znaczy płacz, żal żywych za zmarłymi, a termin ten w zastosowaniu genologicznym litewskim oznacza pieśń żałobną. Warto odnotować, że na temat pierwodruku *„Mildy”* istnieje różnica poglądów między muzykologami a historykami literatury, ujawniająca się w bibliografii tzw. *„Nowego Korbuta”* oraz w pracy źródłowej Krzysztofa Mazura *„Pierwodruki Stanisława Moniuszki”* (Warszawa 1970). Zdaniem autorów *„Nowego Korbuta”* *„Witolorauda”* została opublikowana w Wilnie w 1846 r. jako *„wydanie 2 przerobione i powiększone, z 50 drzeworytami Wincentego Smokowskiego i muzyką (!) S. Moniuszki”*, następnie zaś opracowane przez J.I. Kraszewskiego libretto wydano pt. *„Milda”*. Kantata mitologiczna, muzyka S. Moniuszki” (Warszawa 1859). *„Nowy Korbut”* niestusznie stawia znak równości między dwiema edycjami: *„W-wa 1859 toż W-wa 1909”* (*„Nowy Korbut”* t. 12: *„Józef Ignacy Kraszewski. Zarys bibliograficzny”*, Kraków 1966, s. 44-45). Muzykolog K. Mazur edycję z 1909 r. traktuje na prawach pierwodruku, o poprzednich w ogóle nie wspominając.

Kto ma rację? Na szczęście możemy sięgnąć po blok korespondencji Stanisława Moniuszki, tam znajdując wyjaśnienie zagadki. Otóż pieśni żałobnych Moniuszki do słów *„Witoloraudy”* (edycja 1846) nie należy utożsamiać z *„Mildą”*, podobnie jak edycji *„Mildy”* (1859) nie wolno mylić z edycją 1909. *„Napisałem teraz kantatę czy tam balladę (!), treść z mitologii litewskiej. Nazywa się „Milda”. Libretto ułożone z urywków wstępu „Kraszewskiego...”* – donosił Moniuszko listownie J. Komorowskiemu 4.11. 1848 r. Prapremiera odbyła się w Wilnie, 18 grudnia tr., w sali Müllerów przy ul. Niemieckiej, a świadkiem jej był m. in. Władysław Syrokomla. Podstawę wystawienia *„Mildy”* stanowiła tzw. pierwsza redakcja libretta w opracowaniu E. Chłopickiego, natomiast podstawę edycji warszawskiej 1859 – już libretto oryginalne Kraszewskiego (autograf tego libretta zachował się w zbiorach Sekcji im. Moniuszki Warszawskiego Towarzystwa

Muzycznego). Przypomnijmy też na marginesie, że rok wcześniej Moniuszko włączył „Trzy piosnki Romussy” z „Witoloraudy” do kolejnego wydania „Trzeciego śpiewnika domowego” (Wilno 1858). Jak powiedzieliśmy wcześniej, wyposażenie edycji 1909 w stosunku do pierwodruku warszawskiego 1859 było znacznie bogatsze pod względem muzycznym (partytura, głosy orkiestrowe, wyciąg fortepianowy). „Nijoła”, jak się przyjmuje, została skomponowana w Wilnie, w najbliższych latach po „Mildzie”. Tekst tej trzeciej kantaty Moniuszko zaczerpnął częściowo z „Witoloraudy”, ale już niczego więcej na ten temat powiedzieć się nie da. Istnieje bowiem tylko wyciąg fortepianowy kantaty „Nijoła” w autografie przechowywanym przez Sekcję im. Moniuszki WTM.

Inną dziedzinę twórczości muzycznej Moniuszki reprezentuje motet na chór mieszany z towarzyszeniem organów „Agnus Dei. Z krzyża boleści”, Warszawa 1904. Słowa do tego utworu kompozytor zaczerpnął z tomu wierszy J.I. Kraszewskiego „Hymny boleści” (Paryż, 1857 r.), nawiązujących do poezji religijnej Krasińskiego i Ujejskiego.”

1 stycznia 1848 r. Moniuszko wystawił po raz pierwszy swą wielką operę „Halka”, prawdziwe arcydzieło muzyki powszechnej, przyjęte jednak początkowo bez specjalnego aplauzu. W 1849 roku kompozytor złożył wizytę w Petersburgu, zawarł – jak już zaznaczyliśmy powyżej – znajomość z Glinką i Dargomyżskim, wybitnymi twórcami rosyjskimi, nota bene! – polskiego pochodzenia. (Por. Jan Ciechanowicz, „Musica Peregrina”, Mołodeczno 2002). Od samego początku twórczość naszego kompozytora cieszyła się wielką sympatią w całej Rosji, a w jakim polskim środowisku „kulturalnym” żył i tworzył ten wybitny artysta – jednoznacznie mówi następujący drobny szczegół. Po premierze „Halki” w Wilnie kompozytor zapytał swego znajomego, starego szlachcica kresowego, jak mu się podoba opera. – „E, tam. Bardzo długa historia. Dalby stolnik dziewczynnie krowę w pierwszym akcie i wszystko by się zaraz skończyło”... Trudno, każdy geniusz tworzy wśród mniej lub bardziej (raczej bardziej) głupiej masy „prostego ludu” i stanowi coś w rodzaju perły – przepraszamy za dosadne porównanie! – na kupie gnoju. Jest to reguła bez wyjątku...

Wpływowy jednak rosyjski krytyk muzyczny Aleksander Sierow nieco później miał – wśród wielu podobnych głosów – odnotować: „Dla tych, co znają język polski, pieśni p. Moniuszki są istnym skarbem. Nie zawaham się postawić je w jednym rzędzie z najlepszymi, jakie są w muzyce w tym lirycznym, pieśniarskim gatunku, któ-

rego głównymi przedstawicielami są w Niemczech F. Schubert i R. Schumann, a w naszej ojczyźnie M. Glinka i A. Dargomyżski”... Nawet sława nie zawsze przychodzi w porę, a przecież i za nią trzeba nieraz płacić.

W kwietniu 1849 roku Stanisław Moniuszko wystosował z Petersburga list do swej matki zamieszkałej w Wilnie, który się rozpoczynał zdaniem:

„Najłaskawsza Mamo Dobrodziejko!

Stało się! Skończyło się! Jak najpomyślniej wyszliśmy z honorem i z trochę pieniędzmi, bo gdybyśmy nie musieli siedzieć półtrzecia miesiąca, mielibyśmy po 150 rubli srebrem na osobę!! a gdyby nam ktokolwiek pomagał, to jest, gdyby mnie kto pomagał w załatwianiu kolosalnych trudności koncertu, pewnieby o 100 koszt był mniejszy – dla ciekawości załączam rejestr wydatków.... [...]

To jest smutny a wierny rachunek – wszyscy domagają się drugiego koncertu, który choć niewiele, przynajmniej drugie tyle nam może przynieść. – Zdecydowaliśmy się, uzbroiwszy się w cierpliwość przenajświętszą, w dniu 24. kwietnia wystąpić po raz drugi. – Westchniesz tam a szczerze do Boga, ażeby choć w połowie tak nas przyjęto – jak pierwszy raz –

Uściskam [...]”.

Tak więc koncert dany 2 kwietnia 1849 roku stał się wielkim sukcesem młodego kompozytora. Nawiasem mówiąc, bardzo wysoko oceniono natychmiast muzykę Moniuszki także w Niemczech, Austrii, Francji, nieco później – także w Polsce. W 1860 odbyła się w Warszawie premiera opery „Hrabina” oraz w kościele Karmelitów w Lesznie hymnu „Boże, coś Polskę”... W 1865 r. warszawska publiczność Teatru Wielkiego przyjmuje owacyjnie operę „Straszny dwór”.

Po triumfalnym wystawieniu „Halki” w Warszawie Moniuszko uzyskał stanowisko dyrygenta Opery Warszawskiej. Mógł wtedy poświęcić się kompozycjom większych rozmiarów i głębszej treści muzycznej. Napisał wtedy „Hrabinę”, „Verbum nobile”, „Flisa”, „Straszny dwór” i „Parię”. Szczególnie z tą ostatnią operą, osnutą na tle dramatu Delavigne’a, wiązał duże nadzieje. „Parię” nie miała jednak żadnego powodzenia – egzotyczny, choć modny temat okazał się Moniuszce obcy i nie zdołał zainspirować go do stworzenia oprawy muzycznej, która dorównywałaby operom o tematyce polskiej.

W roku 1854 założył kompozytor Towarzystwo Św. Cecylii, w którym skupił zaprzyjaźnionych amatorów sztuki sakralnej. Celem Towarzystwa było wykonywanie wartościowych dzieł muzyki religijnej, przede wszystkim polskich. Był zresztą głównym autorem tych

dział. Wykonywał z tymi amatorami również swe *Cztery Litanie Ostrobramskie*. I Litania pochodzi z roku 1843, druga z 1849. Nie wiadomo dokładnie, kiedy powstała III Litania. Miała być wykonana pod koniec 1854 lub na początku 1855 roku. Wydana później w Paryżu została dedykowana Rossiniemu. IV Litania datuje się r. 1855. Po przeniesieniu się Moniuszki do Warszawy, Towarzystwu zabrakło ofiarnego i sprężystego animatora, toteż się rozpadło.

W 1872 roku publiczność warszawska przyjęła niesłychanie wrogo operetkę „Beata”. Opinie ludzkie są zmienne, a tłum, zdarza się, linczuje dziś tego, kogo wczoraj jeszcze entuzjastycznie wielbił. Tacy są ludzie. O tym wiedział też Moniuszko, lecz wciąż nie mógł z tym się pogodzić, przejmując się głosem byle pismaków na łamach warszawskich szmatławców. To zaś tworzyło jak najbardziej sprzyjające warunki do rozwoju czyniącej groźne postępy choroby serca. Rok 1872 był ostatnim rokiem życia wielkiego kompozytora.

4 czerwca rano mistrz „wyszedł do kościoła i następnie, załatwiwszy niektóre w mieście interesa, o godzinie 10 wrócił do domu. Właśnie wchodził na schody, kiedy go chwycił atak sercowy. Wprowadzono go do mieszkania, wezwano lekarza, lecz na próżno. O godzinie 6 po południu już nie żył, zostawiwszy rodzinę bez żadnych środków” – wspominał w swej książce o Mistrzu Walicki.

7 czerwca odbył się uroczysty pogrzeb, mszę w kościele Św. Krzyża celebrował biskup Baranowski, artyści Teatru Wielkiego wykonali „Requiem” Moniuszki; kompozytora odprowadzała na Powązki 80-tysięczna rzesza wielbicieli jego talentu. Wszyscy zdali sobie sprawę, kim był dla narodu polskiego ten skromny, cichy człowiek. Czasopismo „Bluszcz” pisało: „Pogrzeb Moniuszki był najwymowniejszym świadectwem, jaka spójnia duchowa, mimo naszej wiedzy nawet, łączyła nas wszystkich z Nim. Poczuliśmy się nagle osieroceni”.

Wielki kompozytor zmarł w wieku zaledwie 53 lat, będąc naprawdę w apogeum swej twórczości. Nikt nie wie, iloma by jeszcze arcydziełami wzbogacił kulturę powszechną, gdyby przedwczesna śmierć nie przecięła nici jego jakże pracowitego żywota. Cała Warszawa ze smutkiem żegnała swego geniusza. Tygodnik „Kłosa” odnotował o dniu pogrzebu: „Jakkolwiek sam obrzęd miał się rozpocząć o godzinie jedenastej z południa, już od godziny dziewiątej prawie rano kościół Ś-to Krzyski, w którym spoczywały dostojne zwłoki zmarłego muzyka-poety, zaczął się napędliać. O godzinie jedenastej rozpoczęło się żałobne nabożeństwo, odprawiane przez biskupa Baranowskiego, podczas którego artyści opery polskiej wy-

konali „Requiem” utworu śp. Moniuszki. Tysiące ludzi napędliało już Krakowskie Przedmieście; w oknach i na balkonach pełno było zebranych osób. O godzinie wpół do pierwszej ruszył pochód żałobny... Grobowe milczenie zajęło wszystkie ulice, którymi orszak pogrzebowy postępował, przerywane tylko odgłosem dzwonów kościelnych, to żałobnym śpiewem kapłanów, to orkiestrami teatrów warszawskich i Bilsego. Pochód od Św. Krzyża szedł Krakowskim Przedmieściem do posągu Zygmunta III, ulicą Senatorską... Zebrane tłumy do 80 000 wynosiły, które wyległy na te ulice i place miasta. Szła droga przez Bieleńską i Nalewki; cmentarz Powązkowski już od dawna był przepętlony około miejsca, gdzie trumna złożoną być miała... Jan Chęciński, artysta i pisarz dramatyczny, przemówił i przypomniał stratę, jaką kraj cały poniósł”.

S. Moniuszko nie znalazł naśladowców. Bo i jak? Aby naśladować skutecznie geniusza, trzeba samemu być geniuszem, ale gdy się jest geniuszem, nikogo się nie naśladuje. Tak więc każdy geniusz w dziejach kultury to zawsze samotny „wilk stepowy”. I właśnie to jest piękne w losie wybitnych artystów, filozofów i uczonych, że nie można ich powielać. Warto dodać, iż we współczesnej Litwie i Białorusi dzieła Stanisława Moniuszki są uważane za istotną część składową kultury narodowej i nie schodzą ze sceny ani w Wilnie, ani w Mińsku.

Dr Jan CIECHANOWICZ



Grób Stanisława Moniuszki na warszawskich Powązkach

U ŹRÓDEŁ HYMNIKI POLSKIEJ

*Pieśni polska, tyś jak rosa,
Co na spiektą duszę spada!
[...]
Szczęsny, ponad czyją głowę
Skrzydło swoje tyś rozpięta,
Gdy mu z piersi rzucisz słowo:
„Jeszcze Polska nie zginęła!”*

Władysław Bełza



„Rota”

*„Rotą» Konopnickiej zmartwychwstała Polska dzisiejsza.
Należy się jej za to od narodu pomnik.”*

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

1. Z pruską pedanterią krok po kroku realizowano na byłych ziemiach Rzeczypospolitej program germanizacji młodego pokolenia w szkołach elementarnych i gimnazjach. Rugowanie polszczyzny odbywało się stopniowo: najpierw zakwestionowano ją jako język wykładowy, by w końcu zlikwidować język polski nawet jako przedmiot nadobowiązkowy oraz w nauczaniu religii klas najmłodszych.

Rok 1887 stanowił datę krytyczną zapoczątkowującą ten proces; w czerwcu 1906 r. padł ostatni szaniec – do nauczania religii użyto języka niemieckiego.

Pod koniec października 1906 r. uczestniczy w strajkach 47 000 uczniów w 733 szkołach na terenie powiatów czarnkowskiego, wieluńskiego, wyrzyskiego, bydgoskiego i inowrocławskiego, zaś do połowy grud-

nia przyłącza się kolejnych 300 szkół Pomorza Gdańskiego. Petycja domagająca się przywrócenia języka polskiego w nauczaniu religii – liczyła na przełomie 1906/1907 r. 34 369 podpisów.

Przebieg ofensywy antypolskiej ilustrują szczególnie wyrażenie dokumenty. Oto przykład bezpardonnego gwałtu zadawanego kulturze ojczystej ziem rozbiorowych w akcie całopalenia jej pośredniczki uniwersalnej – książki.

Tak brzmi jedno z wielu orzeczeń sądu w Ostrowie.

„W sprawie karnej dotyczącej zniszczenia druków wydała II izba karna [...] na rozprawie z dnia 30.06.1905 r. wyrok prawomocny. Wszystkie znajdujące się na terenie Rzeszy Niemieckiej i będące w posiadaniu czy to autora, czy drukarza, wydawcy, nakładcy albo księgarza publicznie wyłożone i publicznie oferowane egzemplarze następujących druków:

1. Adam Mickiewicz. Wydawnictwo Polskiej Partii Socjalistycznej. Londyn, w drukarni Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich 1898.

2. III scena aktu 3 dramatu „Pokonani zwycięzcami, dramat w 3 aktach. Napisał Janko”. Wyd. II Londyn, w drukarni partyjnej 1904.

3. „Do Boju” nr 3. Organ PPS, Proletariat. Z drukarni Proletariatu.

4. „Jak się narody rządzą?” Opisał Michał Luśnia. Kraków 1904. Książka t. z z.o.p.

5. „Promień”. Pismo postępowej młodzieży polskiej. Rok 7 nr 1, Lwów, styczeń 1905.

6. Wybór poezji, a). tomik pierwszy, b). tomik drugi, jedenasty tyśiąc, Londyn, drukarnia PPS 1903.



Maria Konopnicka

7. „Do młodzieży”. Piotr Krapotkin, wolny przekład z francuskiego, wyd. drugie. Londyn 1903. Z drukarni PPS. *jak i potrzebne do wydania tych druków płyty i formy należy zniszczyć. Wyrok jest prawomocny.*”

Rzeczywistość Królestwa Polskiego odbijała korzystnie na tym ponurym tle. Od 1905 r., gdy szkolnictwo prywatne w Królestwie wywalczyło sobie prawo nauczania w języku ojczystym, edukacja patriotyczna otrzymała poważniejszy wymiar, doczekała się również głębszego oddechu światopoglądowego.

Oto obrazek z warszawskiej pensji lewicującej (Jadwigi Kowalczykówny i Jadwigi Jawurek):

„Zbliżał się 1 Maja. Solidarność ze świętem pracy, wzięcie udziału w międzynarodowym święcie robotniczym zostało zdecydowane. Przecież robotnicy poparli strajk szkolny, przyczynili się do wywalczenia polskiej szkoły. Przygotowywałam się do wzięcia udziału w pochodzie. Na dużych pauzach ćwiczyliśmy chóralnie pieśni rewolucyjne: «Czerwony Sztandar» (Bolesława Czerwińskiego), «Na barykady» (pieśń anonimowa), obie «Warszawianki» (Casimira Delavigne’a w przekładzie Karola Sienkiewicza oraz pieśń Wacława Świącieckiego), pieśń o Meyerze i Skattonie (Brunona Winawera «Marsylianka robotnicza», «Marsyliankę» i wiele innych.”

2. Jedną z inicjatorek akcji protestacyjnej przeciwko gwałtom Prusactwa wobec polskośći ziem i ludzi była Maria Konopnicka. Przypomnijmy na marginesie, że heroizm sławnych Dzieci Wrzesińskich – bohaterów strajków szkolnych 1901/1902 i 1906/1907 r. – znamy dziś również dzięki celnym wypowiedziom poetyckim autorki „Roty”.

Na tę właśnie porę przypada ostatnie zwycięstwo poetyckie Marii Konopnickiej.

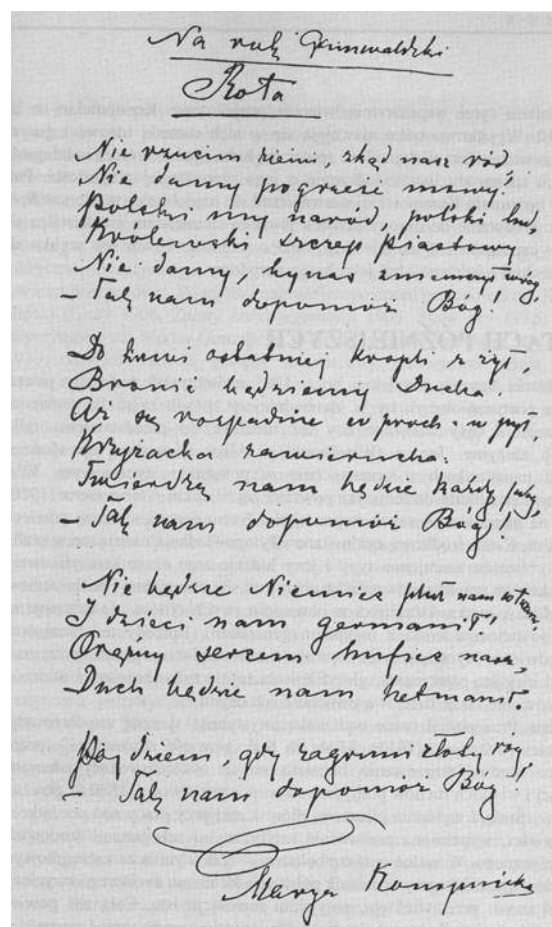
Wiersz okolicznościowy w bogatym dorobku Konopnickiej to zjawisko dość częste. Pojmując pisarstwo jako rodzaj służby społecznej, była Pani na Żarnowcu poetką żywo i spontanicznie reagującą na wydarzenia chwili.

Konopnicka prowokuje i dziś jeszcze opinie nieraz sprzeczne. Trudność ich wzajemnego pogodzenia ma za przyczynę zróżnicowanie stanowisk badawczych oraz motywacji czytelniczych. Jest więcej niż pewne, że w kategoriach estetycznych poezja autorki „A jak poszedł król na wojnę” nie może liczyć na wysoką lokatę; niewątpliwie również warsztat Konopnickiej, rozmiijając się z założeniami tzw. poezji intelektualnej, jest nastawiony na „inne piętro” obiegu społecznego. Właśnie ze społecznego punktu widzenia twórczość poetycka bojowniczk

Słowa: Maria Konopnicka
Muzyka: Feliks Nowowiejski

ROTA

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy!
Polski my naród, polski ród,
Królewski szczep piastowy.
Nie damy, by nas zniemczył wróg –
Tak nam dopomóż Bóg!
Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy Ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha.
Twierdzą nam będzie każdy próg –
Tak nam dopomóż Bóg!
Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz
Ni dzieci nam germanił,
Orężny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanil.
Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg –
Tak nam dopomóż Bóg!



o Polskę i polskość osiągnie rangę „poezji masowej” w dobrym tego słowa znaczeniu, poezji obliczonej na powszechny odbiór i powszechne oddziaływanie.

Toteż nie mogą nas dziwić potoczne reakcje na Konopnicką „wykwintnych smakoszy literatury”. Z ich opinii zresztą naigrawa się – słusznie – Paweł Hertz, cytując nadawane przez nich epitety całemu niemal garniturowi znanych twórców dziewiętnastowiecznych, w takim oto stylu: „*Lenartowicz ckliwy, Syrokomla nudzi, Krasiński pisze kulawo, Słowacki jest zbyt poetyczny, Asnyk to orzeł, który ma skrzydła, ale nie poleci, Konopnicka...*”

Tym ostatnim zwycięstwem jest „Rota”.

Mówi się o niej zwyczajowo, że została napisana z myślą o 500. rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Istotnie, na rok 1910 przypada opublikowanie utworu w czasopismach „Kurier Warszawski” (w numerze noworocznym jako „Przysięga”), „Nowiny Krakowskie”, „Gazeta Samborska”, „Gwiazdka Cieszyńska” i „Gazeta Polska” (Chicago). Co więcej, zdaje się tę intencję potwierdzać sama Konopnicka w liście do redakcji „Gwiazdki”:

„Szanowny Redaktorze,

Pozwalam sobie na ten Rok Grunwaldzki przesłać «Gwiazdce Cieszyńskiej» wiersz napisany dla Wielkopolski. Wy tam, na Śląsku, drodzy Rodacy, tak samo przesładowani jesteście i myślę, że dobrze jest umacniać ducha narodowego w szeregach walczących z germanizacją.

Pragnęłabym, aby Ślązacy nie tylko powtarzali w sercu tę rotę przysięgi na wierność Ojczyźnie, ale żeby to była pieśń ich i wyraz ich duszy.

*Przyjmij, Szanowny Panie, bratnie pozdrowienia –
Maria Konopnicka*

Nizza (Nicea), d. 17.02.1910. Nice. France – rue de Prance 63.”

Jednocześnie znany jest autograf innego przeznaczenia, a mianowicie – na prośbę redaktora chicagowskiej „Gazety Polskiej” Jerzego Watry-Przewłockiego – „Rotę” dedykowała Konopnicka (tegoż 17 lutego 1910 r.) Polonii Amerykańskiej.

Rozważmy jednak wymowę stwierdzenia autorskiego, iż jest to wiersz napisany „dla Wielkopolski”, oraz przypomnijmy wypowiedzi świadków podtrzymujących opinię, jakoby ksiądz Londzin, redaktor „Gwiazdki”, dysponował tekstem „Roty” już w 1908 r.

Wreszcie – co najważniejsze – wskaźmy pierwodruk „Roty” w roczniku 1908 czasopisma krakowskiego „Przodownica”, dedykowany „Ludowi Śląskiemu”.

Wszystkie te argumenty przemawiałyby za powiązaniem utworu z okresem szczególnej kulminacji wysiłków germanizacyjnych na obszarze zaboru pruskiego (bismarckowskie „rugi pruskie”, działalność tzw. Komisji Kolonizacyjnej i Związku Kresów Wschodnich – „Hakaty”). Istotniejsze zatem wydaje się sąsiedztwo „Roty” z projektem ustawy wywłaszczeniowej 1908 r. aniżeli z rocznicą grunwaldzką.

Muzykę do „Roty” skomponował Feliks Nowowiejski. Istnieją co najmniej cztery domniemania na temat okoliczności zetknięcia się kompozytora z tekstem wiersza Konopnickiej. Autorem wersji najpopularniejszej jest Edward Ligocki, publicysta i pisarz, a jak wynika ze sposobu podejścia do problemu skomponowania melodii „Roty” – również utalentowany poeta.

Wyobraźnia podpowiedziała Ligockiemu takie oto rozwiązanie zagadki:

„– *Dostałem ja te słowa (od Laury Pytlińskiej, córki Marii Konopnickiej) – miał rzekomo powiedzieć Nowowiejski – i tak mi się jakoś dziwnie zrobiło na duszy. Pojechałem za miasto, do lasu. Chodzę wśród drzew, las szumi, a w sercu mi coś gra... No i zanotowałem «Rotę»...*”

Jeśliby podtrzymać obie sugestie Ligockiego, co do osoby pośredniczącej (córka poetki) i co do momentu przekazania tekstu „Roty”, ów spacer wśród drzew wypadłby Nowowiejskiemu w lesie pod Berlinem.

Inny plener – Błonia krakowskie – i inną porę: czerwiec 1910 r. proponują natomiast synowie słynnego muzyka, powołując się na tradycje rodzinne i na kąśliwą uwagę ich ojca, który miał powiedzieć kiedyś, iż „*jak powstała «Rota», wiedzą doktorzy lepiej niż kompozytor...*”

Próbowała w tej sprawie interweniować jeszcze jedna osoba, a mianowicie córka profesora Stanisława Bursy, Danuta. Jej argumenty – zmierzające, śladem wielu opinii wypowiedzianych poprzednio, do cofnięcia kompozycji w czasie „*co najmniej o trzy lata*” zostały jednak odrzucone przez jednego z synów, Feliksa Marię Nowowiejskiego.

Jak się wydaje, najbliższy prawdy jest w swej próbie rekonstrukcji wydarzeń Stanisław Zetowski, posiłkujący się dodatkowo autorytetem wymienionego przed chwilą Stanisława Bursy; faktografia przynajmniej nie budzi tu zastrzeżeń, mimo że nie kieruje się Nowowiejski ani do lasu, ani na Błonia...

Zacznijmy od sięgnięcia po egzemplarz „Nowin Krakowskich” z 9.01.1910 r. Tegoż dnia profesor Bursa, współpracownik tychże „Nowin”, a ponadto dyrygent chóru Sokołów, spotkawszy się z Nowowiejskim

(mieszkającym wówczas w Krakowie przy ulicy Wolskiej 14 lub 17) zaatakował go wprost: „– *«Nowiny» przedrukowały dziś słiczny wiersz Konopnickiej... Prosi się on o muzykę. Panie Feliksie, dla Sokołów na obchód grunwaldzki potrzeba pieśni. Oto jest stosowny tekst, trzeba tylko melodii!*”

Nowowiejski nie odmówił. 13 stycznia 1910 r. rzecz była gotowa. Taką właśnie datą jest opatrzony autograf kompozycji, ongi własność profesora Bursy, reprodukowany po ćwierćwieczu w czasopiśmie „Śpiewak”. Do prawykonania pieśni doszło już 23 stycznia, kiedy to chór Sokołów krakowskich pod batutą Bursy na specjalnym wieczorze – „Rotą” uczcił czterdziestą siódmą rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego, w siedzibie Sokoła (przy zbiegu ulic Wolskiej i Wenecji).

Jako pierwsze wykonanie publiczne można uznać dopiero udział „Roty” w programie muzycznym obchodów grunwaldzkich, których punktem kulminacyjnym było odsłonięcie krakowskiego pomnika Władysława Jagiełły, 15 lipca 1910 r. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że na te manifestacje patriotyczną zjechało do Krakowa ponad 100 000 ludzi.

Bohaterem dnia był fundator pomnika Ignacy Jan Paderewski. Swą mowę okolicznościową rozpoczął od stwierdzenia: „*Dzieło, na które patrzymy, nie powstało z nienawiści...*” Można to pierwsze zdanie wypowiedziane publicznie wobec wielotysięcznych tłumów uznać za motto jubileuszu grunwaldzkiego. Po kolejnym przemówieniu (Marszałka Stanisława hr. Badeńskiego) „*spadły opony osłaniające pomnik*”.

Odszpiewanie „Roty” przez chór męski, stojący w tle pomnika na specjalnej estradzie, przypadło właśnie na sam moment odsłonięcia, kiedy to oczy wszystkich zwróciły się w stronę osoby fundatora, a potem ku dziełu artysty rzeźbiarza Antoniego Wiwulskiego.

„*Hymn* – zdaniem korespondenta „Kuriera Warszawskiego” – *wywarł dobre wrażenie*.” Po jego odśpiewaniu zgromadzona publiczność zaintonowała „Boże, coś Polskę”.

3. Niewątpliwie to pierwsze skojarzenie „Roty” z pomnikiem grunwaldzkim zaważyło na opinii obiegujacej wiążącej pieśń z ową rocznicą. Tak zresztą również rozumiał „Rotę” sam Nowowiejski, tytułując autograf ofiarowany profesorowi Bursie dwiema datami: „1410 – 1910”. Taką formułą posłużyły się „Nowiny Krakowskie”, donosząc w numerze z 20.10.1910 r. o skomponowaniu melodii do – cytujemy – „*Hymnu Grunwaldzkiego*”. Podobnie wydawca S.A. Krzyżanowski zatytułował pierwodruk utworu: „*Ojczyźnie!*

Hasło, uroczysta pieśń na obchód grunwaldzki”, Kraków 1910. Było w tym przynajmniej tyle racji, że pieśń istotnie zrodziła się „z okoliczności”, podczas gdy sam wiersz funkcjonował od 1908 r.

Komponując „Rotę”, Nowowiejski – według opinii niektórych muzykologów – posiłkował się motywem zapożyczonym z „malborskiego hymnu krzyżackiego”. Inni są zdania, że kompozytor dokonał parafrazy marsza ułożonego parę lat wcześniej ku czci cesarza. Jeśli to prawda, byłoby to jeszcze jedno symboliczne zwycięstwo odniesione nad „krzyżacką zawieruchą”. Nie są to jednak informacje sprawdzone; obawiamy się, że są wręcz niesprawdzalne. Zdumiewa tylko, że tych podstawowych kwestii nie rozstrzygnięto u źródła, że w euforii jubileuszowej 25-lecia „Roty” nie dość eksploatowano jej kompozytora, wówczas laureata nagrody państwowej i szambelana papieskiego (1935). Na zasadnicze pytania z łatwością odpowiedziałby on sam.

„*Nie było dziełem przypadku* – pisze Justyna Leo – *że właśnie autochton Prus odczuł i zrozumiał Konopnicką, że słowa «Nie damy pogrześć mowy» znalazły natychmiastowy odzew w uczniu germanizatorów szkoły w Świętej Lipce*.” Nie bez racji interpretatorka okoliczności towarzyszących skomponowaniu melodii do „Roty” wskazuje na porozumienie ideowe między obojgiem autorów pieśni. Mocne akcenty antyniemieckie i uwypatnienie historycznej ciągłości oporu Polaków wobec germańskiego parcia na wschód – wyjaśniają, dlaczego wśród zainteresowanych „Rotą” znaleźli się redaktorzy krakowskiej „Przodownicy”, „Gwiazdki Cieszyńskiej” i kompozytor pochodzący z Wartemborku Warmińskiego (dziś Barczewo).

Tekst „Roty” uderza przede wszystkim stylizacją piastowsko-staropolską opartą na archaizmach wyrażeniowych („*pogrześć mowy: szczep piastowy*”) i na skróconej formie osobowej czasownika („*rzucim*”, „*pójdziem*”), znanej już nam z „Pieśni Legijonów Polskich we Włoszech”. Archaizacja tego rodzaju może budzić skojarzenia z właściwościami polszczyzny gwarowej, ale – w naszym przekonaniu – jest obliczona na uzyskanie efektu „dawności” tekstu, czemu służy też archaizm składniowo-gramatyczny formuły przysięgi w refrenie: „*Tak nam dopomóż Bóg*”.

Stylizacja staropolska tworzy odpowiednie tło dla zastosowanych przez Konopnicką motywów: „*złotego rogu*”, „*Ducha*”, „*progu*” (= drzwi), „*hufca*” (= oddziału, wspólnoty). Okazuje się, że w sferze motywów obowiązuje bezapelacyjnie wzorce literackie romantyzmu i modernizmu. „*Złoty róg*” aż nadto wyraźnie brzmi, nie-

dawnymi doświadczeniami Wyspiańskiego w „Weselu”, kiedy to akordem sceny końcowej czyni poeta rzekomo ludową (intonowaną przez Chochola) piosnkę:

*Miałeś, chamie, złoty róg,
miałeś, chamie, czapkę z piór:
czapkę wicher niesie,
róg huka po lesie,
ostał ci się ino sznur,
ostał ci się ino sznur...*

(„Wesele”, akt III, sc. 37, w. 1164-1169)

W rzeczywistości tylko melodia piosnki Chochola posiada rodowód chłopski; słowa, a zatem również wzajemne usytuowanie rekwizytów (czapka z piór, złoty róg, sznur), należą do koncepcji artystycznej Wyspiańskiego.

„Duch” (= siła ducha), jest mocnym punktem ideologii romantycznej (również pogłosem mesjanizmu!), odnawianej z powodzeniem przez neoromantyków i uzewnętrznianej za sprawą przygotowań do setnej rocznicy urodzin Mickiewicza. Zwłaszcza działalność filozoficzno-wychowawcza Wincentego Lutosławskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, spotkała się z żywiołową reakcją ze strony młodzieży, tworzącej na nowo kółka filareckie z programem „odrodzenia duchowego” narodu poprzez rygorystyczny etyczny-religijny oraz idealizowanie wzorców osobowych – Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego („Duch będzie nam hetmani!”).

„Hufiec” – to z kolei dwa konteksty: rycerski i biblijny (hufce anielskie), oba przywoływane na fali fascynacji neoromantycznych, owocujących cyklem dramatów Wyspiańskiego („Warszawianka”, „Noc Listopadowa”, „Legion”), także fantazją dramatyczną Kazimierza Przerwy-Tetmajera („Zawisza Czarny”). Pod wpływem tego ostatniego Wyspiański wyposaży bohatera „Wesela”, Poetę, w „wewnętrzny dialog” ze zjawą – z Rycerzem, ucieleśnieniem Mocy i Ducha:

*... Ja Moc:
Za mną, przede mną
ognia kurz;
po drogach, po których lecę,
drzewa się palą jak świece,
ciskają się błyskawice,
jak lecę, Duch:
wyteżaj, wyteżaj słuch!*

(„Wesele”, akt II, sc. 9, w. 551-558)

Oto zakończenie „Roty” w nie istniejącej wersji brulionowej, harmonizujące zarówno z nadziejami

„Koroniarzy”, jak i Polaków spoza Królestwa – ze Śląska, Galicji czy Warmii i Mazur.

*Nie damy miana Polski zgnieść,
Nie pójdziem żywo w trumnę,
W ojczyzny imię i w jej cześć
Podnosim czoła dumne.
Odzyska ziemię dziadów wnuk –
Tak nam dopomóż Bóg!*

Rozpoczęliśmy ten rozdział od stwierdzenia, że różne mogą być, i są, reakcje na słowo poetyckie Marii Konopnickiej. O tym, jak różne, świadczyć może nawet przykład tej odrzuconej strofy pieśni.

Oceniał ją niegdyś bardzo wysoko profesor Stanisław Pigoń. Natomiast jeden z powojennych monografistów „pieśni grunwaldzkiej”, Jan Baculewski, wyraził poetce wdzięczność, że „oszczędziła nam tej strofy, pozostawiając ją w brulionie”.

O gustach się nie dyskutuje. Profesorowie zwykli traktować jednak zgodnie sam tekst autorski jako swego rodzaju świętość. Tymczasem inaczej wyglądały początki „Roty” w obróbce dziennikarskiej. Już wczesny przedruk w numerze noworocznym „Kariera Warszawskiego” (1910 r.) różni się od autografu – na co zwrócił uwagę Baculewski – znaczącą zmianą w dystychu trzecim strofy trzeciej: „*Orężny wstanie hufiec nasz*” zamiast autorskiego „*Orężny sercem...*”.

Jest to, trzeba przyznać, wyraźne „zmilitaryzowanie” wymowy ideowej utworu, zgodne zresztą – jak większość poprawek w utworach tego typu – z odczytaniem społecznym „Roty”.

4. O popularności „Roty” pisać byłoby nietaktem. Pieśń Konopnickiej i Nowowiejskiego stała się wszechobecnym składnikiem polskości w kraju i poza jego granicami.

Warto jednak przypomnieć kilka znamienitych etapów jej sławy.

Pierwszym adresatem pieśni był, jak pamiętamy, krakowski chór Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Sprawilo to, że w najwcześniejszej fazie rozpowszechniania „Rota” przeszła przez środowiska sokole i harcerskie zanim stała się pieśnią ogólnonarodową. Historyk harcerstwa T. Strumiłło wypowiedział się o zaletach wychowawczych „Roty” bardzo pochlebnie. „*Jej twarde a podniosłe strofy śpiewane w dni uroczystości skautowych i narodowych, a zwłaszcza przy ogniskach obozowych – pisał Strumiłło – [...] zapadały najgłębiej w dusze, czyniąc ze skautów [...] istotnie najwierniejszy, zaprzysiężony hufiec młodych rycerzy ojczyzny.*”

Jednocześnie precedens odśpiewania „Roty” w dniu rocznicy styczniowej, a potem jubileuszu grunwaldzkiego, uczynił z pieśni podniosły akcent różnych uroczystości patriotycznych. Tak było 26.07.1910 r. w Rzeszowie (rocznica grunwaldzka), podobne względy zdecydowały o obecności „Roty” 6.11.1910 r. w Cieszynie (wieczór kościuszkowski), 3.05.1917 r. w Wojsławicach (rocznica Konstytucji) czy 17.10.1917 r. w Poznaniu (stulecie zgonu Kościuszki).

Wypada tu stwierdzić raz jeszcze, że parafrazuje się tylko utwory naprawdę powszechnie znane. Tym istotniejszy dla obrazu powodzenia „Roty” będzie moment jej najwcześniejszej przemiany tekstowej (nie licząc ingerencji „Kuriera Warszawskiego”: „*Orężny wstanie...*”). Otóż pierwsze na większą skalę odstępstwo od tekstu autorskiego obserwujemy w lwowskich „Wiściach”, rocznik 1912, nr 1.

Czas wojny światowej uczynił z „Roty” również pieśń żołnierską. Był to jej drugi etap powodzenia. Gwarancją powszechności zasięgu wieszczych słów obietnicy „*Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród*” – stały się pierwsze żołnierskie parafrazy tekstu pieśni. Poeta-żołnierz por. Józef Relidziński odwoływał się do „Roty” dwukrotnie, pisząc „Rotę Piłsudczyków” („*Nie rzucim Ciebie, wodzu nasz...*”) i jeszcze bardziej apologetyczną w tonie „Rotę Brygadierowi Piłsudskiemu” („*Pójdziemy naprzód, nigdy wstecz...*”). Inni przekładali formułę uniwersalną ponad apostrofy hołdownicze. Tak postąpił Jan Szczęsny Mayzel, pisząc jedną z szerzej znanych parafraz „Roty” („*Nie damy, by nasz polski huf...*”).

Wydawnictwa Naczelnego Komitetu Narodowego obracają teraz „Rotę” w sposób jednoznaczny przeciwko wspólnemu wrogowi cesarstwa austriackiego i podporządkowanych mu Legionów. Jest więc sprawą jasną, że kierunek uderzenia, jaki ongiś obrała Maria Konopnicka, trzeba ze względów politycznych odwrócić o 180°. Rezultaty tego znajdujemy w kolejnych śpiewnikach legionowych: od „Polskie pieśni wojenne i piosenki obozowe”. Zebrał A. Zagórski, Piotrków 1915, „Żołnierskie piosenki obozowe”, Piotrków 1916, Z.W. Mroczek: „Śpiewnik legionisty polskiego 1914 – 1916. Oryginalne śpiewy i śpiewki wojenne z melodiami zebrał...”, zeszyty I-III, Kraków 1914 – 1916, A. Piątek-Herwinówna: „Śpiewnik wojenny 1915 – 1916”, Kraków 1916 – po „Hej! kto Polak, na bagnety! Zbiór piosenek żołnierskich”, Warszawa 1920, i „Polski śpiewnik narodowy zawierający pieśni patriotyczne, narodowe, hymny i deklamacje”, Warszawa (1920?).

Można też wskazać parafrazy regionalne, lokujące kapitał uczuć patriotycznych w przywiązaniu do ziemi, do „mniejszej ojczyzny” (Stanisław Radzikowski: „Rota Podhalańska” – *Nie damy ziemi szczytów Tatr...* – i anonimowa „Rota Ziemi Czerwieńskiej” – *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...*).

„Rota” dzięki pośrednictwu czasopism emigracyjnych znalazła też trwałe miejsce w środowiskach polskich na obczyźnie. Zatem nie powinno nas dziwić intonowanie jej przez Hallerczyków – żołnierzy stutysięcznej armii polskiej utworzonej we Francji w 1917/1918 r. pod dowództwem gen. Józefa Hallera. Hallerczykom z kolei poświęcił odrębną pieśń do melodii „Roty” Edward Ligocki: „Rota ochotników Hallera” („*Ostał nam jeszcze w piersi gniew...*”).

Odnajdujemy znamienny epizod z okresu Rewolucji Październikowej. Kiedy Bohdan Żyranik, pseudonim Adam Koziarski, poszukiwał melodii do swej nowej, napisanej w 1918 r., pieśni żołnierskiej dla Czerwonego Pułku Rewolucyjnego Warszawy, walczącego u boku bolszewików z kontrrewolucją, wybór jego padł na „Rotę” Nowowiejskiego.

Oto słowa pierwszej zwrotki, która łatwo daje się śpiewać na znaną melodię:

*Nie panom wystugiwać się,
Nie tron ich wspierać krwawy –
Wolności ludu bronić chce
Czerwony Pułk Warszawy!*

[...]

(B. Żyranik: „Pieśń Czerwonego Pułku Warszawy”)

Podobnego zabiegu dokonał niewiele później, na pograniczu 1918/1919 r., więzień polityczny Modlina, działacz SDKPiL, Józef Krasny, pisząc „Czerwoną Rotę” („*Od lat idziemy w krwawy bój...*”).

Z pieśni bojowej impulsy patriotyczne „Roty” przekształciły się wkrótce w „pieśń budującą”, gdy u schyłku działań wojennych dochodziło już na ulicach Warszawy i na ziemiach Królestwa Polskiego do spontanicznego rozbijania żołnierzy niemieckich, a w coraz bliższej perspektywie rysowała się POLSKA.

Dnia 10 listopada 1918 r. o godzinie 7 minut 50 w drzwiach balkonowych na pierwszym piętrze kamienicy warszawskiej przy ulicy Matejki 2 – ukazał się przybyły właśnie z niewoli magdeburskiej Józef Piłsudski. Było to pierwsze zetknięcie wodza Legionów ze stolicą. Jego słowa wzbudziły nadzwyczajny zapał. Ulica wrzała. Przeczuwając znaczenie tej chwili, warszawiacy wzniesli śpiew: najpierw porywający apel „Czerwonego Sztan-

daru”, później zbiorową przysięga „Roty”. Śpiew niósł się daleko. Znamionował Wolność i Polskę. Cztery dni potem Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu funkcję naczelnika Państwa i rozwiązała się.

5. W śpiewniku żołnierskim wydanym już w wolnej Polsce – „Rotę” odnajdziemy bez trudu, rzecz to oczywista.

Nastąpi zwrot ku tekstowi kanonicznemu autorstwa Marii Konopnickiej, ale znów pod zmienionym tytułem: „Hymnu bojowego”. Formuła ta utwierdza nas w przekonaniu, że sprzężenie owej pieśni z posłannictwem żołnierza, sprzężenie, które dokonało się na polu walki, jest trwałe. Toteż udział „Roty” jako „pieśni budującej” w rozmaitych manifestacjach patriotycznych i uroczystościach państwowych nada jej nie tylko najwyższą godność hymnu (oficjalnie była już wtedy hymnem Stronnictwa Ludowego), lecz ponadto udział ten będzie równoznaczny z zaszczytem reprezentowania Wojska Polskiego. W tak rozumianej podwójnej roli występuje pieśń Konopnickiej i Nowowiejskiego wielokrotnie, podczas uroczystości tej miary, co zaślubiny Polski z morzem (Puck, 10.02.1920 r.), odsłonięcie pomnika Tadeusza Kościuszki na Wawelu (1920 r.) czy z okazji obchodów rocznicowej Konstytucji 3 Maja i Święta Odrodzenia 11 listopada.

Ważły się losy „Roty” jako pieśni kandydującej – obok „Boże, coś Polskę” Alojzego Felińskiego, „Chorału” Kornela Ujejskiego, „Warszawianki” Casimira Delavigne’a/Karola Sienkiewicza i „Mazurka” Józefa Wybickiego – do rangi oficjalnego hymnu narodowego.

Dyskusję zapoczątkował jeszcze w listopadzie 1914 r. Czesław Jankowski na łamach „Przeglądu Warszawskiego” (nr 2, s. 12), opowiadając się za hymnem „Boże, coś Polskę”. Jego pierwszy polemista, sygnujący swą wypowiedź skrótem „J.Les.”, zakwestionował wszystkie tytuły rozpatrywane przez Jankowskiego – „Mazurek Dąbrowskiego”, „Chorał” Ujejskiego i „Boże, coś Polskę” – nieoczekiwanie wysuwając osiemnastowieczną pieśń Szkoły Rycerskiej „Hymn do miłości ojczyzny” („Kurier Polski” 1916 nr 119 z dnia 30.04. s. 3). Nasilenie dyskusji przypadło na lata 1920 – 1921, kiedy spodziewano się, że Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej – uchwalona 17 marca 1921 r. – dokona ostatecznego wyboru. Tak się jednak nie stało.

Rozważając ówczesne teoretyczne szanse „Hymnu bojowego”, trzeba przypomnieć spór wokół trzeciej, najostrzejszej jego strofy: „*Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz*”. Fatalna dosadność wyrażenia, pasująca do sytuacji zaboru pruskiego w 1908 r., raziła już dziesięć

lat później niektórych dyskutantów. Protestował przeciw temu zwrotowi teatralnym gestem, podczas zlotu członków „Sokoła” krakowskiego, „*wskakując na stół*”, artysta rzeźbiarz Ludwik Puget (Puszet), uzyskawszy niebawem sojusznika w osobie Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Obaj, Puget i Boy, ogłosili w tej sprawie „memoriały”. Wtórował im autorytet nie byle kogo, z wyżyn profesorskich – w odczycie publicznym wygłoszonym w Krakowie 9.02.1922 r.

„*Czy te słowa nie lepiej przystoją ustom naszym – zwracał się profesor Ignacy Chrzanowski do słuchaczy, przytoczywszy strofę „Mazurka Dąbrowskiego” (Niemiec, Moskal nie osiedzie...) – aniżeli te, któreśmy tak często śpiewali, nie zdając sobie sprawy, że one są dla nas nie tylko upokarzające, ale wręcz hańbiące: «Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!» Aż dziw, aż wstyd, że tego nie czujemy!*”

Zwycięstwo „Mazurka Dąbrowskiego” usankcjonował dopiero okólnik Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z 15.10.1926 r.

Ale i ten fakt nie uśmierzył dyskusji nad „Rotą”. Na szalę rzucił wtedy swój autorytet syn chłopski z Komborni, profesor Stanisław Pigoń. Nie było w słowach profesorskich ani dotychczasowego zaciętrzewienia polemistów, ani nuty goryczy zwolenników pieśni. Znalazło się tam natomiast – co gdy powiemy, nie będzie nietaktem – zdrowe, chłopskie rozumowanie i sprawiedliwy osąd wszelkich racji za i przeciw.

Pigoń dowodzi na przykładach, iż nie mamy w naszym śpiewniku takiej pieśni hymnicznej, która byłaby do zaakceptowania we wszystkich swych szczegółach. Cyprian Kamil Norwid powiadał na temat zwrotu o Napoleonie w „Mazurku Dąbrowskiego”: „*Kiedy kto w swojej Epopei Narodu wysławia, że dopiero nauczycy go ktoś obcy, jak zwyciężać – tedy naturalnie [...] on z siebie wywieść tego nie umie...*” Czy jest to powód do kwestionowania rangi hymnu?

I wreszcie słowo podsumowujące tok wywodów profesora Pigonia, słowo ważne nie tylko ze względu na przyszłość „Roty”, lecz także każdej innej, choćby najskromniejszej, pieśni żołnierskiej. „Rota” – stwierdza Pigoń – pozostaje niezagrożona, gdyż „*ciężka jest od wspomnień z nią związanych. Tego rodzaju ładunek uczuciowy przyda wartości pieśni nawet niepozornej.*”

„Rota” nie znalazła się na straconej pozycji, mimo że „Mazurkowi Dąbrowskiego” ustępowała znacznie skromniejszymi doświadczeniami historycznymi. W obronę wziął ją Kościół. Ojciec Aleksander Piotrowski napisał w 1927 r. nowe słowa, którym nadał tytuł:

„Rota katolików” („*Nie rzucim, Chryste, świątyń Twych...*”). Pieśń ta zadomowiła się w Polsce i poza granicami kraju, w skupiskach polonijnych.

6. Warmia przyjęła „Rotę” dość późno, ale w porę. Tekst pieśni ogłoszono drukiem po raz pierwszy 20.11.1919 r. w „Gazecie Olsztyńskiej” (nr 137, s. 2) i powtórzono go w numerze plebiscytowym.

Wydaje się prawdopodobne, że „Rotę” włączył Aleksander Sosna – obok „Mazurka Dąbrowskiego”, „Leć, Orle Biały”, „Pobudki”, „Dopóki w sercu naszym” i „Powstańmy z cześcią”(!) – do programu nauki śpiewu na dwóch kursach przygotowawczych dla nauczycieli szkół polskich w 1919 r.

Im bliżej było plebiscytu, tym częściej intonowano „Rotę” na zebraniach, wiecach, festynach polskich. Świątem pieśni Konopnickiej i Nowowiejskiego stał się zjazd kół śpiewaczych Warmii, 29.06.1920 r. w Gietrzwałdzie. Oczywiście wymowę miała pierwsza od 22 lat wizyta Feliksa Nowowiejskiego w rodzinnym Wartemborku, 3.06.1920 r. Doszło przy tej okazji do „próby sił” w śpiewie zbiorowym: Niemcy witali kompozytora pieśnią „Deutschland, Deutschland uber alles”, ludność przychylna sprawie polskiej podjęła strofę „Roty” – „*Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród*”, co kompozytor poparł akompaniamentem na fortepianie. Autor „Roty” postanowił zdyskontować popularność i zaufanie, jakim darzyli go Warmiacy. Własnym nakładem wydał pocztówkę z tekstem i melodią pieśni, cały dochód przeznaczając na rzecz polskich komitetów plebiscytowych.

Święto powrotu Działdowszczyzny do Macierzy (17.01.1920 r.) wypadło akurat w momencie, gdy grupa 22 uczestników kursu nauczycielskiego zorganizowanego w Działdowie zbliżała się ku egzaminom.

Wieczór 17.01.1921 r. poświęcono więc wspomnieniom, wzbogaciwszy je referatem o odrodzonej Polsce i skromnym programem artystycznym. „*Śluchaliśmy wszyscy z całą powagą ołów referatu i deklamacji (wierszy o Polsce), a potem nagle wszyscy powstałi i zaintonowali: «Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy...»*”

O tym, jak powszechnie była już wtedy znana „Rota”, świadczy epilog opisywanej przez Małką uroczystości, bynajmniej nie najmilszy dla pamiętnikarza. Autor wraz z jeszcze kilku nauczycielami nie mógł wtórować śpiewającym. Pisze o tym otwarcie, dając zarazem „dowód nie wprost” popularności pieśni:

„*Pełną piersią śpiewali ci wszyscy, którzy pochodzili spoza Działdowszczyzny, ale my – ludzie z tej właśnie*

ziemi – nie znaleźliśmy ani tekstu, ani melodii. Nikt nas nie nauczył, więc staliśmy milcząc – i odczuwając okropne zawstydylenie. Nie wiedzieliśmy, co czynić, czując na sobie gniewne spojrzenia kolegów i inspektora.”

7. W dniach 16-17.08.1919 r. doszło do walki zbrojnej w powiatach rybnickim, pszczyńskim oraz częściowo w okręgu przemysłowym przeciwko postanowieniu traktatu wersalskiego dotyczącemu rozpisania plebiscytu na Górnym Śląsku. Konflikt ten jest powszechnie znany jako pierwsze powstanie śląskie.

Wyłoniona Komisja Międzysojusznicza nie rokowała pomyślnego i sprawiedliwego rozstrzygnięcia sprawy przynależności Śląska, czego wyrazem był wybuch drugiego powstania zbrojnego (19-25.08.1920 r.), połączonego – jak i poprzednie – z akcją strajkową proletariatu.

Trzecia i ostatnia faza walki powstańczej (2/3.05.-5.08.1921 r.) stanowiła protest przeciwko rezultatom plebiscytu, przewidującym utrzymanie prawie całego Górnego Śląska w rękach niemieckich. Krew i poświęcenie powstańców nie były daremne: decyzje podziałowe Rady Ambasadorów zmieniono, odstępując od rążących dosłownych efektów plebiscytu.

Pieśń powstańcza na Śląsku wywodziła się z bogatych tradycji śpiewaczych tego regionu. Jak wszystko, co polskie, także ładunek patriotyczny wierszy i pieśni śląskich był solą w oku zaborców. Do indeksu utworów zakazanych Izba Karna Sądu Królewskiego wpisała w grudniu 1910 r. pieśń Franciszka Wilczka „Ja, Ślązak” (*Ja, Ślązak, Tyś Ślązak, Obaj Ślązacy; Ślązacy od wieków też są Polacy...*), jednocześnie cofając prawo debitu popularnemu „Śpiewnikowi polskiemu” J. Gallusa.

Śląsk walczący o powrót do Macierzy uznał „Rotę” za swoją już u zarania zmagania powstańczych w 1919 r. Powodzenie tej pieśni – jak ongi powodzenie „Mazurka Dąbrowskiego” – pójdzie dwoma torami. Nic nie tracąc ze swej uniwersalnej prawdy, przemawiającej do Ślązaków słowami Marii Konopnickiej, „Rota” ożyje również w nowych wcieleniach słownych dostosowanych do okoliczności.

*Haniebny wrogu, wara ci
Od Górnos Śląskiej Ziemi!
Te nasze grody, nasze wsi
Od wieków są polskimi.
Precz stąd, tyrani, precz nam z dróg
– Tak nam dopomóż Bóg!*

*Nie będzie Prusak truć nam dusz,
Z rąk mu wytrąćmy berło.*

*Tys, Górny Śląsku, wolny już,
Korony Polskiej perło!
Obwarujemy polski próg
– Tak nam dopomóż Bóg!*

(Jan Nepomucen Jaroń: „Rota Górnośląska”)

W śląskim cyklu nowych tekstów pieśni Konopnickiej i Nowowiejskiego wymienimy jeszcze „Hymn Powstańców” Emanuela Imieli, „Rotę Ślązaków” Piotra Rysiewicza oraz – jako przejaw solidarności z zewnątrz – „Rotę Górnośląską” legionisty Józefa Relidzińskiego.

Wyjawszy zaskakujący przykład wzorowania się pieśniarstwa powstańczego 1919 – 1921 na francuskiej „Marsyliance” (naśladownictwem takim są m.in. „Silezjanka” Augustyna Świdra i pieśń pobudka Olgi Zarzyckiej „Do broni”), wszystkie pozostałe związki pieśni śląskich ze śpiewnikiem ogólnopolskim, ludowym i artystycznym, stanowią jeszcze jeden dowód siły ciążenia ku Polsce. „*Szliśmy do Ciebie, Polsko, poprzez wieki cale...*” – tymi oto słowami podsumuje ten proces apostrofa poetycka (Janiny Zabierzewskiej „*Szliśmy do Ciebie, Polsko*”).

8. Z potrójnej dedykacji autorskiej – Ludowi Śląskiemu, Wielkopolsce i Polonii Amerykańskiej – wynikało również szczególne przywiązanie pokoleń emigrantów polskich do „Roty”. Informacje na ten temat są niestety fragmentaryczne, a ogólna ocena – zaledwie intuicyjna. Badaniami nad funkcjonowaniem społecznym „Roty” w środowiskach polonijnych należałoby objąć tamtejszą prasę oraz wszelkiego rodzaju jednodniówki i druki ulotne stanowiące odzwierciedlenie przebiegu życia kulturalnego. Osobną poszlaką dla badań nad pokłosem hymnu Konopnickiej i Nowowiejskiego jest bezkompromisowa, oskarżycielska w tonie odpowiedź na zew „*Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród*”, odpowiedź, jakiej w imieniu współbraci emigrantów udzielił poeta polsko-amerykański Seweryn Skulski.

*Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...
A jednak my rzucili...
W łądach pośród dalekich wód
Myśmy się rozprószyli.*

*Do krwi ostatniej kropki z żył
My mieli bronić ducha.
Obcy przysiadła nam go pył,
Drze nam go zawierucha...*

[...]

*Pieśń polską mieli kochać z sił –
Świetlany jej brzask złoty.
Brzęk się dolara w duszę wrył,
Zabija cne poloty.*

[...]

(S. Skulski: „Nasze przysięgi”, strofy 1-2 i 7)

9. „Rota” była orężem w walce. Niejeden epizod ostatniej wojny potwierdził wyjątkową rangę pieśni Konopnickiej i Nowowiejskiego.

Monografię społecznego obiegu pieśni patriotycznej lat 1939 – 1945 przyniesie bliżej nieokreślona przyszłość. Nie mając takich ambicji ani takich możliwości, dokonamy wyboru jedynie kilku sytuacji, symptomatycznych dla zastosowań „Roty”.

Nie może wśród nich zabraknąć pewnego szczególnego świadectwa – świadectwa obecności „Roty” w najmłodszych sercach polskich i zarazem świadectwa zbrodni wyjątkowo perfidnej.

Oddajmy głos naocznemu świadkowi, pocie-żołnierzowi, więźniowi stalagu Stefanowi Mierzejewskiemu:

„Luckenwalde, miasteczko położone na linii kolejowej Berlin-Lipsk, z dwu przyczyn znane było wielu tysiącom polskich szarych ludzi.

Po pierwsze, w Luckenwalde zlokalizowany był obóz jeńców, a po drugie – w miasteczku tym odbywały parodniową kwarantannę setki polskich dzieci, wyrwanych z własnej ojczyzny do Niemiec w celu germanizacji. Szczęście – dziesięcioletnie młodości o delikatnych rysach twarzy, najczęściej przemocą wydzierane z rąk przerażonych rodziców lub opiekunów, przywożone były do Luckenwalde, by stąd, po odbyciu przepisowej dezynfekcji, mogły być następnie odtransportowane w głąb Rzeszy.

I doprawdy, patrząc na tę jakże smutną i tragiczną maskaradę, nie wiadomo było, co właściwie podziwiać: czy barbarzyństwo hitlerowskich szakali – czy te młodości o duchu jak ognia słup, śpiewające w pogodnym nastroju różne patriotyczne piosenki, nie wyłączając nawet przejmującej «Roty»? Czy też wreszcie tych żołdackich augustów konwojujących dzieci pod karabinem do łaźni?”

Przejmująca musiała być cisza po wyśpiewaniu ostatnich taktów pieśni, kiedy milkły dziecięce głosy, a dorośli obserwatorzy tej sceny – jeńcy stalagowi – odczuwali dojmującą bezsilność, spotęgowaną do ostatnich granic wytrzymałości ludzkiej.

„Rota” pozostała też nadal pieśnią walki. Upowszechniano jej słowa w drukach konspiracyjnych, na-

dawano jej melodię przez głośniki w okupowanych miastach Generalnej Guberni.

„*Tu stacja megafonowa Kierownictwa Walki Cywilnej! Nadajemy audycję specjalną z okazji święta narodowego 3 Maja!*» Nad Żoliborzem zadzwoniła «Rota»:

*Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród,
Nie damy pogrześć mowy...*

[...] «– Polacy! [...] Moment wyzwolenia, moment wolności, wielkości i siły Polski jest już niedaleki!»

Ludzie słuchają tych słów wzruszeni, z rozjaśnionymi twarzami, a potem cały plac jednym wielkim głosem rozbrzmiewa słowami «Roty»:

*Twierdzą nam będzie każdy próg...
– Tak nam dopomóż Bóg!*»

Gdy na warszawskim placu Wilsona (dziś .Komuny Paryskiej) 3 maj 1943 r., z inspiracji żołnierzy i techników tzw. małego sabotażu podłączających się sprytnie do sieci „szczekaczek” hitlerowskich, rozległ się spontaniczny śpiew „Roty”, w getcie stołecznym od 19 kwietnia trwało już powstanie. Londyn tegoż dnia 3 maja ogłosił komunikat o stanie liczebnym Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii: 100 000 żołnierzy, 12 000 lotników, 3 000 marynarzy. Dokładnie po pięciu dniach – 8 maja – oświadczono w Moskwie, iż rząd radziecki i Rada Najwyższa akceptują sformowanie na terytorium ZSRR dywizji polskiej, przyszłej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

„Kompanie powracały z zajęć około godziny drugiej. Nadciągały ze śpiewem ze wszystkich stron, z placów ćwiczeń i z pobliskich lasów. Płynęły rozmaite melodie, zlewając się w jeden potężny chór... [...]

Pracowity żołnierski dzień kończył się wieczornym apelem i odśpiewaniem «Nie rzucim ziemi...». Słowa «Polski my naród, polski lud» brzmiały z każdym dniem mocniej i bardziej uroczyście, a refren «Tak nam dopomóż Bóg!» był jakby ponawianiem przysięgi wobec ojczyzny.»

Świadectwo Jana Pokrzywy nie było odosobnione. Można stwierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że każdy tom wspomnień znad Oki umacnia czytelników w przekonaniu o słuszności wyboru „Roty” na hymn I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.

Czyja była to sugestia? Zapewne wywodziła się z kręgu czołowych działaczy Związku Patriotów Polskich, których troską stało się ja najskuteczniejsze oddziaływanie propagandowe na żołnierzy wchodzących w skład armii kościuszkowskiej. Pamiętajmy, że przekrój socjologiczny ochotników napływających do Sielc, Wakini,

Biełoomutu i innych miejscowości, będących punktami zbórnymi, wykazywał duże zróżnicowanie. Trzeba więc było znaleźć pieśń-pośredniczkę, która zjednoczyłaby kresowiaków i rdzennych Koroniarzy, byłych powstańców śląskich i byłych żołnierzy Wehrmachtu wcielonych pod przymusem do armii niemieckiej.

Ten warunek spełniała „Rota”. Na pieśń tę wszyscy oni reagowali jednakowo.

Sięgnijmy dla przykładu po wypowiedź żołnierza-Ślązaka:

„O świecie, zaraz po pobudce, wszystkie pododdziały stawały przed swoimi namiotami do apelu, w którego czasie śpiewaliśmy zawsze «Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród...» Był to dla nas niezwykle wzruszający moment. Następnie, po skromnym śniadaniu, maszerowaliśmy z polską piosenką na pobliskie leśne polany na zajęcia.»

10. Autografy „Roty” istnieją do dzisiaj i należą do cenniejszych pamiątek Biblioteki Miejskiej w Bydgoszczy.

Jako pierwszy trafił tam po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. manuskrypt Marii Konopnickiej – ten amerykański – zakupiony bezpośrednio od redaktora „Gazety Polskiej” w Chicago, Jerzego Watry-Przewłockiego. Później wpłynął jako dar autograf melodii Feliksa Nowowiejskiego. Losy tekstu najwcześniejszego, skierowanego przez poetkę w 1908 r. do cieszyńiaków, na ręce księdza Londzina, dotychczas nie są znane. Wiadomo tylko, że spadkobierca archiwaliów ks. Londzina, ksiądz Rudolf Tomanek, prezes Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego „Dziedzictwo”, zginął w Dachau, w obozie koncentracyjnym.

Przetrawanie obu rękopisów bydgoskich zakrawa na paradoks. Rekomendowane przez prasę hitlerowską („Deutsche Lundschau”, 1940 r.) jako „*polskie paszkwile i pisma podburzające przeciwko Niemcom*”, uczestniczyły w specjalnej, prowokacyjnej wystawie w Gdańsku i Berlinie. Z takiego właśnie tytułu zobowiązano niemieckich „opiekunów” Biblioteki Miejskiej w Bydgoszczy do szczególnego nadzoru nad obu autografami „Roty”.

Pod koniec działań wojennych skarby bydgoskie – w tym także „Rotę” – przeznaczono do wywiezienia w głąb Rzeszy. Daremnie. Szybkość ofensywy wojsk radzieckich i polskich uniemożliwiła zrealizowanie złodziejskiego zamiaru.

Była to jeszcze jedna wygrana, jeszcze jedno symboliczne zwycięstwo „Roty”. Pieśń uszła cało.

Wojciech Jerzy PODGÓRSKI

Włodzimierz Bartoszewicz

TAMTEN DAWNY KIJÓW (cz. I)

Wstęp do wspomnień W. Bartoszewicza

Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej, która w Polsce działała od 1922 r., ogłosiła w 1962 r. konkurs literacki na utwory związane z Kijowem. Wpłynęły 73 prace. Sąd konkursowy pod przewodnictwem wybitnego pisarza Jarosława Iwaszkiewicza (mieszkał w Kijowie do 1918 r.) nagrodił 6 autorów i wyróżnił 7 prac. 20 maja 1962 r. w sali Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Warszawie odbyło się uroczyste wręczenie nagród laureatom konkursu, połączone z czytaniem fragmentów nagrodzonych prac. Zebrani na uroczystości autorzy postanowili społecznie udostępnić swoje utwory czytelnikom poprzez wydanie ich w postaci broszury okolicznościowej. Po wielu latach w 1987 r. Sekcja, korzystając ze wsparcia Naczelnej Organizacji Technicznej, wydała tomik zawierający nagrodzone i wyróżnione utwory.

Autorzy wspomnień byli świadkami życia w Kijowie w okresie caratu, tu ucząc się lub pracując pielegnowali polskie tradycje kulturalne, czyniąc to niekiedy wbrew przepisom carskiej Rosji, co narażało ich na prześladowania. Na kartach wspomnień, zwłaszcza najstarszych, widać wspólnotę dziejów naszych słowiańskich narodów, wspólnotę ich losów, przenikanie kultur narodowych. Współpraca z przedstawicielami innych narodów, wspólna walka z caratem nie przeszkadzały w dbałości o własną kulturę, w studiowaniu dzieł polskich pisarzy. Większość autorów kończy swoje wspomnienia rokiem 1918. Powstanie niepodległej Polski bowiem otworzyło możliwości wyjazdu do Ojczyzny, z czego skorzystało wielu kijowskich Polaków.

Redakcja „Krynica” i kierownictwo Sekcji Wychowanków Politechniki Kijowskiej wspólnie postanowiły udostępnić Czytelnikom niektóre z utworów nagrodzonych w konkursie sprzed połowy wieku. Zaczynamy dziś

wspomnieniami Włodzimierza Bartoszewicza, który w konkursie uzyskał pierwszą nagrodę. Autor zilustrował tekst swoimi żartobliwymi rysunkami, przedstawiającymi postacie i zdarzenia ze starego Kijowa.

Ojciec autora był znanym polskim działaczem. Joachim Bartoszewicz po przyjeździe do Kijowa w 1906 r. został wybrany prezesem kijowskiej grupy Ligi Narodowej i objął funkcję prezesa Patronatu Polonii (polskiej organizacji studenckiej obozu narodowego). Patronat stanowiły starsze osoby, wspierające, także finansowo, studencką organizację. Został redaktorem „Dziennika Kijowskiego” (po Witoldzie Lewickim) i kierował redakcją 8 lat. W 1914 r. działał w oddziale Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. W 1917 r. przewodniczył Polskiemu Komitetowi Wykonawczemu Zgromadzenia Organizacji Polskich (na Rusi). Jego syn Włodzimierz Bartoszewicz był w czasie I wojny światowej członkiem polskiej tajnej organizacji uczniowskiej. Jako harcerz w 1918 r. pomagał ukrywającemu się w Kijowie brygadierowi Józefowi Hallerowi po rozbiciu jego brygady przez Niemców w bitwie pod Kaniowem w maju 1918 r. Dzięki pomocy harcerzy J. Haller pod zmienionym nazwiskiem wyjechał z miasta do rosyjskiego portu w Murmańsku. Opisał to wszystko Stanisław Grzymałowski, pierwszy powojenny przewodniczący Sekcji, w pracy historycznej „*Polska młodzież akademicka w Kijowie 1834 – 1918*”.

Autor zamieszczonych niżej wspomnień nie odniósł się ani do działalności politycznej ojca, ani do swojej. Postanowił raczej przybliżyć czytelnikowi tamten dawny Kijów, z jego sympatycznymi ludźmi i historycznymi budowlami.

Niech ta lektura spowoduje, Czytelniku, że otaczające Cię mury kamienic i starych budowli Kijowa ożyją wspomnieniami sprzed stu lat.

Janusz FUKSA

Niewiele już jest chyba w Polsce ludzi, pamiętających tamten dawny Kijów sprzed pierwszej wojny światowej. Pomimo wielu lat, które upłynęły od chwili, kiedy to paradowałem po ulicach Kijowa w gimnazjalnym mundurze, wiele obrazów z tamtych lat widzę jeszcze dokładnie i ze zdziwieniem spostrzegam, że coraz mniej jest wokół

mnie osób, z którymi mógłbym podzielić się moimi wspomnieniami.

W 1906 r. rodzice moi postanowili osiedlić się na stałe w Kijowie. Pewnego lutowego pochmurnego ranka wylądowałem wraz z matką na dworcu kijowskim. Brodaty „nosilszczik” załadował walizki do parokonnej dorożki i ruszyliśmy w stronę naszego nowego

mieszkania na ulicę Instytucką. Nieogumione koła dryndy rozgłośnie klekotały po haniebnym bruku. „Izwozczik” zatrzymał konie przed niewielkim, pomalowanym na żółty kolor i krytym zieloną blachą domem. W progu oczekiwał nas mój ojciec.

Mieszkanie nie uzyskało aprobaty matki. Było obszerne, ale niewygodne i pozbawione komfortu. Łazienkę zastępowała blaszana wanna, ustawiona ni w pięć ni w dziewięć w ciemnej kuchni. Trzeba było jednak rozgościć się do czasu, gdy trafi się inne dogodniejsze mieszkanie.

Na pierwszym piętrze, pod nami, mieszkała dama o dziwacznym, nasuwającym jakieś zoologiczne skojarzenia nazwisku Obiezanowa. Mały drewniany ganeczek, o balustradach wycinanych w esy-floresy, ocieńiał parę schodków, prowadzących do drzwi wejściowych. Wieczorami na schodkach tych siadywał „dwornik” i przygrywał tęsknie na bałajce, nie przestając ani na chwilę zaśmieczać trotuaru słonecznikowymi pestkami, wypluwanymi z nieprawdopodobną maestrią.

Codziennie około południa mijał nasz dom pojazd gubernatora. Rozłożysty, błyszczący świeżym lakierem faeton zaprzężony był w trójkę tłustych karogniadych koni o bardzo długich grzywach i ogonach. Środkowy koń szedł wyciągniętym kłusem pod pomalowaną na czerwono „dugą”. Dwa boczne, tzw. „pristiznyje”, galopowały bezładnie, trzymając głowy przepisowo zwró-

cone na zewnątrz. Wydawało się, że każdy koń ciągnie gubernatora w inną stronę i było wręcz zdumiewające, dlaczego w tych warunkach rozpędzony pojazd w ogóle posuwa się naprzód. Na koźle siedział furman, ubrany w czarny aksamitny kaftan, suto marszczony po bokach i przepasany kolorową krajką. Z kaftana wystawały jaszkrawo pomarańczowe, sztywno wyciągnięte przed siebie, jedwabne rękawy. Na obficie wysmarowanej sadłem głowie sterczała mała, okrągła czapeczka, umajona dookoła pawimi piórami. Ta groteskowa postać tak pochłaniała moją uwagę, że zwykle zapominałem przypatrzeć się rozpartemu na poduszkach powozu gubernatorowi.

Niebawem przenieśliśmy się do innego mieszkania na ulicę Funduklejewską 44. Mieściło się ono w jednopiętrowym domku, położonym w głębi podwórza. Mieszkanie było bardzo obszerne, o dużych widnych pokojach, korytarzach i zakamarkach, rozplanowane z rozrzutnym rozmachem. Odwrotną stroną medalu były roje karaluchów i prusaków, beztrudno spacerujących po ścianach i podłogach. Gdy matka moja wyraziła zdziwienie, jak można było dotychczas mieszkać w tych warunkach, odpowiedziano jej, że owady te przynoszą domowi szczęście i że tępienie ich byłoby lekkomyślnością. Ale matka była innego zdania. Ryzykując utratę szczęścia domowego wydała bezlitosną walkę insektom. Przez dłuższy czas cały dom pachniał karbolem, terpentyną i innymi ingrediencjami, dopóki



ostatni prusak nie wyciągnął nóg i nie został wymieciony na śmietnik. Domek nasz, zasłonięty od ulicy wysoką kamienicą, przylegał do sporego ogrodu. Na wiosnę ogród ten przybierał białoróżowe barwy, a woń kwitnących jabłoni wlewała się przez otwarte okna do naszych pokoi. Wieczorami, gdy siedzieliśmy na balkonie, roje chrabąszczy przelatywały z brzękiem nad naszymi głowami.

Pod nami, na parterze, mieszkało podstarzałe małżeństwo. Starszy pan z rzadka tylko ukazywał się narodowi. W oknie siadywała zwykle pani. Była to niemłoda już, ale zdradzająca minione czasy piękności brunetka o bujnych kształtach, prawie zawsze opiętych w kolorowy szlafrok. Z okna opuszczona była do ogrodu, niby zwodzony most, długa, uginająca się deska, po której co chwila zbiegały z miękkiem tupotem krótkich łapek dwa jamniki.

W tym to mieszkaniu zaczęto przygotowywać mój umysł do czekających mnie zadań życiowych. Pod kierunkiem pani Marii Foltąńskiej, starzejącej się rudej panny o rubensowskich kształtach, stawiałem pierwsze kroki po stromej ścieżce wiedzy, która z czasem doprowadzić mnie miała do wrót szkoły, a potem do gimnazjum. Panna Maria miała złote serce i bardzo brzydki charakter pisma, a pamiętam też, że używała tanich, bardzo złych perfum, których zapach snuł się po pokoju długo po zakończeniu lekcji.

Zaczynałem powoli oswajać się z Kijowem, z jego na poły europejskim, na poły azjatyckim charakterem. Poznałem oczywiście dopiero później różne zalety i wady tego rozległego, pięknego miasta. Na razie prowadzano mnie jeszcze za rękę po ulicach, nie zawsze tam, dokąd bym pragnął, a pozwalano swobodnie poruszać się tylko w obrębie rozległego naszego podwórza i ogrodu. Ale i tam udało mi się zawrzeć interesujące znajomości. Okazało się, że we frontowej kamienicy mieszkali pochodzący z Warszawy państwo Szostkiewiczowie, którzy mieli syna Tadeusza i córkę Zosię. Zosia przychodziła do naszego ogródka ze swą boną, fertyczną Niemeczką. Zawarcie znajomości nie nastręczyło większych trudności i odtąd spotykaliśmy się niemal codziennie.

Z czasem przyłączył się do nas mieszkający nieopodal Zygmunt Knothe i zabawy nasze stały się bardziej urozmaicone. Zygmunt nie wiedział jeszcze wtedy, że zostanie kiedyś historykiem sztuki i konserwatorem w Gdańsku, i nosił zamiast łysiny krótko przystrzyżone bardzo czarne włosy. Był bardzo nerwowy, dowcipny, chodził drobnym, szybkim kroczeniem i umiał bardzo prędko biegać po alejach ogródka. Czas upływał nam tym milej,

że fertyczna Niemeczką pozostawiała nas w spokoju, całkowicie pochłonięta rozmową z o wiele starszym od nas Tadeuszem, pożerającym ją łakomym wzrokiem.

Przyszła wreszcie czas, gdy zaprowadzono mnie do szkoły. Szkoła była polska. Dyrektorką była znana w Kijowie pani Zofia Żukiewiczowa. Jej wygląd i zachowanie dokładnie odpowiadały doskonałemu wcieleniu cnót społecznych i towarzyskich. Wysoka, bardzo przystojna, zawsze nieskazitelnie i elegancko ubrana, mówiąca powoli i autorytatywnie, łączyła w sobie majestat królowej Jadwigi z temperamentem idealnej przełożonej pensji. Szkołę prowadziła w swoim mieszkaniu. W dwóch pokojach, zamienionych na klasy, kilkoro chłopców i dziewcząt wkuwało gramatykę, język rosyjski, arytmetykę i geografę. Podczas wielkiej pauzy przechodziliśmy do jadalnego pokoju, gdzie pod czujnym okiem matki pani Żukiewiczowej, żwawej, ale dość zrzędlivej staruszki, trzeba było grzecznie zjeść wszystko, co starsza pani do jedzenia przygotowała.

W wyprowadzeniu nas na ludzi dopomagały pani Żukiewiczowej dwie nauczycielki. O ile panna Matkowska należała do tych na pozór srogich, wybuchowych nauczycielek, nie szczędzących co tępszym uczniom gorzkich słów i zjadliwych epitetów, o tyle jej koleżanka, chuda brunetka o oliwkowej cerze i wielkich czarnych oczach, umiała tylko łagodnie do nas przemawiać.

Tak przeszły dwa lata. Kijów tonął w świeżej, jaskrawej zieleni drzew. Brzydkie żółte fasady domów błyszcząły w jaskrawym słońcu, jakby obmyte z zimowego brudu. Stoki Carskiego Ogrodu pokryły się burym puchem młodych listków. W dole u stóp Włodzimierskiej Górki szumił niebieski, szeroko rozlany Dniepr. Z wody sterczały żałośnie dachy zatopionej Słobódki i Truchanow-Ostrowa. Daleko, jak okiem sięgnąć, niby morze, niebieszczała woda. Błyszczały oślepiająco w słońcu kopuły Pieczerskiej Ławry i Sofijowskiego Soboru, strzelały w niebo smukłe, przez Rastrellego budowane, wieżycy Andrejewskiej Cerkwi.

Po bruku obmytym wiosennym deszczem przeraźliwie stukwały żelazne obręcze kół. „Izwoczycy” pocili się w swych watowanych tułubach. Pot spływał spod śmiesznych, karykaturalnych cylinderek. Na schodkach, przed balustradkami drewnianych wycinanych w desenie ganczków, siedzieli brodaci „dwornicy”. Od czasu do czasu cienko zawodziła bałajka lub słyszał było przeciągły, tęskny śpiew. Na ulicach pojawili się sprzedawcy lodów w białych fartuchach i wołali przeciągle: „*saachar moroożenij...*” Po podwórzach domów wystawiali handlarze

starzyzną, Tatarzy, wołając gardłowym głosem: „*Uisz, stary uisz, pakpaj...*” (wieszci, staryje wieszci, pokupaju). Na placu przed operą nudził się stójkowy. Na głowie miał już letnią czapkę z białym denkiem.

Była wiosna. Wraz z paroma kolegami wkuwaliśmy, przygotowując się do egzaminu.

Pani Matkowska po raz ostatni usiłowała wbić nam do głowy skomplikowane zasady arytmetyki. Po raz nie wiem który gorzko wymawiała lenistwo i z rozmachem podkreślała czerwonym ołówkiem wołające o pomstę do nieba błędy w rosyjskim dyktandzie. W obliczu bliskiego niebezpieczeństwa czuliśmy ogrom winy. Dusza coraz wyraźniej sadowiła się na ramieniu.

Pierwsze wrażenie, jakie odebrałem, wkraczając w mury prywatnego gimnazjum Włodzimierza Pawłowicza Naumenki, nie było zachęcające. Gimnazjum mieściło się w starej czynszowej kamienicy przy ulicy Podwalnej 25. Klatka schodowa, dość porządna, ale ciemnawa, ze szklanym dachem oświetlającym kamienne schody, prowadziła do klas, przerobionych z pomieszczeń mieszkalnych. Na każdym piętrze mieściły się spora sala rekreacyjna i pokoje nauczycielskie. Na pierwszym piętrze, otoczony nimbem nieznaney mi wówczas jeszcze grozy, był gabinet inspektora Pawła Aleksandrowicza Dołguszyna.

Wprowadzono mnie do korytarza. Za zamkniętymi drzwiami odbywał się egzamin. Wraz z paroma, równie

jak ja przepłoszonymi aspirantami do tytułu ucznia pierwszej klasy gimnazjalnej, oczekiwałem swej kolejki. Od razu na wstępie uderzył mnie widok, zdolny odebrać najśmielszemu kandydatowi na gimnazystę resztki odwagi. Zobaczyłem tłustawego chłopaka, ryczącego wniebogłosy i zalanego łzami. Matka próbowała go pocieszać i coś do niego mówiła, ale każde jej słowo wywoływało jeszcze żałośniejsze jęki i chlipania. Z dyskretnej odległości grupka chłopców ze zgrozą przyglądała się scenie. Ktoś szepnął tajemniczo: „*Zrył z geografii. To Bylina*”.

Spotkałem go po kilku dniach w klasie. Kolegowałem się potem aż do matury. Ów niefortunny, płaczliwy geograf okazał się z czasem bohaterskim, wielokrotnie za odwagę odznaczanym oficerem. „*Tempora mutantur et nos mutamur in illis*” (Czasy się zmieniają i my zmieniamy się z nimi – przyp. JF).

Z bolesnego osłupienia wyrwało mnie wezwanie na egzamin. Nie pamiętam już jak go zdałem. Faktem jest, że zostałem uczniem pierwszej klasy gimnazjalnej. Ku memu zmartwieniu kupno munduru odłożono do powrotu z wakacji. Udało mi się tylko wytargować nabyć granatowej czapki z blade niebieskimi wypustkami. Nad ceratowym daszkiem olśniewająco błyszcząły złote palmy, okalające srebrne litery „*CZ.N.G*” (Czastnaja Naumenki Gimnazja). W tej urzędowej czapce, ale w cywilnym jeszcze ubraniu, wyjechałem nazajutrz z rodzicami na wakacje.



Gimnazjum Naumenki należało do szykownych i najdroższych zakładów naukowych w Kijowie. Było to gimnazjum prywatne „z prawami”. Uczęszczali doń synowie zamożniejszych rodzin rosyjskich, trochę bogatych Żydów i spora grupa Polaków. Gimnazjum było liberalne i na owe czasy bardzo postępowe. Szkoła stała na wysokim poziomie naukowym, a dobór uczniów zapewniał też wyższy poziom moralny i towarzyski.

„Naumenczaki” nosili się górnie, z wyższością spoglądając na sztubaków z „kazionnych” gimnazjów, odzianych w czarne „rubaszki”, przepasane skórzanym paskiem z klamrą, podczas gdy my mieliśmy kurtki granatowe szyte austriackim krojem i jaśniejsze niebieskie spodnie. „Kazionni” gimnaziści wymyślali nam od „paniczyków” i „maminsynków”. Znosiliśmy to z pogardliwą pobłażliwością, ponieważ i tak było wiadomo, że nie kto inny, tylko my mieliśmy największe fory wśród uczennic polskiego gimnazjum żeńskiego pani Peretiatkowiczowej, tzw. „peretiatek”. A to w gruncie rzeczy było najważniejsze.

Po powrocie z wakacji otrzymałem upragniony mundur i po raz pierwszy zetknąłem się z nieznanym mi dotychczas światem rosyjskich belfrów i kolegów. Na każdym kroku napotykałem niespodzianki. Od razu na wstępie popełniłem towarzyską gafę. Jako dobrze ułożony młodzieniec, napotkawszy w sali rekreacyjnej nauczycielkę rosyjskiego Nadieżdę Pietrownę, gdy ta coś do mnie przemówiła, szurnąłem nogą i pocałowałem ją z galanterią w rękę. Ku memu zdziwieniu moja szarmanteria wywołała widoczne zakłopotanie u Nadieżdy Pietrowny. Marszcząc i tak już pomarszczone, puciołowate oblicze i przymrużając małe skośne oczka uśmiechnęła się i powiedziała: *„Nie trzeba, nie trzeba całować w rękę. Ot tak: ukłonić się i wystarczy”*.

Dyrektorem szkoły był bardzo kulturalny starszy pan Włodzimierz Pawłowicz Naumenko. Wytrawny, światły pedagog, wyrozumiały, choć surowy wychowawca młodzieży, cieszył się ogólnym szacunkiem i dużym autorytetem. Umiał w sposób taktowny rządzić szkołą, traktując jednakowo obiektywnie i sprawiedliwie zarówno Rosjan, jak Polaków i Żydów. Umiał też dobrać nauczycieli. Na ogół byli to ludzie inteligentni i kulturalni, znający swój fach i umiejący zainteresować uczniów tematem, który wykładali.

Może największym autorytetem moralnym cieszył się nauczyciel łaciny, Polak, pan Stanisław Trapszo. Pana Stanisława Trapszo my, Polacy, uważaliśmy trochę za swego duchowego przywódcę i opiekuna. Wiedzieliśmy, że jest członkiem wielu polskich organizacji i stowarzy-

szeń. Wiedzieliśmy, że należy do Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego. Spotykaliśmy go nieraz na wieczornych ćwiczeniach gimnastycznych, ubranego, tak jak my, w sokolską białą koszulkę z czerwonymi wypustkami i w granatowe trykotowe spodnie. Mówiło się do niego wtedy: *„Druhu”*. Wspólnie wykonywaliśmy na komendę druha Radomskiego różne ewolucje, przysiady, ćwiczenia na drążku i zwroty. Druh Stanisław Trapszo, ubrany w sokolską koszulkę, wydawał się nam jakiś bliski, zwłaszcza gdy uśmiechał się przyjaźnie zza binokli. I trudno nam było wyobrazić sobie, że zjawi się nazajutrz w klasie z groźną zmarszczką na czole i wciśniętą w wykrochmalony kołnierzyk hiszpanką i że zamiast białej koszulki z czerwonymi wypustkami będzie miał na sobie długi granatowy surdut ze złotymi guzikami, a my, zapytani przezeń, czy nauczyliśmy się zadanej lekcji, odpowiemy: *„Da, my wyuczyli, Stanisław Bolesławowicz”*. Zawsze nienagannie ubrany, z gładko przyczesaną siwiejącą czupryną, podkreślonym starannie wąsem i hiszpanką, spoglądał surowo zza binokli, nękając deklinacjami i tłumaczeniem Cezara. Nie było z nim żartów. Dla nas, Polaków, był specjalnie wymagający. Gdy któryś z nas coś przeskrobał, Trapszo umiał ni stąd, ni zowąd wtrącić takie zdanie, które tylko dla nas było zrozumiałe i niby batem podcinało naszą ambicję. *„Nie spodziewałem się tego po was, myślałem, że inaczej rozumiecie swoje obowiązki.”*

Nauczycielem języka francuskiego był wysoki i chudy jak szczapa Maurice Maillard. Wymagający, logiczny, nie pozbawiony poczucia humoru umiał, jak nikt inny, utrzymać w ryzach klasę i zainteresować wykładem. Jemu to zawdzięczam znajomość literatury francuskiej. Rzutki i pomysły, przeprowadził wystawienie na scenie gimnazjalnej sztuki *„Cyrano de Bergerac”*, odegranej po francusku przez uczniów najstarszych klas z dużym powodzeniem. W ostatnim roku moich studiów, z inicjatywy Maurice Maillarda, klasa nasza odegrała jednoaktówkę Anatola France’a *„L’homme qui épouse une femme muette”* (Człowiek, którego żona była niemą kobietą – *przyp. JF*). Grałem w tej sztuce rolę tytułową. Kostiumy wypożyczono z teatru Sołowcowa, a scenę udekorowano pięknymi meblami-antykami, wypożyczonymi z mieszkania ojca mego kolegi i przyjaciela, mecenasa Stanisława Żeromskiego. Sztuka wystawiona została niezwykle starannie, a francuski tekst w wykonaniu uczniów był bezbłędny.

Nie mógł popisać się takimi osiągnięciami niefortunny kolega Maurice Maillarda – nauczyciel języka niemieckiego Karl Pietrowicz Rudin. Dzielił on trady-

cyjny, a oplakany los wszystkich bodaj wykładowców języka niemieckiego w szkołach rosyjskich. Klasa w czasie jego wykładów szalała. Zajmowano się wszystkim, tylko nie językiem Schillera i Göthego. Co praktyczniejsi uczniowie odrabiali lekcje „na jutro”. Bardziej lekkomyślni grali w „piórka”, czytali powieści lub rozmawiali. Nieszczęsny Rudin krążył bezradnie wśród ławek w nadziei, że przecież może znajdzie u kogoś otwartą na właściwej stronie „*Marię Stuart*” Schillera. Ale książki nikt nie miał. „*Unglaublich* – wołał zrozpaczony Karłusz – *kein einziges Buch*”. (Niewiarygodne, ani jednej książki – przyp. JF).

Jeszcze gorszy bałagan panował na lekcji fizyki. Wśród nieopisanego zamętu, wrzasków i bójek wkraczał do klasy fizyk Aleksander Iwanowicz. Pod pachą niósł wielki „*Dziennik klasowy*”. Wcisnąwszy kciuki w kołnierzyk, wytrzeszczał błędne oczy. Mały kartoflowaty noszek błyszczał opalizującą czerwienią. Zatrzymywał się przed katedrą i długą chwilę stał milczący i nieruchomy. Dookoła kłębiło się i wrzało jak w garnku. Ogłuszające wrzaski, śpiewy, nawoływania nie docierały do świadomości nauczyciela. Leniwy i roztrzepany teraz dopiero zastanawiał się nad tym, co ma nam do powiedzenia. Aż, skończywszy „obdumkę”, chwycił niespodziewanie dziennik, unosił go nad głowę i z całej siły walił nim w pulpit. Przypominało to

wystrzał z pistoletu. „*Nu, dowolno!*” Na ten odgłos gwar nieco się uspokajał i zaczynała się lekcja. Aleksander Iwanowicz tracił wątek swych wywodów i zbaczał na ślepe tory, gdy specjaliści od zbijania fizyka z pantałyku wtrącali zniecierliwie bezsensowne uwagi i zapytania. Czasami doprowadzało to nieszczęsnego belfra do wybuchów wściekłości. Rzucił w nas wtedy różnymi, napotkanymi pod ręką przedmiotami, a po-tem wstydił się swego nieopanowania przez długie lata. Powiedział nam o tym na pomaturalnej bibce, gdy już jako „dorośli” maturzyści rozmawialiśmy sobie swobodnie przy kieliszku.

Nie sposób, dla dopełnienia obrazu, nie wspomnieć o najbardziej charakterystycznym przedstawicielu ówczesnego urzędowego świata pedagogicznego – o naszym inspektorze i matematyku, Pawle Aleksandrowiczu Dołguszynie. Reprezentował on wśród ciała pedagogicznego narzucony przez kuratorium czynnik policyjno-rządowy. Zdaje się, że obawiali się go zarówno uczniowie, jak nauczyciele. Kontrolował on bowiem „*blagonadiożnost*” i jednych, i drugich. Był to niewysoki, barczysty mężczyzna, o ruchach kocich i sprężystych. Przystojną twarz o oliwkowej cerze i wystających kościach policzkowych okalała szpakowata broda. Czarne, gładko uczesane włosy wieńczyły wysokie czoło. Spod ciemnych brwi patrzyły przez ciemne oku-



lary przenikliwe czarne, wszystko dostrzegające oczy. Dołguszyn nosił zazwyczaj długi, granatowy surdut i buty bez obcasów. Dzięki tym butom stąpał bezszelstnie jak kot, co pozwalało mu zjawiać się niepostrzeżenie w najbardziej nieodpowiednich miejscach. Nieraz zaciętrzewieni dysputą uczniowie znajdowali go raptem za swoimi plecami, z lekko przechyloną głową, podsłuchującego ich wywody. To znów Dołguszyn zaglądał do ubikacji lub stał niezauważony w drzwiach klasy. „Pawki” bano się jak ognia, a jego gorliwość, nie zawsze licujące z powagą pedagoga policyjne metody sprawiały, że był on przedmiotem nieustannych przepiek, zarówno ze strony Rosjan, jak i Polaków.

Dołguszyn wykładał matematykę. Czynił to z dużą umiejętnością. Umiał mówić jasno i logicznie. Umiał nawet największym w tej dziedzinie *hebesom* (łac. głupiec – *przyp.* JF), do których, niestety, należałem, wmówić, że znajomość logarytmów jest w życiu równie niezbędna, jak umiejętność posługiwania się widelcem i nożem, a należyte zrozumienie teorii Dedekinda jest kardynalnym warunkiem życiowego powodzenia. Największym jednak osiągnięciem pedagogicznym Dołguszyna było chyba to, że jego uczniowie potrafili nauczyć się wszystkich tych niezrozumiałych mądrości i zdawać z nich egzamin z dobrym wynikiem.

Zapowiedź klasówki równała się wiadomości o nadchodzącym, a nieuniknionym kataklizmie. Dołguszyn nie tylko był surowym i wymagającym pedagogiem, ale miał swój własny, wyrafinowany system sprawdzania naszych umiejętności. Gdy zadzwieczał dzwonek, padano sobie w objęcia, żegnając się „na zawsze” przed decydującą próbą. Wreszcie wartownik, czatujący we drzwiach klasy, wbiegał z panicznym okrzykiem: „*Idzie! idzie!*”. Zalegała śmiertelna cisza. We drzwiach zjawiał się Dołguszyn i od progu już wołał: „*Razdwigajcie party!*”. Siedzieliśmy w pięciu rzędach. Rzecz polegała na tym, by nasze jednoosobowe ławki odsunąć od siebie jak najdalej. Wówczas inspektor brał kredę do ręki i ogłaszał: „*W sieriedinie i po krajam sidiaszczije: zadacza nomier pierwyj*”. Po czym dyktował tekst zadania. Zadanie numer 2 otrzymywały rzędy drugi i czwarty. W ten sposób „ściąganie” od sąsiadów z lewej i prawej strony stawało się niemożliwe. Rozstępy zaś pomiędzy ławkami, stojącymi z przodu i z tyłu, był tak duży, że porozumiewanie się było praktycznie niewykonalne.

Podyktowawszy zadanie Dołguszyn zasiadał na krześle, wyjmował gazetę i zatapiał się w jej czytaniu. Po pewnym czasie poniektórzy uczniowie zaczęli zdradzać zaniepokojenie. Ten i ów, widząc, że nigdy nie

dojdzie, kiedy turysta, który przejechał parostatkiem o 3 wiorsty więcej niż łódką, zostanie dopędzony przez swego kolegę, poczynął dawać rozpaczliwe znaki, wzywając ratunku. W odpowiedzi zwinęta w kulkę „ściągaczka” niby koło ratunkowe leciała przez klasę. Ale w tym samym momencie Dołguszyn zrywał się z krzesła i w paru susach stawał przy rozbitku. Długo nie mogliśmy zrozumieć, co było powodem tego niezwykle jasnowidzenia. Okazało się, że była nim po prostu mała dziurka w gazecie, przez którą przemysłny pedagog obserwował swoich wychowanków.

Uczniowie Polacy prowadzili z Dołguszynem głułą walkę o fason czapek, którym starali się nadać wygląd polskich „maciejówek”, wyjmując z szerokiego runda usztywniający drut. Dołguszyn czapki takie nazywał pogardliwie „blinczykami”, przeciwstawiając im piękno urzędowych „kłapouchów”. Co roku też powtarzała się heca z Zaduszkami, na które demonstracyjnie nie przychodziliśmy do szkoły. Pomimo tych drobnych szykan Dołguszyn był dla nas, Polaków, zawsze sprawiedliwy, gdy chodziło o ocenę naszych umiejętności. Karcąc nas za różne przekroczenia, w których – może i słusznie – wyczuwał chęć podkreślenia naszej kulturalnej odrębności, nie szczędził też gorzkich wymówek swoim współrodakom.

Z kolegami Rosjanami łączyły nas – z małymi wyjątkami – dobre koleżeńskie stosunki. Ograniczały się przeważnie do współzycia w szkole, gdzie wzajemnie przestrzegaliśmy wobec siebie reguł lojalnej koleżeńskej współpracy.

Z pobytu w Gimnazjum Naumenki zachowałem jak najlepsze wspomnienia. Kolegów miałem dobrych, kulturalnych, o dużych ambicjach i wysokim poczuciu etycznym, wesołych i koleżeńskich. Przyjaźnie nawiązane w szkolnych murach przetrwały kataklizmy wojenne, przemiany społeczne i wszystkie te karkołomne salta mortale, których nie szczędziła naszemu pokoleniu historia ostatnich czterdziestu lat. I gdy spotykamy się teraz w jakże odmiennych warunkach, czujemy się znów młodzi, tacy sami, jakimi byliśmy wtedy, gdy wymknąwszy się na wagary zbiegaliśmy po stromych zboczach Włodzimierskiej Górki do Mogiły Askolda, by popatrzyć na szeroko rozlany Dniepr płynący u naszych stóp.

Ówczesny Kijów był miastem, w którym spotykały się i przenikały wpływy europejskie z azjatyckimi. Obok wykwintnych pałacików, stawianych na modłę paryskich arystokratycznych rezydencji, stały w cieniu drzew pomalowane na żółto, kryte zieloną blachą „osobniaki”

blizniaczo podobne do swych moskiewskich czy petersburskich, jak się to wówczas mówiło, pierwowzorów. Wysokie, wielopiętrowe nowoczesne kamienice sąsiadowały z małymi, parterowymi domkami. Po brukowanych „kocimi łbami” ulicach o głębokich rynsztokach, nad którymi przerzucone były drewniane mostki, podskakiwały na żelaznych obręczach kół groteskowe dorożki, tzw. „pietuchy”, zaprzężone w poszerzenia, łękowate szkapy. Mijały one eleganckie karety, sprowadzone z Wiednia czy z Warszawy.

W zimie, gdy puszysty śnieg pokrył białą ulicę, przechodnie przystawali, by popatrzeć na mknące środkiem jezdni „lichacze”. Jeżdżenie „lichaczami” nie należało do najlepszego tonu. Jeździli nimi przeważnie oficerowie gwardyjscy, bogaci kupcy lub rzucający pieniędzmi lekkomyślni birbanci. Podczas gdy normalny kurs dorożki kosztował 25, 20, a nawet 15 kopiejek, lichaczowi płacono się po rublu i więcej. Ale też była to kawalerska jazda! Na mikroskopijnym koziołku sanek na wpół stał, na wpół siedział karykaturalnie gruby „kuczer”. Wywatowany tułub powiększał jeszcze naturalną tuszę. W sztywno wyciągniętych przed siebie rękach trzymał lejce. Orłowski rysak mknął z zawrotną szybkością, wyciągnięty jak chart goniący zającą. Grudy śniegu, wzbijane kopytami końskimi, przyskały, obijając się o przód sanek i ochronną siatkę, zwisającą

z „dugi”. Pęd tamował dech w piersiach. „Hop, bieriegiś!” – pokrzykiwał kuczer. Było na co popatrzeć.

Gdym chodził do szkoły, dostawałem od rodziców po 10 kopiejek dziennie na drugie śniadanie. Za te pieniądze kupowałem sobie dużą pajdę chleba za 1 kopiejkę, dwie kielbaski, przypominające nasze kabanosy po 3 kopiejki sztuka i ciastko za 3 kopiejki. Pamiętam też, że dziesiątek moreli (morele, brzoskwinie i jabłka sprzedawano na „dziesiątki”) kosztował 2 kopiejki.

Żyło oczywiście w Kijowie wielu ludzi, którym doskwierała bieda, a było i wielu nędzarzy. Faktem jest, że nędza i zaniedbanie ocierały się w Kijowie o bogactwo, przepych i rozrzutność, o jakiej my dziś nie mamy żadnego pojęcia.

W czasie tych kilkunastu lat, które spędziłem w Kijowie, miasto rozbudowało się i unowocześniło. Na głównych ulicach kocie łby zastąpiono brukiem ze szwedzkiej kostki. Powstało kilka nowych linii tramwajowych. Sprowadzono nowoczesne luksusowe wozy o wyściełanych, pokrytych rafią siedzeniach. Znikły głębokie rynsztoki i drewniane mostki, ułatwiające przechodniom przebrnięcie przez rwące po każdym deszczu potoki. Zmodernizowane, jaskrawo oświetlone witryny sklepów nadawały Kreszczatikowi i kilku główniejszym ulicom europejski charakter.



Zamykam oczy i próbuję wydobyć z mroku wspomnienia wygląd tamtego dawnego Kijowa.

Ulica Funduklejowska, przy której mieszkaliśmy, była szeroką, wysadzaną drzewami magistralą o wysokich, nowoczesnych kamienicach. Szedłem codziennie do szkoły nieco dalszą, wygodniejszą drogą. Najbliższa prowadziła przez ulicę Nestorowską, łączącą ulicę Funduklejowską z Podwalną. Była ona tak stroma, że kiedyś zużyłem około pół godziny na jej pokonanie. Było to w zimie. Gółoledź była tak straszna, że nie mogąc utrzymać się na nogach i zjeżdżając co chwila w dół, musiałem wspinać się krok za krokiem, czepiając się sztachet płotów, ogradzających ogrody domów.

Ulicą Funduklejowską dochodziło się do placu Opery. Kijów był miastem muzycznym, a publiczność umiała niezwykle entuzjastycznie przyjmować występy sławnych śpiewaków, niejednokrotnie przyjeżdżających tu na występy gościnne. Pamiętam tłumy, oblegające kasy operowe i zalegające plac przed gmachem, gdy do Kijowa przybyła słynna Gay, nieznana w roli Carmen. Tłumy gromadziły się tak wielkie, że porządek musieli utrzymywać konni policjanci. Ci, którym udało się dostać na przedstawienie, opowiadali potem co działo się na widowni. Publiczność szalała. Znakomitą śpiewaczkę dosłownie zarzucono kwiatami, a także... rękawiczkami, bransoletami i czapkami. Był to swoisty, rosyjski sposób wyrażania swego entuzjazmu. Dawało to pratekst do pójścia za kulisy po odbiór rzuconych na scenę przedmiotów, co czasem pozwalało zobaczyć z bliska śpiewaczkę i złożyć jej osobiście gratulacje.

Naprzeciw Opery mieścił się jeden z najlepszych kijowskich hoteli – hotel „Francois”. Właścicielem jego był Polak, pan Gołąbek, ten sam, który po pierwszej wojnie światowej osiedlił się w Poznaniu, gdzie założył fabryczkę doskonałych cukierków. Hotel „Francois” miał przy ul. Funduklejowskiej obszerną, bardzo elegancką cukiernię, znaną z doskonałych wyrobów cukierniczych, kawy i herbaty. W cukierni „Francois” spotkać było można najwytworniejszą publiczność. Ze względu na właściciela stałymi gośćmi hotelu i cukierni „Francois” bywali Polacy zamieszkujący w Kijowie, jak i przyjeżdżający z prowincji. Niektórzy z nich mieli tam swoje stałe apartamenty.

Rodzice moi urządzali od czasu do czasu przyjęcia dla swoich licznych znajomych. Jedno z nich było specjalnie liczne. Zaproszonych było około 80 osób. W salonie tańczono. Potem podano kolację. Goście zasiedli przy ustawionych w podkowę stołach. Nadeszła chwila, w której na stole pojawić się miał deser – za-

mówione od „Francois” lody. Dojadano już pieczone i moja matka rzucała coraz rozpaczliwsze spojrzenia na drzwi, w których powinien być ukazać się służący z deserem. Wreszcie ktoś zatelefonował do cukierni. Odpowiedziano z zakłopotaniem, że zaszło nieporozumienie, ale że za chwilę lody przyniosą. Upłynęło jeszcze kilkanaście minut w napiętym oczekiwaniu, maskowanym sztucznie podtrzymywaną rozmową. I oto nareszcie wniesiono półmiski, na których stały żałośnie przekrzywione, na wpół rozpuszczone, lodowe wieże.

Nazajutrz, około południa, zadzwonił dzwonek i w progu ukazał się boy z cukierni „Francois” z olbrzymią tacą. Na tacy piętrzyła się piramida z pięćdziesięciu ciastek. Boy oświadczył, że p. Gołąbek przysyła ciastka na przeprosiny za wczorajszą kompromitację z lodami i bardzo przeprasza za kłopot, na jaki naraził moją matkę. Na próżno ojciec zaraz zatelefonował, że nie może przyjąć tak kosztownego daru – nic nie pomogło. Musieliśmy rozdawać ciastka znajomym i sami omal nie pochorowaliśmy się z przejedzenia.

Poza hotelem „Francois” było jeszcze w Kijowie kilka pierwszorzędnych hoteli. Na Kreszczatiku – „Grand Hotel”, należący do Włocha, pana Lancia, a przy ulicy Mikołajewskiej – hotel „Continental”, również jeden z najelegantszych i najlepiej prowadzonych.

Minąwszy plac Opery szło się dalej, lekko spadając ku Kreszczatikowi, ulicą Funduklejowską. Można było, minąwszy kawiarnię „Francois”, skrócić w prawo ulicą Włodzimierską i dojść do Uniwersytetu św. Włodzimierza. Uniwersytet znajdował się w cieniu starych drzew, prawie na rogu ul. Marino-Błagowieszczeńskiej. Można też było skrócić w lewo w stronę Placu Sofijowskiego. Idąc prosto ku Kreszczatikowi szło się zwykle lewą stroną ulicy. Prawa mało była zabudowana i nieciekawa. Natomiast po lewej mijało się szereg dobrze zaopatrzonych sklepów i można było pogapić się na wystawy.

Zaraz gdzieś niedaleko Włodzimierskiej mieścił się niewielki sklep papierniczy Pigłowskiego. Pigłowski był Polakiem. Sam sprzedawał za ladą papier listowy, kajety, atrament, pióra i inne materiały piśmienne. Ale nie to stanowiło magnes przyciągający sztubaków do jego sklepiku. Atrakcją były znaczki pocztowe, które można było u pana Pigłowskiego kupić lub długo je oglądać i wybierać, a także radzić się gospodarza, który uchodził za znakomitego i zamiłowanego filatelistę. Nieco dalej, nad bramą prowadzącą na błotniste podwórze, wielki kalosz reklamował znaną w całej Rosji fabrykę wyrobów gumowych „Treugolnik”.

Niedaleko „Treugolnika” mieścił się mały, wieczorami jaskrawo oświetlony sklepik. W witrynie i na półkach sklepu błyszcząły mosiężne i niklowane samowary, emaliowane tace i lakowe pudełka na herbatę ze złożonymi wizerunkami smoków, Chińczyków i żurawi. Za ladą dwaj starsi, bardzo uprzejmi panowie sprzedawali herbatę i kawę, której zapach czuć było aż na ulicy. Matka moja zawsze zaopatrywała się w herbatę w tym sklepie. Do każdej zakupionej paczki uprzejmi sprzedawcy dołączali kupon, opiewający na odpowiadającą zakupowi kwotę. Zależnie od ilości zebranych kuponów można było po pewnym czasie dostać premię. W ten sposób matka moja doszła do posiadania niklowego samowara na 40 szklanek herbaty i dużej porcelanowej tacy.

Już po wybuchu pierwszej wojny światowej po prawej stronie ulicy Funduklejowskiej w małym parterowym domku otworzył polską księgarenkę przybyły z Galicji pan Narcyz Gieryn. Warto było wtedy przechodzić „na drugą stronę”, by przejrzeć najnowsze polskie wydawnictwa i zobaczyć jeszcze coś, co pan Gieryn pokazywał tylko swym znajomym w małym, przylegającym do księgarni pokoiku. Była to pieczołowicie zbierana kolekcja okładek i obwolut, starannie wklejo-

nych do kilku grubych albumów. Pan Gieryn z błogim uśmiechem pokazywał swój skarb, zwracając uwagę na piękniejsze czy rzadsze okładki. Trzeba przyznać, że pomysł kolekcjonowania okładek był oryginalny. Nigdy potem nie spotkałem już takiego zbioru.

Minąwszy ulicę Timofiejewską i ulicę Puszkińską, dochodziło się wreszcie do Kreszczatiku, spotykając po drodze jeszcze dwie kawiarnie – filię cukierni „Francois” i „Udziałową”, po prawej stronie ulicy, uczęszczane przez Polaków, a zwłaszcza studentów, którzy jadali tam zwykle tanie kolacje.

Ale wróćmy jeszcze na plac Opery i pójdźmy ulicą Włodzimierską w lewo aż do miejsca, w którym na wprost stromo zbiegającej do Kreszczatiku ulicy Proreznej widnieje niewielki, ocieniony starymi drzewami skwer, dający początek ulicy Wielkiej Podwalnej. Po środku skweru, ukryte w gęstwie wysokich drzew i okolone żelazną balustradą, wznosiły się ruiny Złotej Bramy. Chodziliśmy tam nieraz po lekcjach całą paczką kolegów i przystawaliśmy przed szacownymi ruinami. Starłem się wyobrazić sobie Bolesława Chrobrego, przejeżdżającego przez ciasną, teraz ściągniętą żelaznymi klamrami bramę, na próżno wypatrując na jej czerwonych ceglach śladów królewskiego miecza.



Ale rozmyślania nad przeszłością nie trwały długo. Spieszono nam było skręcić w ulicę Włodzimierską, gdzie, po przeciwnej stronie, mieściło się polskie gimnazjum żeńskie pani Peretiatkowiczowej. Czasami, gdy pogoda była piękna i słoneczna, można było dojrzeć w otwartych oknach na piętrze czerwone, kraciaste mundurki pensjonarek. Gdy się miało wyjątkowe szczęście, zdarzało się zobaczyć całe grono „peretiatek”, czerwieniejące, niby pelargonie na balkonie. Niejednemu z nas żywiej zabiło serce na widok tej, w której małą fotografię z „Kalotechniki” wpatrywał się skrycie podczas lekcji, a która teraz wyszła niby przypadkiem na balkon, wiedząc, że on się tu zjawi. Defilowaliśmy więc pod balkonem gęsiego, nie bacząc na niebezpieczeństwo napotkania kogoś z naszych belfrów lub, co gorsza, samej przełożonej – pani Peretiatkowiczowej, nieprzychylnym wzrokiem patrzącej na tego rodzaju imprezy.

Ulicą Wielką Podwalną dochodziło się do naszego gimnazjum, mijając po drodze świątynię karaimską i ulicę Stołypinowską. Dzięki dwóm naszym kolegom karaimom, Iljusz i Michałowi Duwanom, byliśmy kiedyś na nabożeństwie karaimskim. Pamiętam jakieś wspaniałe chóry, zawodzące psalmy, i ołtarz, nad którym zawieszona była czarna aksamitna zasłona z hebrajskim napisem haftowanym złotem. Przybrany w ciemną szatę kapłan miał na głowie wysoki czarny kołpak i mówił coś gardłowym basem. Zapamiętałem tylko jedno słowo „*czokole, czokole*”. Peszyło nas to, że musieliśmy stać cały czas w czapkach na głowie.

Przy ulicy Stołypinowskiej mieścił się szpital. Po zamachu dokonany przez Bagrowa na Stołypina, ranego ministra przewieziono do tego właśnie szpitala, gdzie wkrótce umarł. Przez parę dni ulica przed gmachem szpitala zasłana była grubą warstwą słomy dla stłumienia hałasu, który mogłyby robić przejeżdżające wozy i pojazdy.

Pod numerem 37-ym przy ulicy Włodzimierskiej stał solidnie zbudowany dwupiętrowy dom. Bywałem w tym domu częstym gościem. Na parterze mieszkali państwo Polheimowie. Znałem ich tylko z widzenia. Natomiast z córką ich, Zosią, kolegowałem w szkole pani Żukiewiczowej i podkochiwałem się w niej skrycie, aż do czasu, gdy zostawszy uczniem pierwszej klasy gimnazjalnej przeniósłem owe uczucia na „peretiatki”.

Na pierwszym piętrze mieszkał znany w Kijowie i bardzo ceniony przez Polaków i Rosjan adwokat mecenas Stanisław Żeromski. Z jego synem, również Sta-

niławem, łączyła mnie od najmłodszych lat serdeczna przyjaźń, którą przerwała dopiero jego przedwczesna śmierć w 1955 r. Państwo Żeromscy zajmowali obszerne, pięknie urządzone mieszkanie. Tam to nauczyłem się cenić stare meble, piękne makaty i dywany, rzeźby i obrazy. Mówiono o mecenasie Żeromskim: „*małeńkyy, ale waźneńkyy*”. Był to istotnie karykaturalnie mały człowieczek, tak niskiego wzrostu, że nie lubił siadać na kanapie, by – jak mówił – „*nie czuć za sobą nieskończoności*”. Najchętniej usadzał swego rozmówcę na fotelu, a sam mówił doń stojąc, gdyż wtedy dopiero mógł patrzeć na niego trochę z góry. Na krótkim, krępy tułowiu osadzona była okrągła, jak kula bilardowa, łysa głowa. Spod ciemnych brwi patrzyły zza binokli oprawnych w złoto czarne, przenikliwe, mądre oczy. Mały, kartoflowaty nos, ciemne, „po angielsku” przystrzyżone wąsy, wydatna, gładko ogolona broda. Cała ta mała figurka mogłaby być groteskową, gdyby nie jakaś powaga, bijąca od tej postaci, nakazująca od pierwszego wejrzenia respekt i szacunek. Cóż dopiero, gdy po pierwszych słowach wypowiedzianych z charakterystycznym naciskiem i akcentem, okazywało się, że jest to człowiek, posiadający niezwykle jasny i logiczny umysł, olbrzymią i wszechstronną wiedzę, popartą znakomitą pamięcią, a także błyskotliwy cięty dowcip, którym jak nikt inny umiał się posługiwać.

Pan Stanisław Żeromski, gdy go poznałem, był już człowiekiem bardzo bogatym. Majątek zawdzięczał swej wyjątkowej inteligencji, wielkim zdolnościom i ogromnej pracowitości. Znakomity prawnik, świetny mówca i obrońca sądowy, był jednocześnie wyrafinowanym estetą, znawcą sztuki i literatury. Doskonale wychowany, w każdym towarzystwie swobodny i umiejący zabłysnąć erudycją i dowcipem, nieznównany *causeur* (franc. dowcipny gawędziarz – *przyp. JF*) od razu stawał się centrum zainteresowania towarzystwa. Umiał równie interesująco i zabawnie mówić o prawie rzymskim, jak o potrawach, o polityce, czy o najnowszych sztukach teatralnych, o pobycie na Riwerze, czy o zjazdach żydowskich w Berdyczowie, o rzeźbie greckiej, czy o ostatnim filmie z Max Linderem. Władał biegle kilkoma językami. Potrafił cytować na pamięć długie teksty Wirgiliusza czy Horacego. Wszystkie te zdolności odziedziczył po nim jego syn Stanisław, z którym kolegowałem i przyjaźniłem się od pierwszej klasy gimnazjalnej. Zawdzięczam mu wiele miłych i interesujących chwil w życiu, a także zainteresowań, które pod jego wpływem obudziły się we mnie.

Na drugim piętrze tejże kamienicy zamieszkiwał ze swą rodziną doktor Tadeusz Ruszczyk. Z jego najstarszym synem Władysławem kolegowałem również od pierwszej klasy i nieraz bywałem na „kinderbalach”, urządzanych przez panią doktorową, z domu Gnatowską, dla swej córki Janiny. Pętał się na tych balikach brat Władysława Henio, o kilka lat młodszy od nas, co sprawiało, że niewiele zwracaliśmy nań uwagi. Cała trójka młodych Ruszczyków przeżyła jakoś wszystkie kataklizmy, przez które przeszło nasze pokolenie. Tyle, że zmieniły się role i wyrównały różnice wieku. Dziś Ninka jest znaną, często publikującą swe prace historyczką sztuki, Władzio – urzędnikiem bankowym, a niezauważany przez nas mały i dość nieznosny wówczas chłopak Henio jest pełnym poświęcenia opiekunem niewidomych w Laskach pod Warszawą, uwielbiany przez swych podopiecznych.

Wówczas jednak nie zastanawialiśmy się nad przyszłością, chwalać sobie raczej doskonałą czekoladę z ciastkami, którą raczyła nas przeznacna pani Jadwiga Ruszczykowa. Czasami do salonu, w którym zabawiała się młodzież, wkraczała wysoka i sztywna postać doktora Ruszczyka. Na jego łysinie, niby w lustrze, odbijały się błyski zawieszanej u sufitu lampy. Sucha, rasowa twarz o półprzymkniętych oczach nie wyrażała niczego. Nikły uśmiech pojawiał się na jego ustach, gdy po kolei witał się z nami. Najczęściej, zlustrowawszy zgromadzenie i nie powiedziawszy ani słowa, wychodził, a po chwili słyszeliśmy przez okno stukot kopyt końskich i turkot oddalającego się powozu, który doktor trzymał zawsze przed domem do swej dyspozycji.

Nie wiem już, w którym to roku naprzeciw domu, w którym mieszkali państwo Żeromscy i Ruszczykowie, wyrósł okazały, chyba sześciopiętrowy budynek z kawiarnią „Praga” na tarasie dachu, stanowiący atrakcję, o której wiele mówiło się wówczas w Kijowie.

CDN

Słowniczek ulic kijowskich wymienionych we wspomnieniach W. Bartoszewicza

Aleksandrowska – zbudowana w latach 1830., od 1860 Aleksandrowska, od 1919 ul. Rewolucji, od 1934 ul. Siergieja Kirowa, dziś ul. Mychajła Hruszewskiego.

Funduklejewska – dawniej ul. Kadecka, od 1869 ul. Funduklejewska, od 1919 ul. Włodzimierza Lenina, dziś ul. Bohdana Chmielnickiego.

Instytutka – dawniej Droga Iwanowska, ul. Begiczewska, od 1842 ul. Instytutka, od 1919 ul. 25 Października, od 1944 ul. Rewolucji Październikowej, dziś ul. Instytutka, w części ul. Niebiańskiej Sotni.

Kreszczatik (Chreszczatyk) – dawniej Kreszczata Dolina, Jewsiejkowa Dolina, Piaski, zabudowa Kreszczatika od XVIII w., od 1891 tramwaj konny, od 1892 tramwaj elektryczny, od 1935 trolejbus, zburzona przez Niemców, po wojnie Kreszczatik poszerzono dwukrotnie, od 1960 metro.

Marino-Błagowieszczeńska – zbudowana w l. 1840. jako Mała Żandarmska i Wielka Żandarmska, połączone w 1881 w Żandarską, później zwaną Mariinsko-Błagowieszczeńską, od 1919 ul. Leonida Piatakowa, od 1937 ul. Panasa Saksagańskiego.

Meryngowska – zbudowana w l. 1880. jako Meryngowska, od 1937 ul. Abulkasima Firdousi, od 1944 ul. Marii Zańkowieckiej.

Michajłowski pierieulok – założony w l. 1830.

Mikołajewska – powstała w l. 1880. jako Nikołajewska, od 1919 ul. Karola Marksa, dziś ul. Architekta Władysława Horodeckiego.

Nestorowska – znana od 1869, w części jako Nestorowska, w części Afanasjewska, od 1926 ul. Iwana Franki.

Podolska – przebita w stoku góry w 1711 r. droga, zwana później ul. Mostową, Aleksandrowskim spuskiem, a od lat 1950. Włodzimirskim spuskiem.

Podwalna – zbudowana w l. 1840. w miejscu wału obronnego jako Podwalna, od 1869 Jarosławów Wał, od 1928 ul. Klimenta Woroszyłowa, od 1957 ul. Andreja Połupanowa, od 1963 Wielka Podwalna, od 1977 ponownie Jarosławów Wał.

Prorezna – znana od 1840 jako Prorezna, później Martynowska, Zołotokreszczatiska, Wasylczykowska, od 1919 ul. Jakowa Swierdłowa, dziś ponownie ul. Prorezna.

Puszkinińska – znana od poł. XIX w. jako Jelisawietińska, od 1869 Nowojelisawietińska, od 1899 ul. Puszkinińska.

Stołypinowska – znana od poł. XIX w. jako Małowłodzimierska, od 1911 Stołypinowska, od 1919 ul. Grigorija Gerszuni, od 1937 ul. Włodimira Kecchoweli, od 1939 ul. Walerija Czkałowa, dziś ul. Ołesia Honczara.

Timofiejewska – później Ilji Repina, dziś ul. Tereszczenkowska.

Triochswiatitielska – znana w XVII w. jako Triochswiatitielskaja, od l. 1830. Teatralna, od 1919 Ofiar Rewolucji, od 1955 Bohaterów Rewolucji, dziś ul. Triochswiatitielska.

Włodzimierska – powstała w czasach Rusi Kijowskiej, w 1869 połączona z 4 ulic jako Wielka Włodzimierska, krótko ul. Włodimira Korolenki, później ul. Włodzimierska.

Sporządził: Janusz FUKSA

Małgorzata Żurecka

BABCIU, RATUJ!

Wioskę Skoszów przykryła gruba pierzyna śniegu. Dachy domów w śnieżnych czapach pykały leniwie smugi dymu z kominowych cybuchów. W krystalicznie wymrożonym powietrzu echem roznosiły się poszczekiwanie psów i pisk dzieciarni biegnącej za kolędnikami.

Nusia wyjrzała ostrożnie przez okno... i przerażona tym, co zobaczyła, schowała się pod stołem.

– Babciu, ja się boję!.. Ja się boję!.. Śmierci!.. – rozdarła się histerycznie.

– Ta ty, głupia, się nie bój, to tylko kolędnicy, przebierańcy. Taż to sami koledzy wujka Adama! – próbowała swoim śpiewnym, kresowym głosem uspokoić dziewczynkę babcia Wiesia.

Nusia jednak, ciągle przebijając nogami w panice, siedziała w kucki pod stołem.

– No, zaraz ich przegonię. Taż nie bój się! – powtarzała w kółko babcia.

Widząc nadchodzącą grupę podchmielonych przebierańców, niosących na wysokim drągu wielką, kolorową gwiazdę betlejemską, babcia ustawiła się przed wejściem do domu i broniąc drzwi rozłożonymi rękami wołała:

– Proszę nie wchodzić! Tu jest małe dziecko, ono się boi! A idźcie wy precz!

Nic to nie pomogło. Rozochoceni kolędnicy odepchnęli babcię i wtargnęli do domu w poszukiwaniu dziecka. Kiedy odkryli schowek Nusi, podnieśli obrus i poszturchiwali ją pod stołem – Śmierć kosą z tektury, a Diabeł drewnianymi widłami – pokrzykując przy tym:

*– Za twe grzechy, za twe zbytki
chodź do piekła, boś ty brzydka!*

Gdy tylko Nusia zobaczyła postać w białym prześcieradle, z wyciętymi otworami na oczy, a obok niej czarnego diabła o usmolonej sadzą twarzy, z czerwonymi rogami i długim włochatym ogonem – rozdarła się w niebogłosy:

– Boję się!.. Babciu, ratuj!..

Babcia – w strachu, że dziecko wpadnie w histerię – próbowała ze wszystkich sił odciągnąć i wyprzeć kolędników. Nawet się z nimi mocowała, nie dała jednak rady ich rozgonić.

I wtedy nagle pospieszył z odsieczą wujek Adam! Błyskawicznie wygarnął spod pieca popiół do wiaderka i groźnie nim wymachując groził kolędnikom, że jeśli małej nie zostawią w spokoju, wysypie na nich cały ten popiół.

Diabeł i Śmierć – przepychając się między Herodem, Pasterzami, Aniołem i całą pozostałą ciżbą przebierańców – próbowali w pośpiechu przedostać się na zewnątrz, widząc, że Adam nie żartuje.

Jakże bardzo było mu wtedy żal ukochanej siostrzenicy! Pogonił więc całe to kolorowe, rozochocone towarzystwo, a gonił ich dotąd, aż pomścił małą, wysypując Śmierci cały popiół na głowę.

Babcia pocieszała Nusię:

– Ta i patrz no ty! Taż wujek Adam wysypał Śmierci popiół na głowę! Nie płacz, już tu nie wrócą. Ta wyjdź spod stołu, babcia ugotuje ci kakałka.

Mała jednak nic się nie odzywała, siedząc nadal skulona i trzęsąc się cała. Babcia musiała ją siłą wyciągnąć spod stołu.

Tymczasem Adam pochwycił w ręce swoją gitarę i puścił się w śmieszny, pokraczny taniec, aby rozbawić małą... Śpiewał przy tym, komicznie wykrzywiając twarz:

HECCAA!... HECCA!...

Koło piecca!..

Cielę mnie pobodło!..

Matka maścią smarowała –

Nic mi nie pomogło!..

Mocno poirytowana Babcia przegoniła Adama:

– A pójdziesz ty stąd!.. Spokój ma być i cisza!.. A jutro zabierzesz ją na górkę, na sanki.

Posadziła wnuczkę na kolanach. Kołysała i głaskała po plecach, mocno przyciskając jej głowę do piersi. Cichutko chlipiąc, Nusia poprosiła:

– Opowiedz mi coś.

Kiwając się na krześle wraz z małą, babcia zaczęła:

*– Opowiem ci bajkę, jak kot kurzył fajkę,
na krótkim cybuszku, upalił sobie uszko,
a kocica papierosa, upaliła kawał nosa.*

Resztę Nusia dobrze знаła, ale bez końca mogła słuchać bajania ukochanej babci:

A gdzie to ucho? – Woda porwała.

*A gdzie ta woda? – Gołębie wypily.
 A gdzie te gołębie? – W lesie na dębie.
 A gdzie ten dąb? – Siekierka ścięła.
 A gdzie ta siekierka? – Chłop ma za pasem.
 A gdzie ten chłop? – Umarł pod progiem.
 A kto za nim płakał? – Pies i kot.
 A jak płakali? – Hał, hał, miał, miał.
 A jak mu grali? – Baranim rogiem.
 A jak mu dzwonili? – Bim bom, bim bom.*

Jeszcze długą chwilę trwały razem w ciszy. Słuchać było tylko senne tykanie zegara. Prawie się ściemniało, gdy mała ożywiła się i powiedziała:

– Babciu, a ja wolę pójść jutro nad rzekę – na łyżwy, nie na sanki.

– No, zobaczymy – jak nic ci nie będzie z tego płaczu, to pójdziesz. A teraz chodź, zrobimy kolację.

Wzięła małą za rękę i poszły do kuchni. W duchówce schowana była brytfanka z drożdżową bułką posypaną makiem, upieczoną specjalnie na święta. Babcia ukroiła kromkę, posmarowała masłem i śliwkowym powidłem, a potem wręczyła małej, mówiąc:

– Jedz... a ja tu zaraz zagrzeję mleko i zrobimy kałko.

– Adam, a chodź no tu! – zawołała nazajutrz z rana babcia Wiesia. – Masz tu Nuśki trzewiki, idź do sieni i przykręć łyżwy.

Adam zręcznie, specjalnym kluczykiem przykręcił metalowe łyżwy do skórzanych bucików siostrzenicy.

– Gotowe! – zawołał z żądzą pochwały w głosie.

– Wujek, wujek! Ale ty jesteś kochany! – świergotała Nusia.

– Nie marudź, tylko ubieraj się szybko, a ja naszykuję sanki – odpowiedział Adam z zadowoleniem.

Babcia starannie ubrała małą w wełniane rajtuzki, ciepłe spodnie i sweter – a na to wszystko płaszczyk ze skórek królika, przez którego rękawy przewlekła sznurek. Na jego końcach dyndały włóczkowe rękawiczki z jednym palcem.

Jeszcze tylko szalik i czapka, zrobione w sanatorium na drutach przez mamę.

Adam założył małe buty z łyżwami, solidnie sznurowując trzewiczki – i już była gotowa do wyjścia na mroźny świat.

– Adam, a jeszcze kocyk połóż na sanki.

– No, Nusia, tylko tam ostrożnie, nie zrób se czego, bo skąd ja ci teraz lekarza wezmę? A i pod most się nie pchaj, jak pociąg pojedzie – ostrzegła wnuczkę.

– Wskakuj, Nuśka, jedziemy! – zawołał Adam. Silnymi ramionami pociągnął za sznur u sanek, aż mała omal z nich nie spadła... i tak oto ruszyli w stronę rzeki.

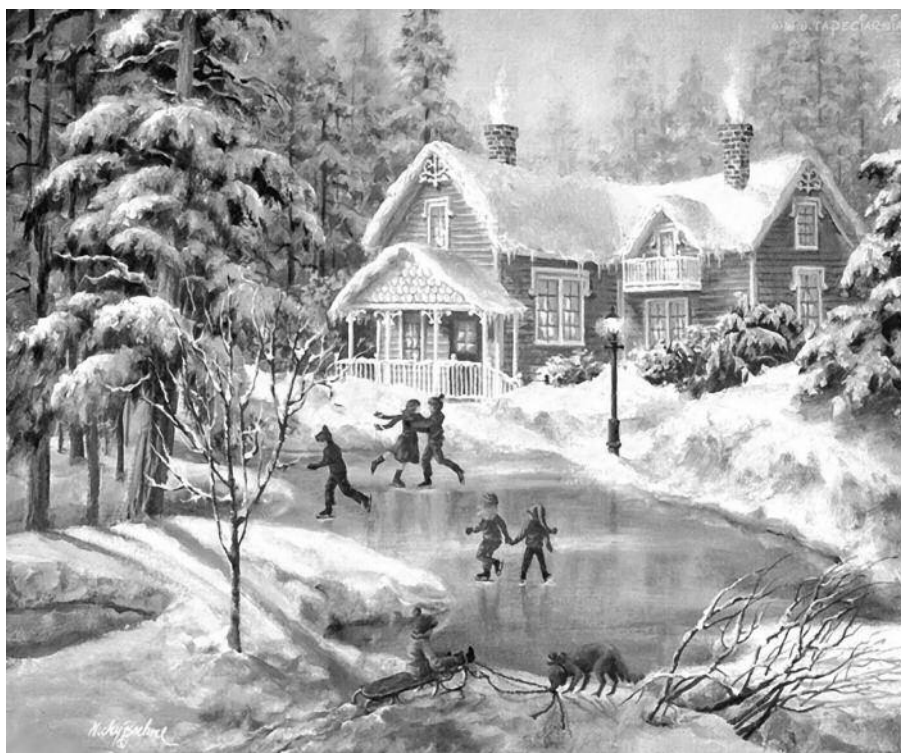
– No i jak? Cymes jest? – dopytywał się Adam.

A ona śmiała się i pischiała, gdy tak biegł szybko przed siebie, a za nim płozy sanek cięły śnieg i lód na ścieżkach, aż przyskało.

Nad rzeką ślizgało się kilkoro wyrostków – niektórzy na łyżwach, niektórzy na samych podeszwach butów. Rzeka tu, przy moście kolejowym, nigdy nie była zbyt głęboka. W siarczyste mrozy zamarzała niemal do dna. Tylko gdzieniegdzie widok cieńszego lodu na pęcherzach powietrza świadczył o tym, że pod lodem toczy się jakieś życie.

– No, Nusia, zostawiam sanki! Wracam za godzinę! – wrzasnął Adam, bo rozradowana Nusia już pobiegła do dzieci.

Mała miała większą wprawę w łyżwiarstwie, niż tu-tejsze dzieci. W swoim miasteczku lubiła chodzić z koleżankami na prawdziwe lodowisko. A i nad Wisłą



niejeden raz jeździła po zamrzniętych łachach, w wielkiej tajemnicy przed mamą.

Kiedys nawet uciekała stamtąd ze strachem – gdy nieoczekiwanie lód z głuchym hukiem zaczął pękać pod jej nogami, a w wielkiej szczelinie ujrzała czarne lustro wody. Na jej szczęście i szczęście całego towarzystwa – hałastry podobnych smarkaczy z osiedla – udało się wtedy uciec... a mamie nigdy się do tego nie przyznała.

Teraz zaś chciała popisać się przed chłopcem, który szczególnie jej się przyglądał. Jeździła więc kreśląc łyżwami koła i ósemki, a nawet szusowała do tyłu.

– Pociąg!.. Jedzie! Jedzie! – wrzasnęły piskliwie dzieciaki i wszystkie jak na komendę zbiegły pod stalowy most kolejowy.

Gdy olbrzymia lokomotywa z wagonami towarowymi toczyła się z hukiem po szynach na moście a echo ten huk potęgowało, odbijając go od wysokich, betonowych ścian mostu – wszystkie piszczały z całych sił, szeroko otwierając buzie.

Nusia również piszczała i ze strachu zamykała oczy. Bardzo jej się to podobało, choć babcia tak bardzo ostrzegała: „Może kamień spod koła odskoczyć, spaść i rozbić ci głowę, a nawet zabić!”.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na chłopca, często najeżdżała na pęcherz z powietrzem, który odróżniał się ciemną plamą od białej pokrywy lodu. Manewrowała tam i z powrotem – chociaż wcześniej ten sam chłopiec ostrzegał ją, aby szczególnie uważała w podobnych miejscach. Zapamiętała jego uszczypliwe słowa, które wtedy powiedział:

– Te „miastowe” to chcą być zawsze mądrzejsze, a nawet słomy od siana nie odróżniają!

Nusia wiedziała, że była to złośliwy przytyk do niedawnego zjeżdżania z góry na workach wypchanych słomą. Nusia wzięła ją wtedy za siano.

– Oooo!.. Znalazł się mądrała! Patrzcie go!.. – odgryzła się.

Nie trzeba było jednak długo czekać – nagle lód na pęcherzu zgrzytnął pod łyżwą... i oto prawa noga Nusi po kolano wpadła do nagle powstałej dziury w lodowej pokrywie!

Dzieciaki zbiegły się wokół niej i śmiejąc się pokrzykiwały:

– Nuśka! Kacza Noga!

– Gdyby kózka nie skakała, to by nóżki nie złamała!

– Nuśka, miastowa koza!

Jej zaś wcale nie było do śmiechu – noga uwięzła w szczelinie i... do trzewika wlewała się lodowata woda. Z zimna już prawie nie czuła palców u stopy...

Chłopiec podbiegł do niej, stanowczym ruchem złapał za kolano i uwolnił nogę – tylko but z łyżwą pozostał w szczelinie. Potem pobiegł po sanki, usadowił na nich Nuśkę w jednym bucie i żwawo powioził ją w kierunku domu babci. Nusia w żaden sposób nie protestowała, nie odezwała się też ani jednym słowem.

Jakież było zdziwienie babci, kiedy Nusia – przemarznięta i przemoczona – stanęła w drzwiach domu w jednym bucie!

W jej własnym domu, tam daleko, w mieście, pewnie poszedłby od razu w ruch nieubłagany „Pan Pasek”... ale tu, u babci, straszakiem na niegrzeczne dzieci był stary, brzoźowy kij nazywany „Pan Drag” – a jego Nusia się już nie bała...

– Skaranie boskie z tym dzieckiem! – biadoliła babcia. – Zawsze se coś musi zrobić. A chodź no tu zaraz! – zawołała, nie zważając na wybawcę Nusi.

A chłopiec tylko rzucił:

– Trza iść buta z rzeki ratować, bo został w dziurze – i mrugnął porozumiewawczo do Adama.

– O, Adam, a skocz no, dziecko, po tego buta! Bo gdzie ja teraz takie buty kupię, a co dopiero łyżwy! – zarządziła energicznie babcia.

I już po chwili Nusia – rozebrana z łyżwiarskiego rynsztunku i owinięta w gruby koc – trzymała gołe nogi w miednicy z ciepłą wodą.

Dopiero teraz poczuła ból w zaczerwienionych stopach. Na dodatek nie dawała jej spokoju przykra myśl, że jest okropną niewdzięcznicą – nie podziękowała przecież chłopcu i nie zrobił tego też nikt z domowników.

– Auuu! Au! Boliii! – postękiwała.

– Ta mróz ci zalazł za paznokcie, to i boli. Na drugi raz nie będziesz się pchała, gdzie nie trza! – pouczała babcia, niosąc już w dłoniach kubek z gorącym naparem z lipy i rumianku, posłodzonym miodem, zadowolona, że nie stało się nic więcej, że mała – na przykład – nie skrzyła sobie nogi.

Nusia uwielbiała taką herbatkę, zawsze dostawała ją przy przeziębieniu.

Przypominała się jej wtedy lipa rosnąca niedaleko domu, przy małym mostku kolejowym. I opowieść babci o Janie z Czarnolasu, który pod lipą pisał smutne wiersze po śmierci swojej małej córeczki Urszulki.

Nusia marzyła, że jeśli będzie miała kiedyś córeczkę, to da jej na imię Urszulka i sama też będzie pisać wiersze, siedząc pod babcinym domem, pod wielkim orzechem.

Ale na razie poczeka, aż buty wyschną na piecu... i aż znowu przyjdzie lato.

Edward Guziakiewicz

DO SIEGO ROKU!*

Miała na sobie sukienkę z delikatnego kaszmiru w kwiaty, uszytą jakby specjalnie na tę wyjątkową okazję. Materiał na nią nabyły z mamą w listopadzie, odwiedzając sklepy i rozglądając się za czymś odpowiednim na święta. Tańczyła, poddając się nastrojowi. Przyszło kilku chłopaków, których nie najgorzej znała, ale w myślach wybrała właśnie tego... Z ukrytych za bordowymi zasłonami wibrujących głośników wydobywały się głośne dźwięki. Atmosfera była niczego sobie. Dlaczego właśnie tego?.. Poruszała się zgrabnie w takty melodii w swych czarnych lakierkach na obcasie i mimowolnie dumiała nad odpowiedzią. Klaskali w dłonie. Pomysł, by urządzić tu sylwestra był znakomity. Jeszcze jeden obrót, i jeszcze jeden. Czuła się nieomal jak długonoga modelka na wybiegu. Spotykali się od dwóch lat, a latem wyprawiali się z księdzem w malownicze Pieniny, rozkoszując się flisackim spływem przełomem Dunajca.

Rytmy stały się mniej forsowne, pozwalając chwilę odetchnąć. Miejsca nie brakowało, bo mieszczący się tuż obok kościoła i cieszący oczy licem z czerwonej cegły budynek katechetyczny był przestronny. Zdecydowali się na salę na parterze. Judyta pomachała do niej gałązką jemioli, przybraną w kolorowe wstążki i anielskie włosy. Radośnie się uśmiechała. Edyta odwzajemniła uśmiech. Dlaczego właśnie tego?.. Dlaczego tego, a nie innego?.. Intuicja jej podpowiadała, że trafiła na księcia z bajki. Poszła za głosem serca... Mirek był sympatycznym dryblasem z kręcącymi się, ciemnymi włosami, nieomal cygańską urodą, miał ładny głos i grywał na gitarze. Popisywał się też na flecie i na fletni Pana, ale tych ostatnich instrumentów nie przynosił często ze sobą. Tego wieczora wskoczył w nowiutki garnitur z czarnej krepy, a białą koszulę ozdobił eleganckim krawatem. Domyślała się, że płasów z nim nigdy już nie zapomni. Ach, jaka szkoda, że taką balangę urządzali tylko raz do roku!..

Nastrój się zmienił. Słuchali teraz rocka. Przysiadła z nim przy jednym ze stolików, wszystkie były nakryte białymi obrusami, a Mirek obejrzał uważnie swoją gitarę. Kiedy trzymał instrument w rękach, zmieniał się na twarzy, stawał się skupiony, tajemniczy i jakby nieobecny. Czuła się tak dobrze obok niego. Nalała mu do szklanki pepsi-coli. Nie chciała mu przeszkadzać i sięgnęła po kanapkę z szynką. Dziewczyny dwoiły się i troiły, szy-

kując zakąski i przystawki. Zadbaly o zimne i gorące napoje. Markotna Agnieszka siedziała nieopodal i wpatrywała się w jej partnera, bezmyślnie skubiąc liść zielonej sałaty. Była ubrana naprawdę szalowo, na czarno, a do spódnicy za kolana i rajstop z dużymi oczkami, założyła koronkową bluzkę z szerokimi rękawami, jednak tamten zatańczył z nią tylko raz. Edyta nie pamiętała już tego, kto pierwszy wpadł na pomysł urządzenia wspólnej zabawy. Może ksiądz, a może któryś z lektorów? Sylwester odbywał się – oczywiście – bez alkoholu, bo czy mogło być inaczej w grupie apostołskiej? Nikt z nich nie pił i nie palił, nie mówiąc o narkotykach. Rozejrzała się z dumą po sali, którą sama dekorowała. Płonęły świece i lampki na sięgającej sufitu przystrojonej choince.

Melodia nagle się urwała. Blondas Darek utknął przy magnetofonie i przeglądał kasety z nagraniami. Była ciekawa, co teraz usłyszy. Skłaniała się ku czemuś mniej rytmicznemu.

Był nieco starszy od Edyty i chodził do klasy maturalnej. Przyłączył do ich grupy młodzieżowej przed niespełna rokiem, jednakże szybko się zaadaptował. Teraz majstrował coś przy gryfie i wsłuchiwał się w ciche dźwięki. Zerkła na niego z podziwem, którego wcześniej nigdy nie odczuwała. Nie interesowała się dotąd serio chłopcami i właściwie nigdy nie była zakochana, pominawszy powierzchowne i przemijające fascynacje. I właśnie tego wieczoru, ona... Oczywiście



* Tekst z tomiku „Randka i inne opowiadania”

wyobraźni ujrzała siebie w jego objęciach na studniówce szkolnej. Ta miała przecież wkrótce nadejść. Nie wiedziała, czy znalazł już partnerkę i postanowiła, że sprytnie podpyta go o to w sprzyjającej chwili.

Z głośnika popłynęła melodia, więc zachęcająco zerknęła na chłopaka. Uśmiechnął się, wstał i odłożył gitarę. Poprowadził ją lekko na środek sali. Za nimi poderwało się do tańca kilka innych par. Znowu klaszali w dłonie.

Dopasował się do zwyczajów panujących w grupie i zaczął rychło w niej przewodzić, pod nieobecność księdza Piotra prowadząc ewangeliczne rewizje życia i kręgi biblijne. Edyta, tańcząc, myślała o ostatnim przedświątecznym spotkaniu, w czasie którego pogadywali o różnych sposobach kulturalnego spędzania wolnego czasu. Chłopak inteligentnie łączył różne wątki dyskusji, sprawiając, że stawiała się ona coraz bardziej zajmująca.

Następny utwór był spokojny i kręcąc się powoli po parkiecie mogli ze sobą rozmawiać. Kołysali się w takty melodii. Stan Borys tęsknym głosem śpiewał o tym, że szuka prawdziwego przyjaciela. Ktoś przygasił światła.

– Świetnie tańczysz – powiedziała. – Pewnie ukończyłeś jakiś kurs. A może chodziłeś na lekcje baletu?

Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiły się figlarne ogniki.

– W ogóle jestem utalentowany – rzekł. – Wszechstronnie. Ach, to były żarty. Ty też świetnie tańczysz – dodał. – Kręcisz się jak baletnica. I ani razu nie nadepnęłaś mi na nogę!

Zachichotała. Starła się nie zmylić kroku.



– Mam to po mamie – rzekła. – W młodości była tancerką!

– A ja po tacie – zripostował. – Gdy był chłopcem, grywał na saksofonie!

Parsknęli śmiechem. Edycie przyszło do głowy, że zawsze już tak będą cieszyć się sobą, a wzajemna fascynacja nigdy nie przeminie.

Okolo dwudziestej trzeciej trzydzieści przerwali zabawę. Odziani w białe alby chłopcy służyli do Mszy świętej, a Mirek zaśpiewał psalm responsoryjny. Wybiła północ, kiedy ksiądz przy ołtarzu kończył króciutką homilię, a z miasta dobiegły wybuchy rac. Na ulicach witano Nowy Rok sztucznymi ogniami i petardami, zaś oni w kaplicy składali sobie nawzajem życzenia. Przed pierwszą w nocy wyszli z kościoła. Cicho sypał śnieg i ulice pokryły się warstwą białego puchu. Zostawiali za sobą widoczne ślady, co ich niezmiernie cieszyło. Wojtek wydeptywał, stopa za stopą, duże cyfry. Najpierw ich oczom ukazała się jedyńka, potem dziewiątka, i znowu dziewiątka, wreszcie ponownie jedyńka. Było przy tym trochę krzyku i śmiechu.

Bez pośpiechu wracali do domów. Tu i ówdzie w oknach mieszkań paliły się jasne światła. Inni jeszcze się bawili, nie przejmując się późną porą. Rozstali się na miejskim placu przy sięgającej wysokości drugiego piętra ogromnej choince, obwieszonej kolorowymi żarówkami. Stawiano ją w tym miejscu każdego roku. Dalej Edyta udała się już tylko z Kamilem, gdyż mieszkała przy tej samej co on uliczce. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ciśnie im się na usta podobny temat. Miłali kawiarenkę, z której dobiegały odgłosy zabawy. Wyszpało się z niej akurat kilka osób, widocznie chcących się ochłodzić. Próbowwała ulepić śnieżkę, zgarniając śnieg z parapetu witryny sklepu z zabawkami. Zza szyby wyglądały lale, a pluszowy miś słodko się uśmiechał. Pomyślała o Mirku, zaś słowa popłynęły same.

– Wiesz? To fajny chłopak, prawdziwy kumpel, nie? – rzekła do Kamila. – Chciałabym się z nim zaprzyjaźnić.

Wyrzuciła to z siebie bez namysłu, nie dodając, o kogo jej chodzi.

Przytaknął, myślami będąc gdzieś daleko. Miał w ustach resztki gumy do żucia.

– Nie ty pierwsza na to wpadłaś – wypuł je i odpowiedział. Próbował również ulepić gałkę ze śniegu. Cisnął nią mocno i poszybowała w powietrzu, lądując na dachu stojącego nieopodal poloneza. – Ale nie wiesz o nim wszystkiego!..

– Wszystkiego?! – jego ostatnie słowa zabrzmiały jak wystrzał. Zatrzymała się, czując, że raptem zabrakło

jej tchu. Nieufnie zlustrowała kolegę. – Chyba nie jest to żadną tajemnicą?

– Oczywiście, że nie – uspokoił dziewczynę.

Ruszyli dalej. Asfaltowa szosa biegła między partelowymi domkami o stromych dachach, krytych dachówką. Latarnie stały nieco rzadziej i była zadowolona, że nie widać jej twarzy, na której rysowały się sprzeczne uczucia, to radości, to zmieszania, to lęku.

– On się wybiera do seminarium duchownego – wyjął, wbijając jej szpilę w serce.

Spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. Trzymana w ręce kula śniegu stała się naraz bardzo ciężka i upuściła ją, jakby chcąc pozbyć się uciążliwego balastu.

– Jesteś pewien? – zapytała, nie wierząc własnym uszom.

– Jak najbardziej – potwierdził z powagą. – Niektórzy z naszej grupy już o tym wiedzą. Dziwne, że nikt ci wcześniej nie powiedział. Przecież ksiądz Piotr o tym wspominał.

Podniosła kołnierz kożucha i mocniej zawiązała szalik. Dalej szli w zupełnym milczeniu. „Taki cudowny chłopiec!” – pomyślała z żalem. Czy mogła mieć do kogoś o to pretensje? Krwawiło jej serce. Mijali właśnie ostatnie skrzyżowanie i przypomniała sobie raptem o życzeniach, które mu nieopatrznie złożyła. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z treści słów, które rzuciła do Mirka, całując go potem w oba policzki. Gdyby wcześniej знаła jego skryte zamiary, na pewno by ich od niej nie usłyszał.

Przybita i markotna, rozstała się z Kamilem. Podała mu lodowatą dłoń na pożegnanie i pchnęła furtkę. Ta przymarznęta cicho zaskrzypiała. Jej najwierniejszy czworonożny przyjaciel wybiegł z głębi ogrodu, machając radośnie ogonem na powitanie. Pogłaskała go po kudłatym łbie, zapiszczała i liznęła ją po twarzy. Na ganku zatrzymała się na krótką chwilę, spoglądając na widoczne na czarnym niebie gwiazdy.

– Do siego roku! – w mroku nocy z rozmysłem rzuciła w stronę okrytych chochołami krzewów róż.

Psiak zaszczekał, podskakując jej do ramion i do piersi. Nie wiedział jednak, bo jakże miał wiedzieć, że to przepełnione żalem pozdrowienie nie było skierowane do niego.

– Niech się ziści to, co Bóg wobec ciebie zamierzył – dodała cicho, gdy znalazła się już w korytarzu. Otarła łzę z policzka. Dokładnie tak brzmiały słowa, które w kościele bezwiednie rzuciła do chłopaka. „Niech się ziści, co Bóg wobec ciebie zamierzył!” – powtórzyła w myślach, czując, że tylko to się liczy. Czy mogło być coś ważniejszego?

Edward GUZIAKIEWICZ



Urodził się w 1952 w Mielcu. Pisarz, dziennikarz kulturalny i self-publisher. Członek Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Polskich Mediów. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Jego młodzieńczą biografię wzbogaca zaangażowanie w działalność Ruchu Światło-Życie oraz wspólnot neokatechumenatu.

Po studiach uniwersyteckich wciągnęły go publicystyka i dziennikarstwo z racji związków z tygodnikiem „Gość Niedzielny”, na łamach którego zamieszczał pierwsze teksty.

Od lat 80. XX w. zajmuje się twórczością literacką, mieszczącą się w trzech nurtach: dziecięcym, młodzieżowym i fantastyczno-naukowym. Jego dorobek twórczy obejmuje szereg powieści, mikropowieści i opowiadań, dramat, ponadto poradniki dla młodzieży (know-how), nie licząc publikacji prasowych oraz drobnych utworów poetyckich. Należy do twórców, kładących nacisk na obecność w Internecie.

Edward Guziakiewicz o sobie...

W przestrzeniach poezji i prozy odnajduję swoistą alternatywę dla moich osobistych doświadczeń i przeżyć. Przetwarzam świat, który widzę wokół siebie, pokazując, że może być lepszy, pełniejszy i że może zawierać więcej barw. Powstają więc utwory z przesłaniem.

Nie unikam również twórczych deformacji, szczególnie w fantastyce. Jak zauważa dr Zofia Brzuchowska z Uniwersytetu Rzeszowskiego, kiedy odwołuję się do konwencji science fiction, operuję dosyć przewrotnie kalkami kultury masowej i tworzę parodię postmodernistycznej obyczajowości.

Teksty dla nastolatków są najczęściej swoistym fotograficznym zapisem młodej świadomości, szczerzej, świeżej i dalekiej od zepsucia, cechującego często świat dorosłych. Ukazują ich w różnych, niewralgicznych momentach ich życia, najczęściej w obliczu ważnych, a jednocześnie głęboko ukrytych wyborów egzystencjalnych.

„Z głową pełną lasu” WIERSE EDWARDA MARSZAŁKA

LASOM ŚPIEWAM

Póki struna w gitarze choć jedna,
Nie pękniemy jak garnki gliniane.
Zaśpiewamy pieśń nieśmiertelną
Nocą sami a z ptakami nad ranem.

Z gardła chrypi rezonans świerkowy,
Górą buczyn zawodzą fagoty.
Huk potoku dał głos jaworowi,
Idą dęby ku jodłom w zaloty.

Nowe w lesie porządki i zieleni;
Gra kapela pod dębem, pod grubym,
Wielkie w lesie będzie wesele –
Drzewa mają dziś swoje śluby.

Dobrze wiem już, że niewielu
Może nas na weselu zagościć;
Drzewa proszą nas, przyjacielu,
Nie z przymusu, lecz po znajomości.

Trąćmy strunę ostatnią, niech zadrży,
Z równowagi wytrąci ten świat.
Nie zważajmy na ludzi – las patrzy,
Czeka naszej pieśni idącej pod wiatr.



„Z głową pełną lasu” – portret Edwarda Marszałka

Lasom śpiewam i nie słucham plotek,
Co już pewnie idą przez wieś.
Lasom śpiewam – myślę tylko o tym!
Siebie i muzy mam gdzieś.



CMENTARZ ŁEMKOWSKI

Mogiłki ukryły przeszłość
całej wsi

Jesionem i lipą
skrzypią dzieje
nadziane na losów
tryzubowy widelec

Beznadzieja porasta bluszczem
krzyże
pod barwinkiem
pokrzywione w pokrzywach
między śmiercią a snem
łem
łem
łem



KALINA

Koralowa nadzieja kochanków
przez Beskid się skrada
jak zdrada

Na pogrzeb i wesele
na niewinność i młodość
na mnogość ludzkich wcieleń

Niech z nami zostanie
na zabawę i taniec
na korale dziewczynom
na wieczorne Polaków śpiewanie:

*Kto pójdzie górą,
A kto dolinę?*

*Kto zakwitnie różą,
A kto kaliną?*



LITANIA DO DRZEW

Sosno ludzkich sumień, rozdarta do nieba,
Rozgrzesz, gdy trzeba.

Lipo, znużona poetów strofami,
Zabrzęcz pszczołami.

Buku, zbołały od armat huku,
Ucz nas rozumu.

Kochanków świadku, jaworze luby,
Przyjmij ich śluby.

Ty, szorstki brzoście, dziuple swe ptakom
Otwórz na oścież.

Świerku, co rośniesz z byle kamienia,
Rzuć cię wychnienia.

Dębie mocarny, siła w twym ciele,
Użycz jej wiele.

Jodło, co szumisz na górskim szczycie,
Daj siłę życia.

Człowiek się modli, drzewa słuchają,
Jak w świętym gaju.



SZEPTY GÓR

Idzie za mną przez wieś i miasto
i nie cichnie pod wieczór i siedzi
we mnie samym ten szept i narasta
jak grzech i pytanie bez odpowiedzi

Może czas przestać po Beskidzie ganiać
niech się szepty gór we mnie wyciszą
ale coś dużo mają mi do przekazania
coraz więcej też chcę od nich usłyszeć

Muszę kajet wyjąć z kieszeni
i zapisać na gorąco z nasłuchu
by czasami na drobne nie rozmienić
o czym góry mi szepcą do ucha

Odbijają się kolejnym echem
wieści z dawnych i z tych nowszych czasów
czujnie słucham prawie na bezdechu
szepców gór i podszeptów lasu



CHODZĄC PO CHODAKU*

Ożywają duchy kresowych rycerzy
Od chreptiowskiej stancy.
Pan Michał jak archanioł ku rubieżom
Bieży na czele konnicy.

Hej, wietrze, mały pułkowniku,
Wiej w dzikie pola dmuchawce
Zakrwawione karminem goździków,
Zabielone krwawnikiem, wyżółcone dziurawcem.

Niech się sięją aż po porohy dniewprowe
Ostrożenie, co ostrożnie szeleszczą.
Niech głuszą kroki jeleni płowych
I kruków krakanie złowieszczę.

Jakby nienawiści nie było już dosyć,
Krzyk się niesie złowrogi, bez potrzeby;
A łąki, co dawno nie widziały kosy,
Ciupagami jałowców wygrażają niebu.

Krzyczą: spokojnych czasów koniec,
Dzikie pola ktoś znów chce zadiablić;
Znów od wschodu słyhać rzenie koni –
Pana Michała brak tylko i jego szabli.

Ponuro mruczą w trawach świerszcze,
Żab rechot idzie i szepty ciche ptaków,
I kłują się pisklęta moich wierszy,
Gdy końcem lata chodzę po Chodaku.



CZAS LEŚNYCH ŚWIĘTYCH

W kapliczkach słów
drzemią moje świętutki
dłubane
cudzym dłutem

* Wzgórze nad Lutowiskami, gdzie w latach 60. XX w. realizowano zdjęcia do „Przygód Pana Michała”

Święty Mikołaj
 znieczulony
 miłosiernym spojrzeniem
 Matki Boskiej Pękałskiego
 z Balnicy
 drętwieje
 widząc Świętego Józefa
 cieślę z siekierą

Drżący z zimnicy
 Frasobliwy uchylił kapelusza
 słucha wilków skowytu
 co lasu głuszę
 zagłusza

Święty Trybald
 z wypału
 dziegiem smaruje
 i węglem sypie
 wisi jak wryty
 w pniu lipy
 pod Otrytem

Kwiatki świętego Franciszka
 rozkwitły po lasach
 smotrawy baldaszkiem
 złotogłowiem leliji
 na łąkach
 na wypasach

Dzwonki dzwonią
 na mszę z ptakami
 polowy ołtarz
 pajęczych nici rozpięty
 między jodeł kolumnami
 na modlitwę leśnych świętych
 na odkupienie win
 na odpust bez kary
 na pokutę
 w kapliczkach
 w leśnych śladach wiary



WOŁANIE

Goprowcom bieszczadzkim

Góry wołają na nocny taniec.
 Idziesz bez łaski, sam się prosisz
 być na wezwanie.

Gdzieś w stronę Rawki
 graniczna strefa, tam wilki wyją.
 „Skrajnie zmęczeni!” – skrzeczy telefon –
 „musicie zdążyć, nim jeszcze żyją...!”

Miarowe kroki, oszczędne ruchy,
 równe oddechy, wiatru podmuchy;
 drobiny lodu pod powiekami
 patrzeć nie dają – „Tamci... czy wytrzymają?”

Oni zapewne tylko czekają,
 Zamarzną siedząc! Muszą się ruszyć!
 Chyba to wiedzą? Ale czy czują?
 Pewnie chcą żyć, lecz kto ich zmusi?

„Czekać spokojnie!” – dobrze powiedzieć,
 Nam ciepło, łatwo i szlak nas wiedzie.
 Łatwiej też siły z siebie wydusić,
 Kiedy masz pewność, że przecież musisz.



BRZEGIEM POŁONINY

Od rana chodzę w szronie,
 w wytartych dzinsach buków leciwych;
 w kieszenie dziupli zanurzam dłonie
 i gwizdę z wiatrem kołomyjki kłótlive.

Jak marynarz na morzu uśmiecham się błogo
 uśmiechem nie całkiem dzisiejszym
 i krok niepewny nadaję swym nogom.
 Niech rzuca się w oczy, żem swój – tutejszy.

Szurają buty zdarte od mieszania błota;
 one też o czymś tam sobie marzą.
 Wystarczy szum wiatru bez fali łoskotu.
 Idę brzegiem połoniny – moją górską plażą.



CHORAŁ NIECAŁKIEM GREGORIAŃSKI

Rury trombit podnieśli
 Zgodnym chórem
 Zaśpiewali swoje pieśni
 Wznieśli toast za góry

Wiele dziewczyn jest na świecie
Ale chłopcy w jaworinie
Mały rycerz w step szeroki
Pas czerwony dumnie płynie

I buczała bukowina
Belonem zbudzona
Porudziały borowiny
Harasymem kraszone

Trzeba było trawę
Do tańca zaprosić
Na czworakach kozaka
Z nią płaść po rosie

Potem w huku potoku
Co w głowie już wzbierał
Wrota nocy na oścież
Otwierać! O-twie-raaać!!!



CMENTARZ WOJENNY W BANICY*

Wiatry świszczą zuchwałe
Gdzie wiek temu
Z okopów kule
Dziś tuzin honwedów
I mendeł kozaków
Matka ziemia przytula

Na stoku niżej i wyżej
Zapadli w nicość
I pręzą się krzyże
Z modrzewia
W jednym szeregu
Nad Banicą

Szept nart w śniegu
Jak dotyk nieśmiertelnika
Bez pienia chóru
Bez dzwonów
Za spokój wśród gór

I pamięć uczczona szusem
Odbicia kijów jak paciorki odliczam

Za wojaków dusze
Za dzieło Dušana Jurkoviča



W BENIOWEJ

Ryba z kamienia nie ma głosu
wiatr tylko śpiewa *pomyłuj Hospody*
i kolibę kolebie czesząc trawie włosy
San toczy swe wody

W trawę wdeptane szkło
ze stopionych witraży
czasem zapali tu świeczkę
ktoś o ludzkiej twarzy

Dawny cmentarz rusiński
o modlitwę prosi
na piaskowcu lilia niezwiędła
i dzban który wody nie nosił

Więć co tu była
wiatry przemijania starły

W cieniu lipy
oczekuję wskrzeszenia umarłych



LASU PRZYBYWANIE

Z głową pełną lasu
z ukrycia
z drzewami gadam
jak z bliskimi
bo mi życie
wypadło
między nimi

Przyglądam się krukowi
krążącemu
nad padliną
buków

Ich martwe pnie
wyłożę jedliną
pamięci znicze zapalę
z czołem odkrytym
ale na traki tartaczne

* Banica w Beskidzie Niskim, wyludniona miejscowość, w której w okresie I wojny światowej toczyły się ciężkie walki w ramach tzw. operacji gorlickiej. Cmentarz poległych tu żołnierzy projektował słynny architekt Dušan Jurkovič

nie patrzę z wyrzutem
hipokryty

W każdej szczapie
Wsuniętej w gardło pieca
widzę kromkę
chleba

Chcę nazbierać grzybów i jeżyn
na sarny się pogapić
wiatru opowieściom zawierzyć
z lasu wrócić
jak z nieba

Korony drzew do snu kołyszę
pieśń nucąc Bogu miłą
i słyszę szept szyszek

Tyle we mnie lasu
przybyło



TURZYCOWY WIANEK

Idę rymem trawiony
wśród traw Bieszczadów
z niebytu spraw wyławiam
strofy nienapisane

Zajęci zaklinaniem buków
wierzymy
w trwałość wierszy
musiały tu być pierwsze
skoro są góry
i rymy

Nietrwałym ceniom nieobecnych
niepamięci wiję wianek
z turzycy
własnym butem zdeptanej

Zapalę ogień nowy
na pamięć
na przetrwanie
wielki uwiję wianek
turzycowy

Płomień go strawi
nad ranem



BLIŻEJ LASU

Jak się nauczyć dużego miasta,
gdzie w ulic korytarzach
ludzie twarze tracą,
a nad głowami po chodniku
sunie błędny wzrok
niemyślących pracoholików.

Jak tu widokiem ludzi
oczu nie strudzić do końca,
gdy ich twarze z bliska płaskie jak ekrany
przywiązane do sznurków komórek?

Żadnej pewności, że mają nazwisko
i resztki swej osobowości,
która w łaskawości swej,
jak mamrot, wymamrocze: sorki, okay!

A bliżej lasu łatwiej o ludzkie oblicze,
co grymasi, uśmiecha się, ponarzeka,
da poznać swe złe i dobre zamiary,
na „dzień dobry” odpowie,
kichniesz – krzyknie: „na zdrowie!”
Pozazdrości, przygani, podjudzi –
w końcu ludzka istota
najbardziej podobna do ludzi.

Dlatego trzeba zawczasu,
szukając człowieka,
gdzieś bliżej lasu
na niego poczekać.



SKORODNE

Świętym ikonom
włosy już bieleją
oczy wysychają
gdy ukradkiem
przez opłotki
przez potoków węże
do sadów się skradają

A skoro świt
skoro dnieje
w Skorodnem
nucą anielice tarnin
godzinki

Z każdej jabłoni
 zdziczała
 rozpacz spada
 jabłkiem dzwoni na trwogę
 i niesie w las
 żale z dziada pradziada

Nie idzie przez wieś
 klangor żurawi znad cembrowiny
 zatrutych studni
 co wody w usta nabrały

Czas płynie łagodnie
 zajęty gojeniem ran
 w Skorodnem



WZDŁUŻ SANU

Łatwiej z przełęczy
 wodospadem spadać
 po stoku zbiegać
 niż przełamywać
 lody między ludźmi
 na obu rzeki brzegach

Trawy wyczesać
 czochrane wiatrem
 pstrągi wyluskać pod włos
 na cały głos wykrzyzczyć
 rzeki samotność
 i spłynąć na Hulskie

Tam brodom
 pokłonią się
 czarne bociany
 i łby zanurzą czerwone
 po szyje
 gdzie Eskulap Sanu
 pod Tworylnem
 z bólu się wije



Edward MARSZAŁEK



Mgr prawa, dr nauk leśnych. Pracuje jako rzecznik prasowy Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie. Udziela się społecznie jako ratownik ochotnik w Grupie Bieszczadzkiej GOPR. Członek Rady Programowej dwutygodnika „Las Polski”. Członek honorowy Speleoklubu Beskidzkiego. Członek Polskiego Towarzystwa Leśnego i Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Leśnictwa i Drzewnictwa. W rodzinnym Krościenku Wyżnym pełni funkcję prezesa Stowarzyszenia Kulturalnego „Dębina”.

Autor i redaktor kilkunastu publikacji książkowych (m. in. „Leśne opowieści z Beskidu”, „Z karpackich lasów”, „Ballady o drzewach”, „Skarby podkarpackich lasów”, „Leśne ślady wiary”, „Wołanie z połonin”, „Żubr przywrócony górcom”, „Od siekiery, czyli wstęp do topologii” oraz tekstów do albumów „W lasach Podkarpacia” i „Lasy Polski”). Na łamach ogólnopolskiej prasy przyrodniczo-leśnej opublikował ponad 400 artykułów.

Laureat m.in.:

- głównej nagrody w Turnieju Jednego Wiersza na Ogólnopolskim Festiwalu Sztuk Różnych „Bieszczadzkie Anioły” w 2003 roku;
- nagrody Podkarpacki Dziennikarz Roku 2004 za cykl artykułów w kwartalniku „Echo Połonin”;
- nagrody im. Dyrektora Adama Loreta przyznanej przez Dyrektora Generalnego Lasów Państwowych za publikacje promujące leśnictwo (2005);
- tytułu „Leśnik Roku 2006” nadany przez kapitułę „Przeglądu leśniczego” w Poznaniu;
- Mistrz Mowy Polskiej 2014.

„Czym dla mnie jest poezja? Nie wiem! Ja się na tym nie znam! Czasem tylko jakiś – przepraszam poetów – wiersz napiszę.

Uwierzcie mi.”

Edward Marszałek

TANIEC – DOBRY NA WSZYSTKO

Radość, śmiech, łzy szczęścia, wzruszenia... To jest właśnie TO, za co kocham taniec. Oderwanie się od świata, poczucie bycia piękną... Tak, dzięki tańcowi to wszystko jest możliwe. Emocje są bowiem tutaj pięknym, nieodłącznym elementem i zdecydowanie grają „pierwsze skrzypce”. Bez emocji – nie ma tańca! To dzięki nim nabiera on „barw”, uroku, gracji. Nie jest tylko suchym, odtańczonym układem, a czystą, wyrażoną poezją, którą ukazuje tancerz na parkiecie. Tak jak człowiek nie mógłby żyć bez serca, gdyż jest to najważniejszy organ w naszym ciele, tak i taniec nie ma racji bytu bez emocji włożonych w każdy krok. Ja osobiście, odkąd zostałam trenerką Zumbi, muszę przyznać, że odczuwam te emocje podwójnie. Najbardziej lubię ten moment tuż po zajęciach, gdy widzę, co prawda zmęczone, ale uśmiechnięte, pewne siebie kobiety, które jeszcze zaledwie godzinę wcześniej były nieśmiałe i zakompleksione niczym nastolatki. To taniec pozwolił im się otworzyć, poczuć się wolną, zaakceptować siebie. Nie chodzi tu tylko o perfekcyjnie odtańczony układ, ale właśnie o takie poczucie własnej wartości, wyzbycie się pewnych obaw, poznawanie siebie. To jest właśnie to, co najistotniejsze w tym wszystkim i co nam daje taniec. Z prawdziwą radością i dumą patrzę, jak z treningu na trening przychodzą coraz to piękniejsze, pewniejsze, i proszą o „jeszcze trudniejsze” układy, bo przecież wcześniejsze już opanowały, dzielnie ćwicząc w domu. Dla mnie, jako trenerki, jest



to najlepsza nagroda, gdyż widzę, że moja praca, mój czas, który przeznaczam na wymyślanie przeróżnych choreografii – nie idzie na marne. Uśmiech na twarzach moich „zumbistek” jest absolutnie bezcenny – i to on jest dla mnie największą zapłatą. Gdy jakiś czas temu postanowiłam zostać trenerką tej właśnie formy tańca i wybrałam się na pierwsze szkolenie umożliwiające mi później prowadzenie zajęć, nie sądziłam, że aż tak mocno wpadnę w te „sidła”. Zumba jednak tak kompletnie zakręciła mi w głowie, że absolutnie oszalałam na jej punkcie! Najbardziej spodobało mi się to, że jest przede wszystkim bardzo radosnym tańcem, wyzwalającym ogromne pokłady pozytywnej energii. A, że należę do osób, które optymistycznie przemierzają przez życie, to na dobre utożsamiałam się z moją już teraz najlepszą przyjaciółką, czyli – ZUMBA. Mówi się, że człowiek uczy się przez całe życie i że na każdym kroku może go spotkać coś niesamowitego. Absolutnie zgadzam się z tym stwierdzeniem i wydaję mi się, że doskonale mogę to odnieść do swojej przygody z tańcem. Bo to właśnie „on” był, a właściwie jest moim najlepszym nauczycielem. Jestem bowiem tą szczęściarą, która napotkała na swojej drodze „coś niesamowitego” i czym mogę dzielić się z innymi, zarażając ich swoją pasją i energią. Tak... taniec zdecydowanie odegrał w moim życiu znaczącą rolę. I to dlatego jestem dzisiaj taką, a nie inną osobą. Gdy tylko przypomnę sobie moje trudne początki, to aż nie mogę się nadziwić, że to JA jestem teraz trenerką i uczę tańczyć innych. Od małej, nieśmiałej dziewczynki – do pewnej siebie tancerki, świadomej swojej kobiecości, przeszłam długą drogę. Tak, jak napisałam, to taniec był moim nauczycielem i to on jest sprawcą zmian, które przeszłam. Dał mi bowiem najlepszą lekcję życia, bo nadał, po pierwsze, przebojowości mojej osobie, która jest tak bardzo cenną cechą w dzisiejszych czasach, ale nauczył także pewnej pokory i cierpliwości, i tego, że nie zawsze od życia dostanę wszystko „na już”. Dostanę bowiem tyle, ile sama pracy w to włożę. I tak oto zostałam trenerką zumbi, chodząc dzielnie na wszystkie treningi, szkolenia, ucząc się pod okiem profesjonalistów w tej dziedzinie, znosząc każdą porażkę czy potknięcie, aż w końcu sama doszłam do perfekcji. Na moich zajęciach chcę nie tylko zarazić tańcem moje uczestniczki, ale właśnie nauczyć ich takiej świadomości o możliwościach własnego ciała, bo jeżeli ktoś czuje się pewnie w

tańcu, to nie ma już krótszej drogi do osiągnięcia sukcesu. Jak pokochamy siebie, to pokocha nas cały świat! I to jest właśnie moje motto na zajęciach. Zumba to nie tylko forma tańca, ale i pewien „styl życia”. Idealna tancerka zumbi to właśnie pozytywna, pewna siebie, energiczna kobieta, bawiąca się w rytm muzyki, wyzbyta wszelkich kompleksów. Jest tylko ona i taniec, któremu się poddaje w szaleństwie. Oczywiście w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Moje zajęcia więc, dodam to skromnie, cieszą się dużą popularnością wśród kobiet, bo taka forma tańca, jak zumba, jest absolutnie dla każdego, bez względu na wiek, płeć – choć w absolutnej większości uczestnicy moich zajęć to przede wszystkim płeć żeńska. Moja w tym jednak głowa, aby to się zmieniło i w niedalekiej przyszłości. Mam taką nadzieję, że na zumbę będą przychodzić także mężczyźni. Podsumowując, mogę posłużyć się pewnym pięknym cytatem, który jest moim ulubionym dotyczącym tańca i także najlepiej go opisującym: „*O tańcu nie da się pisać, taniec trzeba tańczyć*”. Nie zrozumie go w pełni zatem ten, kto nigdy nie miał z nim do czynienia.

Beata ONISZCZUK

*Studentka wydziału dziennikarstwa
w Społecznej Akademii Nauk
Warszawa*



ZUMBA – taniec zainspirowany połączeniem elementów tańców latynoamerykańskich oraz elementów fitness. Został opracowany przez tancerza i choreografa Alberto „Beto” Pereza w Kolumbii w latach 90. XX wieku.

Zumba zawiera w sobie elementy tańca i aerobiku. Choreografia Zumbi łączy hip-hop, soca, samba, salsa, merengę, mambo, sztuki walki, oraz elementy Bollywood i tańca brzucha. Wykorzystywane są także elementy treningu siłowego (squat, lunge). Prowadzenie treningów Zumbi nie wymaga opłat licencyjnych od siłowni lub klubów fitness – licencję muszą uzyskać indywidualni instruktorzy.

Poza podstawowym rodzajem Zumbi (Zumba Fitness) wykształciły się także bardziej specyficzne jej rodzaje, których ciągle przybywa. Można korzystać z takich odmian Zumbi jak: Zumbini, Toning, Sentao, Gold, Gold Toning, Zumbatomic, Zumba Kids, Aquazumba czy In the circuit.



LEGENDY LIPSKIE (cz. IV)

Kapliczka

Po okolicznych wsiach i lasach jest niezliczona liczba krzyży i kapliczek. Jedne są ładne, inne mniej udane. Jedne są malutkie na drzewach jak karmniki dla ptaków, inne większe, posadowione na ziemi, zazwyczaj otoczone drzewami lub krzewami. Jedno, co łączy wszystkie bez wyjątku to fakt, że są postawione na chwałę Boga i mają swoją historię.

Jest jedna malutka kapliczka w lesie między Lipą i Goliszowcem. Nazywana jest przez miejscowych Chmurową kapliczką. Z Chmurami ma tyle wspólnego, że stoi na ich działce leśnej przy drodze. Jest nad wyraz skromna, ale wartościowa. Już kilkakrotnie odnawiana świadczy o pewnym zdarzeniu, które powoli odchodzi w zapomnienie.

Kiedyś Goliszowiec był bardzo mocno związany z Lipą. Tam były łąki lipskie, działki lipskie. Ludzie się żenili między sobą, a także dużo ludzi z Goliszowca pracowało w Lipie w zakładach i na kolei. Było to przed wojną. Jeden z gospodarzy lipskich miał wesele na Goliszowcu. Jak to zwykle bywało, była to okazja do wspólnej biesiady, rozmów oraz spotkania znajomych i rodziny. Przyszedł czas odjazdu do domu, ale nasz weselnik ani myślał wsiadać na furmankę. Nic nie skutkowało. Ani prośby, ani groźby. Chłop jeszcze zadeklarował, że jak mu nie dadzą spokoju, to zobaczą. I niech do domu jadą, jak im tak pasuje.

Żona, widząc opór i znając upartość męża, zrezygnowała z dalszych prób namowy go do powrotu. Zrezygnowana rzuciła:

– Niech cię diabli wezmą!

– Lepiej mi z diabłami, niż z tobą – odparł mąż.

I zajął się dalej rozmowami ze znajomymi. Albowiem nigdy lepiej nie wychodzi rozmowa na weselu niż wówczas, jak cała marynarka od garnituru udekorowana jest kreskami z kredy.

Tak jak wszystko, tak i to wesele musiało się skończyć i trzeba było wracać do domu. Tyle tylko, że na własnych nogach. Ruszył tedy nasz weselnik w stronę Lipy. Jako się rzekło, cała marynarka była pokreślona kredą, a każda kreska to „pięćdziesiątka” samogonu. Tak dawniej znaczone wypity alkohol w naszych strojach.

Droga była długa, nierówna, noc ciemna, a w głowie potężnie szumiało. Szedł tedy chłopina, tyle tylko, że nijak nie mógł pomiarkować, gdzie jest. Łaził po jakichś gąszczach, smugach i pagórkach. Pomimo że w lesie wychowany, w żaden sposób nie wiedział, jak odnaleźć właściwy kierunek. Przysiadł zatem na zwalonym drzewie i myśli.

– Jak tu natrafić na znajomy kawałek drogi? Przecież chodzę już pół nocy i diabeł jeden wie, gdzie jestem. Jak tu trafić? Siły coraz mniej, pić się chce, a ratunku nie ma.

Jeszcze dobrze nie skończył, jak od moczarów pokazała się słaba smuga światła i zaczęła sunąć w jego stronę.

– Ki diabeł – pomyślał chłop. – Pewno mnie szukają, jednak martwili się o mnie.

Pomyślał ciepło o żonie i najstarszym chłopaku, z którym się najlepiej rozumieli. Światelko zgąsło przed nim, a spomiędzy drzew wyłonił się jakiś stwór – ni człowiek, ni jeleń. Chłop zamarł.

– Jako myślisz, tako jestem – rzekł stwór.

– Ktoś ty? – wymamrotał chłop.

– No, jak kto? Jam jest diabeł Mazurowski. Tyś jest na moim terenie. Dopiero co pomyślałeś, że diabeł wie, gdzie jesteś. Tedy przybyłem, aby nieść ci pomoc. A zażyłeś na nią na weselu jak nic. Tego obgadałeś, owemu dałeś w twarz, gorzałki wypiełeś za trzech, a na koniec obraziłeś żonę i dzieci. Tak, przysłużyłeś mi się dobrze, dlatego należy ci się moja pomoc. Jeszcze tylko solennie mi przyrzeknij, że postępowania nie zmienisz. Dalej będziesz pił, bił i raz na rok tu się spotkamy, to



zdasz mi relację. A może uda ci się jeszcze kogoś dla mnie zdobyć?

Diabeł mówił, a chłop przypominał sobie wszystko, co zaszło. Wszystko się zgadzało.

– A jak nie będę chciał mieć spółki z tobą? – spytał chłop nieśmiało.

– To żywy stąd nie wyjdiesz. Będę cię dotąd wodził po lesie, aż ducha mi oddasz.

– Słuchaj, kosmaty. Ducha oddam nie tobie, ale Bogu. Na żadne cyrografy z tobą nie pójdę. A teraz ruszam i ile siły jeszcze mam, tyle będę drogi szukał do domu.

Chłop wstał, przeżegnał się i ruszył przed siebie. Modlił się do świętego Antoniego, aby mu drogę do domu pomógł znaleźć. Cisza i ciemność w lesie nastała nieprzenikniona. Chłop ze strachu zaczął trzeźwieć. Pod nogami poczuł drogę i pomyślał, że każda droga gdzieś prowadzi. Spojrzał w górę. Pomiędzy koronami sosen widać było przesmyk nad drogą i kawałek ciemnego nieba. Chłop przyspieszył kroku. Nagle usłyszał, jak drzewa zaczynają szumieć głośniejsze i głośniejsze. Z lasu dochodził szept diabła:

– Nie uciekniesz przede mną.

Chłop zaczął biec, wiatr nasilał się. Drzewa chwiały się niebezpiecznie tak, że korony dostawały niemal do ziemi. Chłop biegł coraz szybciej. Wokół rozpętało się piekło burzy. W pewnej chwili gałąź spadająca z sosny uderzyła go lekko w głowę. Przewrócił się na drogę i... wszystko ustało. Nastała cisza. Powoli podniósł się i zaczął iść. Burza znów nadchodziła. Zaczął znowu biec ile siły w nogach. Za sobą słyszał ryk wiatru, spadające gałęzie i straszny szept:

– Nie uciekniesz.

Bez siły wybiegł z lasu na pola i upadł. Wszystko ustało. Długo leżał. Widział, jak na wschodzie nad Krasnolasem powoli zaczyna się rozwidniać.

– Poleżę tu aż się rozwidni – pomyślał.

Do domu doszedł ledwo żywy. Ciężko zachorował. Nikt nie mógł dociec powodu tak szybkiej choroby i utraty sił.

W Goliszowcu mieszkał znachor. Ten przyjechał furmanką i wysłuchał opowieści chorego chłopca.

– Słuchajcie – rzekł. – Trzeba własnoręcznie zrobić i powiesić krzyż lub kapliczkę w miejscu, gdzie spotkaliście diabła. Pamiętacie gdzie to mogło być?

– Tak na pewno to nie – odparł chłop.

– To gdy jako tako dojdziecie do zdrowia, dajcie mi znać.

Po dwóch miesiącach od tej rozmowy spotkali się w lesie. Długo chodzili i szukali miejsca, gdzie mogło dojść do spotkania z diabłem Mazurowskim. Jest takie miejsce, które miejscowi nazywają Rowki.

– To było tu, tak czuję – rzekł znachor. – Tu, na tym drzewie powieście kapliczkę. Ona ochroni was i innych przed takim spotkaniem.

Kapliczka zawisała na drzewie. Mała, skromna, zrobiona ręką prostego lipskiego chłopca. Już wiele razy od tego czasu była odnawiana i przerabiana. Ale dalej trwa.

Legendę tę słyszałem jako mały chłopiec. Gdy patrzyłem na tę kapliczkę, przed oczami widziałem tego chłopca. I tego diabła. Słyszałem tę burzę, która goniła chłopca i słyszałem wiatr. Ta kapliczka opowiada, że trzeba tylko przystanąć, pomodlić się przy niej i umieć jej posłuchać.

Obok tej kapliczki jako chłopak rąbałem drzewo do domu. Tam mieliśmy swoją działkę leśną. Na szczęście Mazurowskiego nie spotkałem póki co. Może to zasługa kapliczki? Zastanawiało mnie, dlaczego tam zawsze słychać wiatr w koronach drzew? Zawsze!

Znachor z Goliszowca

Kiedyś w puszczańskich osadach lasów lipskich ciężko było o lekarza. Lecz ludzie chorowali tak samo, jak wszędzie. Ktoś musiał tym ludziom pomagać. W każdej z tych wsi i osad mieszkał lokalny znachor. Znał się na ziołach, trochę na psychice ludzkiej, ale najważniejsze co umiał, to nawiązywać kontakt z duchami. Tymi dobrymi – duchami zmarłych, lecz także – nieestety – tymi złymi.

Jako dziecko z otwartymi ustami słuchałem opowieści mojej babki, jak to w Lipie stawiała bańki chorym, wylewała воск, leczyła opuchnięcia krów jadem żmij. Ale nic mnie tak nie poruszało jak to, gdy opowiadała o wzywaniu jej do ubierania umarłych i – co za tym idzie – odmawiania w domu zmarłego modlitwy różańcowej. Opowiadała mi kiedyś, jak to pewnego razu podczas ubierania zmarła uniosła głowę, spojrzała na nią i wydała ostatnie tchnienie. Uderzało mnie, że gdy wylewała воск nad dzieckiem lub robiła inne gusła, zawsze, ale to zawsze zaczynała od modlitwy.

Dlaczego to takie ważne? To się okaże dalej. Ale moja babka do pięt nie dorastała znachorowi z Goliszowca. Nikt już nie zna jego imienia i nie wskaże do-

kładnie miejsca, gdzie mieszkał. Myślę, że jeżeli nie znalazłby się na tych kartkach, pamięć o nim umarłaby razem ze mną. A tak... jest jakaś nadzieja.

Dawno temu, gdy ludzie żyli wolniej i krócej, mieli mniej, ale byli bardziej szczęśliwi, jako się rzekło, w Goliszowcu mieszkał znachor. Sława jego sięgała daleko, dlatego też zjeżdżali się ludzie z całej okolicy po porady i dla ratowania zdrowia, bo był przy tym bardzo dobrym zielarzem.

Legendsy o nim chodziły, jak to każdego wyleczy i ma bardzo dobry kontakt z duchami. Trwało to długie lata. Aż pewnego ranka znaleziono go ledwo żywego przy drodze do Lipy na Białych Górach. Wokół leżały porozrzucane snopki słomy.

Znachor od zawsze mieszkał w Goliszowcu. Pracował w polu i przy gospodarce. Obok wsi był post graniczny wachty carskiej Goliszowiec i stacjonowały wojska ochrony granicy.

Służbę pełnił lejtnant podporucznik w średnim wieku, którego żona i dwie córki mieszkaly w głębi Rosji. Dowódca postu co dwa lata mógł odwiedzić rodzinę, także rodzina mogła go odwiedzić co jakiś czas. Gdy nasz znachor był młodym, niespełna dwudziestoletnim chłopakiem, do Goliszowca przyjechała żona z dwiema dorastającymi córkami i zamieszkały w sąsiedztwie znachora. Jak to zwykle bywa, oficer z żoną byli zapraszani do co znamienitszych gospodarzy, na folwark i do miasta. Jeździli także często do Rozwadowa na zakupy, bo to przecież zagranica. Lecz były chwile, gdy córki siedziały w domu i wówczas zapoznaly się z naszym młodym znachorem. Ten brał je na wycieczki, pokazywał przyrodę i – jak to młodzi – rozmawiali o różnych sprawach. Dla dziewcząt była to odskocznia od codzienności w Rosji, a i inny kraj, inny język i obyczaje budziły ciekawość panien.

Po kilku tygodniach chłopak zaczął faworyzować starszą córkę, co nie za bardzo podobało się młodszej,



a w ogóle rodzicom. Nie mogli jednak upilnować młodych. I tak mijał dzień za dniem.

Chłopak był tak zafascynowany dziewczyną, że oddałby wszystko, aby mogli być razem. Pewnej niedzieli poszedł w ulubione miejsce w lesie. Położył się pod sosną i zaczął marzyć o niej. Pogoda była piękna. Ciepło i słońce rozleniwilo go i chłopak popadł w letarg. Wydawało mu się, że widzi jelenia, który podchodzi do niego i zaczyna mówić. Lecz jeleni ten stał na dwóch łapach.

– Wiem o twoim kłopotcie, jak i wiem, jak z niego wybrnąć.

Chłopak patrzył na stwora i nie wiedział, co powiedzieć.

– Jestem w stanie ci pomóc, ale nic nie ma za darmo. Tedy czy chcesz mojej pomocy?

– Nie wiem o czym mówisz? – odparł chłopak.

– Masz tu przed tobą leżące szablę i chleb. Masz jedno do wyboru, ale możesz niczego nie wybrać. To też będzie wybór. Dobrze się zastanów, bo to, co wybierzesz, będzie twoją drogą życia. Kiedyś przyjdę po zapłatę. Jeżeli nic nie wybierzesz, więcej mnie nie zobaczysz. Co zatem wybierasz?

– Czy możesz mi powiedzieć, co oznacza mój wybór tego lub tamtego?

– Nie mogę, ponieważ to jest twój los, a los jest zakryty przed wyborem. Dopiero, gdy wybierzesz, powiem ci wszystko.

Chłopak spojrzał dokładnie. Przed nim leżała piękna szabla lśniąca w słońcu i duży pachnący bochen chleba. W żołądku poczuł głód, ale szabla taka piękna.

– Czy muszę tylko jedno wybrać i teraz? – spytał.

– Tak – odparł stwór.

– Wybieram zatem chleb, bo zawsze nam go brakuje. Co mi po szabli.

– Zatem wybrałeś drogę znachora. Otworzę przed tobą tajemnice, które przed innymi będą zakryte. Będziesz miał zaszczyty, pieniądze i sławę o jakiej się nikomu nie śniło. W zamian nigdy nie wolno ci się modlić ani zrobić znaku krzyża, jak i rozpoczynać obrzędu modlitwy. Kiedyś zgłoszę się do ciebie.

– Co oznaczała szabla? – spytał chłopak.

– To, że miałeś poślubić córkę lejtnanta. Lecz warunki były takie same.

– Ale ja ją kocham! – krzyknął chłopak.

– Już nie. Gdy się obudzisz, wszystko minie.

Chłopak zerwał się jak oparzony. Po stworze i chlebie nie było śladu.

– Co za głupi sen – pomyślał.

Pędem ruszył w kierunku domu.

U sąsiada było dziwnie cicho i pusto. Okazało się, że matka z córkami musiała nagle wracać do domu do Rosji. Młodzi nawet się nie pożegnali.

Mijały tygodnie, nic się nie działo. Chłopak powoli zapominał o dziewczynie i śnie pod sosną. Po kilku miesiącach dowiedział się, że ktoś we wsi zachorował i trzeba mu pomóc. Coś kazało mu iść do domu i zaparzyć zioła. Za parę dni chory wyzdrowiał. Do chłopaka zaczęli przychodzić ludzie po porady i lekarstwa. Rozniosło się po okolicy, że w Goliszowcu jest najlepszy znachor.

Chłopak ożenił się, założył rodzinę. Wiodło mu się bardzo dobrze. Nikt nie znał jego tajemnicy. Gdy był już w średnim wieku, zaczął zachowywać się jakoś dziwnie. Stronił od ludzi, mamrotał coś pod nosem, z kimś rozmawiał. Coraz częściej nocował w stodole. Ludzie zaczęli mówić, że ma kontakty z diabłem, ale nikt nic nie widział.

Przyszła chwila, kiedy znachor się zbuntował i zaczął kontakt z duchem zmarłej matki pewnej kobiety od przeżegnania się. Nagle źle się poczuł, a duch zmarłej nie pojawił się. Poszedł spać do stodoły i wówczas zjawił się ten sam stwór, co pod sosną.

– Jak się umawialiśmy? Złamałeś obietnicę i twój czas się skończył. Zabieram cię stąd i przenoszę do mojego królestwa. Tam zapłacisz za to, że całe życie ci pomagałem i dzięki mnie opływałeś w dostatki.

Znachor usłyszał nadciągającą wicher. Kurczowo złapał się przyciesi stodoły, lecz wicher wyrwał go razem z posłaniem i wyciągnęła. Na snopkach słomy nosiło go nad śpiącymi chałupami Goliszowca, aż zaczęło znosić na las. Włożył wtedy rękę do kieszeni i wyjął mały krzyżyk, który wcześniej schował na wszelki wypadek.

Wicher wzmógł się. Zaczęło nim kręcić i rzucać. Znachor zaczął powtarzać dawno już nieużywane słowa modlitwy. Wiatr jeszcze raz targnął nim i rzucił o ziemię. Leżał bez siły, aż znalazł go rano gajowy na Białych Górach przy drodze. Wezwaną furmanką został odwieziony do domu. Nigdy już nie zajmował się znachorstwem. Ludzie mówili, że diabeł znachora na snopkach po lesie poniewierał.

Po długiej chorobie ufundował krzyż jako wotum za ocalenie. Krzyż ten stoi do dzisiaj. Stary już jest i chyli się ku upadkowi. Kiedyś ktoś go ogrodził i ubrał

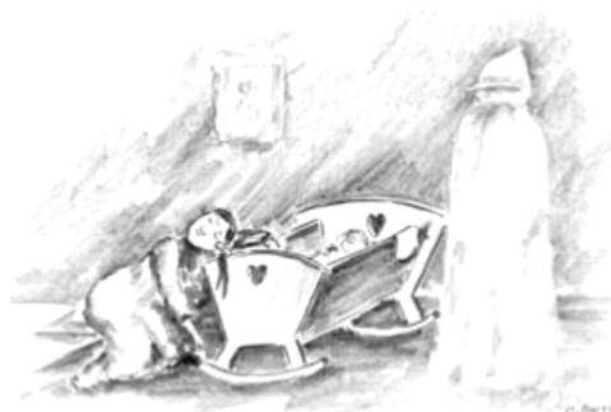
kwiatami. Krzyż na rozstajnej leśnej drodze. Tam, gdzie diabeł powiedział dobranoc znachorowi z Goliszowca.

Kołyska

Od nagłej śmierci matki minęły dwa miesiące. Tragedia niewyobrażalna biorąc pod uwagę to, że została dziewczynka małych dzieci. Wszystkie obowiązki spadły na najstarszą córkę, zaledwie dwunastoletnią. Dziecko jak mogło, starało się dbać o dom i opiekować rodzeństwem. Bieda w Lipie w owym czasie była nie do opisanego, a tu jeszcze to.

Gdy przyszedł wieczór, dziewczynka padała z nóg. Wszystkie większe dzieci nie rozumiały, że matka już nigdy do nich nie przyjdzie i domagały się, aby zaprowadzić je do mamy. Najmłodsze dziecko było jeszcze w kołysce i cały czas płakało z głodu. Ogromu nieszczęścia dopełniło trzykrotne spalenie się domu tej rodziny. Zimno, głód i nieszczęście zdomowały się na dobre i nie było żadnej nadziei.

Tego wieczoru jak zwykle dziewczynka obrządziła zwierzęta w zagrodzie i dała jeść starszym dzieciom. Dom mieszkalny był dopiero co postawiony po ostatnim pożarze i nie miał jeszcze drzwi wejściowych. Dochodziła godzina jedenasta, gdy dziewczyna zajęła się najmłodszym dzieckiem. Dała mu trochę mleka od krowy, lecz to nie zaspokoilo głodu i dziecko płakało. Nie pomagała szmatka umoczona w cukrze. Cały czas trzeba było dziecko kołysać. Zmęczenie tak dawało się we znaki, że dziewczyna usypiała na siedząco. Lecz gdy tylko kołyska przestawała się bujać, dziecko zaczynało płakać. Po godzinie jedenastej dziewczynka nie miała już siły kołysać dalej dziecka. Położyła się w poprzek łóżka, nogą naciskając na koniec bieguna. Przed zaśnięciem zaczęła płakać.



– Mamo, dlaczegoś mnie zostawiła? Już nie mam siły dać temu rady.

Dziecko znowu płakało.

– Już nie mam więcej siły. Niech się dzieje co chce.

Zamknęła oczy. Na zewnątrz było ciemno i cicho. Od wejścia jakby jakieś wątłe światło mignęło i zgasło. Dziewczyna usypiała. Zdążyła jeszcze zauważyć, że światło było coraz silniejsze i jakby wypełniło cały otwór, w którym nie było jeszcze drzwi wejściowych. Tuż przed zaśnięciem poczuła, że kołyska sama się buja, dziecko przestało płakać i zaczęło coś ssać.

Gdy otworzyła oczy, był już ranek. Dziecko spało smacznie. Aż się przestraszyła, że coś mogło mu się stać, gdyż nigdy nie było takie spokojne. Sprawdziła, z dzieckiem było wszystko w porządku. W kuchni usłyszała krzątającego się ojca. Zapytała, czy był u dziecka w nocy. Nie był i nie słyszał, aby ktoś wchodził. Dziecko zaczęło się budzić. Dziewczynka wróciła do maluszka i zobaczyła szmatkę wiszącą przy jego głowie na kołysce. Nigdy tej szmatki nie widziała wcześniej. Wzięła ją do ręki. Na szmatce były kropelki pokarmu. Dziecko zaczęło znów płakać. Machinalnie włożyła do ust dziecka tę szmatkę, a ono natychmiast się uspokoiło.

– Dziękuję, mamo. Dzisiaj na ciebie poczekam.

Nigdy więcej się to nie powtórzyło. Po tym zdarzeniu została tylko szmatka ze śladami pokarmu, która podana dziecku natychmiast je uspokajała. Dziewczynka nikomu nie mówiła o tym, co ją spotkało. Tylko kiedyś sąsiadka spytała:

– Któż tam u was co noc z naftową lampą łąził pod oknem w tamtym tygodniu? Nic wam nie zginęło?

– Nic nie zginęło, bo cóż u nas mogło zginąć? My nic nie mamy.

Pod koniec lat 70. XX wieku przyjechałem pociągiem Kraków – Lublin o 2.40 na urlop. Było pochmurno. Dopiero co skończył padać deszcz i szosa była mokra. Było zupełnie cicho i ciemno. Idąc sam szosą zobaczyłem wątłe światło przemierzające się przede mną drugą stroną drogi. Przystanąłem niepewnie. Światło oddalało się w kierunku końca Lipy. Nic nie było słychać ani widać. Tylko to sunące światło. Nie wiem już dzisiaj, czy to mi się przywidziało, lecz gdybyście coś takiego kiedyś dostrzegli, to może czyjaś zmarła matka idzie pocieszyć swoje dziecko. A może już widzieliście to kiedyś w Lipie?

Wachta graniczna

Jeden z lipiaków opowiadał o tym, co wydarzyło się w latach 70. XX wieku.

W tym czasie już od połowy listopada do Lipy przyjeżdżali „kolejarze”, aby skupować choinki. Ceny były od 15 do nawet 80 złotych za sztukę. Kto mógł i chciał chodził do lasu, aby takie drzewka przynieść i sprzedać przy tym zarabiając.

Po przyjeździe z roboty w tartaku w Lipie szybko się ściemniało, a że święta za pasem, parę groszy trzeba było dorobić. Tu się wychowałem, więc las znałem dokładnie. Pomyślałem, że dobrze byłoby skoczyć w Delbasówkę coś przynieść. Gdy wyszedłem z domu około szesnastej, szarzało. Rano popadał mały śnieg i ścisnął mroźnik, tak gdzieś do pięciu stopni. Droga do Delbasówki wiodła przez Mazurowską koło wieży przy drugiej smudze i przed Goliszowcem w prawo. Z góry miałem upatrzone trzy drzewka, więc wiedziałem co mam ciąć bez chodzenia i szukania.

Już od początku jakoś mi nie szło. A to mi pękła rączka przy piłce, a to jedno drzewko mi spadło tak, że wierzchołek się złamał.

– Ale dobre i dwa – pomyślałem. Zapaliłem „Sporta” i wracam.

Było około 19.00. Przechodziłem przez łąki i widziałem światła w domach w Goliszowcu, gdzieś tam zaszczekał pies. Miałem zapalić, gdy pomyślałem o tym, jak znajomy mówił, że ochrona mocno w tym roku pilnuje lasu i trzeba uważać. A niech to piorun trzaśnie! Ale zapalę po minięciu smugi goliszowskiej. Do smugi doszedłem szybko i z ulgą wyciągnąłem „Sporta”. W smudze było dużo wody i była lekko zmarznięta. Na śniegu były tylko moje ślady, nikt po mnie ani przede mną nie szedł. Smugę pokonałem bokiem, bo idąc do Delbasówki zamoczyłem buty. Przede mną było ze trzy kilometry prostej i szerokiej drogi aż do wieży przy drugiej smudze. Papieros zrobił swoje, od razu poczułem się pewniej i przyspieszyłem kroku.

W lesie było cicho i widno. Niebo było wyiskrzzone, a kryształki zmarzniętego śniegu na gałęziach pięknie mieniły się w blasku gwiazd. Pomyślałem, że takie piękno lasu jest nietrwałe. Gdy przyjdzie odwilż – zniknie. Przystanąłem, przerzuciłem jodełki na drugie ramię i zaciągnąłem się sportem. Przez dym z papierosa odniosłem wrażenie, jakby daleko przede mną poruszył się ciemny zarys. Nie wiadomo co to, ale papierosa trzeba zgasić.

Zszedłem na bok drogi i stanąłem w cieniu sosny. Widoczność była duża na tle śniegu i gwiazd. Zacząłem

przyglądać się zarysowi, który, wydawało mi się, że się poruszył. Koło wieży rośnie dużo jałowców, więc pomyślałem, że to przywidzenie i nie ma co, tylko trzeba iść dalej. Już miałem ruszać, gdy znowu mi się wydało, że ten sam kształt się poruszył. Odległość nas dzieląca miała jakieś półtora kilometra. Stoję i patrzę, ale teraz już mniej pewnie. A cóż to? Teraz już zobaczyłem na pewno, że to się przemieszcza.

Nic tylko ochrona! Co robić? Mam jeszcze czas. Rozglądam się. W odległości jakichś siedmiu do dziesięciu metrów jest duża kępa jałowców i małych drzew. Czy schować się tam, czy rzucić tam drzewka, piłkę i wyjść na drogę idąc do Lipy jakoby z Goliszowca? Teraz widzę dokładnie kilka postaci, w tym jedną jakoś nie naturalnie wysoką. Liczę – cztery mniejsze i jakiś potwór ogromny. Nie, nie będę tu czekał. Chowam się.

Odrzuciłem dalej w krzaki drzewka, piłkę, resztę sznurka do związania drzewek i czekam w tej kępie, co mówiłem. Ale bym zapalił! A tu nic. Czekam z pięć minut. Cisza. Ja się patrzę, a tu nie wiadomo skąd drogą przede mną przechodzą – widzę dokładnie jak na dłoni – cztery postacie w długich jasnopomarańczowych kożuchach z czarnymi kołnierzami, w czarnych skórzanych butach. Na głowie mają białe czapki z jakiegoś futra i długie karabiny na paskach na plecach. A ten potwór to jeździec na koniu podobnie ubrany. Pierwsza myśl: to może wojsko z poligonu w Lipie lub ta nieszczęsna ochrona? Ale nigdy nie widziałem, aby ktoś na poligonie w tych latach używał konia i takich karabinów.

Pochód przechodził wolno. Nikt się nie odezwał. Cisza całkowita. Nawet stuku kopyt i szczęką broni o ubiór nie było słyhać. Nie wiem, czy serce mi biło, czy nie. Chyba nie. Nie słyszałem nic, a widziałem wszystko. Powoli szli w kierunku Goliszowca – oddalali się.



Jerzy Witold DRZEWI rocznik 1960.

Z zawodu projektant konstrukcji budowlanych prowadzący swoje biuro projektowe „Projekt – Service” w Lipie na Podkarpaciu.

Przygoda z pisaniem zaczęła się od poradnika budowlanego „*Jak zbudować, ale się nie zrujnować*”. W 2009 r. ukazało się I a w 2014 r. II wydanie rozszerzone.

Jako autor idei budowy uzdrowiska Lipa-Zdrój (na bazie występujących tam wód mineralnych siarkawych o wysokich walorach leczniczych), mając na uwadze rozsławienie Lipy wydał następujące opowiadania:

- „Legends Lipskie” – legendy ludowe wsi Lipa (2011 r.);
- „Opowieści Lasów Lipskich” – jako II część „Legend Lipskich” (2012 r.);
- „Rozdroże” – opowiadanie historyczne o Lipie przed drugą wojną światową (2012 r.);
- „Biały nietoperz” – tragiczna historia miłosna żołnierza na poligonie Lipa (2013 r.);
- „Die Jagd Polowanie” – o pacyfikacji wsi Goliszowiec (2014 r.).

Obecnie powstaje pozycja pod roboczym tytułem „*Dziedzictwo*” mówiąca o drodze, jaką przeszedł jeden z wielu ludzi zaczynających i prowadzących działalność gospodarczą po przemianach ustrojowych po 1989 r. w Polsce.

Jerzy Witold Drzewi okresowo publikuje artykuły z dziedziny poradnictwa budowlanego w czasopismach regionalnych.

Gdy już ich nie było widać, powoli podszedłem do drogi i wyjrzałem. Spojrzałem w kierunku Goliszowca. W oddali widać było zarys postaci, które się oddalały. Stałem z dziesięć minut za nimi, mogłem się ruszyć z miejsca. Spojrzałem pod nogi na ślady na śniegu – tylko moje. Ukląknęłam, aby dobrze widzieć. Żadnych innych śladów – tylko moje. Jeszcze raz spojrzałem za żołnierzami – no, widzę, że odchodzą! W domu byłem za dwadzieścia minut.

– No i jak tam? Przyniosłeś coś? – pytali domownicy.

– Ochrona mnie zatrzymała i wszystko odebrali – powiedziałem.

Po latach dowiedziałem się, że to była droga graniczna od kordonu Brody do kordonu Goliszowiec. Czy to wachta carska? A może duchy żołnierzy pilnują ichniejszej granicy? Kto wie. Drzewka i piłka zostały w lesie.

Bliźniacze sosny lipskie

Nikt dokładnie nie wiedział, skąd byli. On prawdopodobnie z Łychowa, ona z Rzeczycy Ziemiańskiej. Jak się nazywali? Może Romek i Julia? Może inaczej? W czasach, kiedy o małżeństwie decydowali ojcowie oraz status społeczny i materialny, a Lipa była miejscowością na granicy dwóch imperiów, zdarzyła się historia znana i do bólu banalna. Chcę wam ją opowiedzieć.

Jako się rzekło, Lipa była miejscem przerezu przez granicę wszystkich, którzy chcieli dotrzeć do wolnego świata. Więc wokół Lipy lasy były pełne ludzi. Szczególnie nocą.

Pewnego razu pod Lipę od strony Kraśnika dotarło dwoje młodych ludzi. Planowali przekroczyć granicę, ale, niestety, nic z tego nie wyszło. Tych dwoje ludzi to byli uciekinierzy z domu, którzy chcieli się pobrać wbrew woli rodziców pana młodego. Dziewczyna była prostą chłopką, natomiast pan młody – synem bardzo zamożnego ziemianina. Ojcowie już dawno znaleźli mu kandydatkę na żonę ze swojej warstwy społecznej. Jak to często bywa, chłopak znalazł sobie inną kandy-

datkę i powstał konflikt pokoleń. Natura chłopska dała znać o sobie u ojca i syna. Syn nie chciał słyszeć o ojcowej woli i na siłę próbował przekonać rodziców do swojej dziewczyny. Zaiste, mocna to musiała być miłość między młodymi, gdyż postanowili uciec z domu, a że w tym czasie granica była blisko, mieli zamiar przedostać się przez nią i dalej do Ameryki.

Przygotował się chłopak na drogę. Wziął wszystko co niezbędne oraz pieniądze na opłacenie kurierów i podróży dalej. Przed wyruszeniem przysięgli sobie oboje, że nigdy nic ich nie rozdzieli. Jeżeli będzie taka konieczność, to prędzej się zabiją niż dadzą rozłączyć. Na dowód tego zabrali ze sobą dwie fiołki trucizny. Wcześniej uzgodnili sobie kuriera, który miał ich przeprowadzić na drugą stronę.

Wszystko szło dobrze. Podeszli pod Lipę, spotkali kuriera i szli w kierunku granicy. I tyle było dobrego. W lesie, w odległości około kilometra od pasa granicznego w Koziełkach dopadł ich ojciec chłopca. Ani groźby, ani prośby o powrót nie dawały żadnego skutku. Chłopak ostrzegał ojca, że się otrują, lecz ojciec widocznie uważał, że to puste gadanie i kazał swoim fernalom pojmać oboje. Niestety, nie zdążyli. Młodzi zażyli truciznę i skonali w drgawkach na rękach fernali. Jak opowiadał świadek tego zdarzenia, widok był przerażający. Zapłakana umierająca dziewczyna i chłopak w konwulsjach.

Według ówczesnego prawa śmierć na tym terenie musiała być zgłoszona władzom carskim w Zaklikowie. Do tego czasu młodzi leżeli przy drodze. Ojciec podobno zwariował i powiesił się nie dochodząc do domu. Koło Łychowa były trzy pogrzeby, każdy o innej godzinie i inni ludzie byli żałobnikami. Pochowali młodego, młodą i ojca. Tak się to skończyło.

W miejscu, gdzie młodzi zażyli truciznę i leżeli czekając na policję carską, wyrosła sosna. Nie taka zwyczajna sosna. Sosna bliźniacza. Sprawia wrażenie, jakby chłopak z dziewczyną stali przy drodze trzymając się za ręce. Przemysłownik bardzo często chodził tą drogą i opowiadał, że raz w roku, w nocy, można zobaczyć dwoje młodych ludzi, jak w świetle księżyca tańczą ze sobą. Tylko nikt nie wie, która to noc w roku. Ja nie widziałem, ale może kiedyś będę miał okazję?





Mrok na schodach. Pustka w domu.
Nie pomoże nikt nikomu.
Ślady twoje śnieg zaproszył,
Żal się w śniegu zawieruszył.

Trzeba teraz w śnieg uwierzyć
I tym śniegiem się ośnieżyć –
I ocenić się tym cieniem,
I pomilczeć tym milczeniem.

Bolesław Leśmian
Z tomu „Dziejba leśna”